

Barbara Cartland

Niegrzeczny aniołek

A very naughty angel



Od autorki

Obernia jest krajem wymyślonym, lecz sam Linderhof, który zwiedzałam zeszłego roku, był równie tajemniczy, fascynujący i piękny jak wtedy, gdy przebywała w nim Tylda.

Dla dobra mej opowieści, umieściłam Monachium trochę bliżej, niż ma to miejsce w rzeczywistości, pałacu snów będącego własnością Ludwika.

ROZDZIAŁ 1

1879

Pociąg sapiąc, powoli wtoczył się na stację Windsor.

Chociaż nie była tak przygotowana jak z okazji przyjazdu królowej, to jednak czekało na niej kilku wyższych urzędników w olśniewająco błyszczących i suto przetykanych złotem mundurach. Oczekiwali przyjazdu Pricilli, księżnej Forthamptonu, i jej córki.

Powóz królewski stał przed stacją. Damom podano rękę, pomagając przy wsiadaniu, i już po chwili ruszono w kierunku zamku.

- Tylko pamiętaj, Tyldo - powiedziała księżna Pricilla - nie odzywaj się do królowej, zanim pierwsza do ciebie nie przemówi.

- Tak, mammo.

- I pamiętaj, uściśnij rękę Jej Wysokości, złóż głęboki dyg, ucałuj jej dłoń, a potem policzek.

- Tak, mammo.

- I słuchaj uważnie, Tyldo, wszystkiego, o czym będzie mówić.

- Tak, mammo.

- Obiecuj mi, Tyldo, że nie będziesz zadawała pytań. Za bardzo lubisz wypytywać o różne rzeczy. Już ci o tym mówiłam.

- Mammo, jak można poznać odpowiedź, jeżeli nie zadaje się pytań?

- Oto przykład uwag, jakich mogę się po tobie spodziewać. Moja droga, chciałabym, by twój tato był z nami! Wydaje mi się, że w jego obecności zachowujesz się grzeczniej.

Tym razem, zamiast odpowiedzi, nastąpiła cisza.

Od czasu kiedy nadeszło zaproszenie do zamku Windsor, lady Wiktoria Matylda Tetherton - Smythe słyszała matkę

powtarzając wszystkie te rzeczy nie raz, a setki razy. Nauczona długim doświadczeniem wiedziała, że najlepiej zgadzać się z tym, co ktoś do niej mówi, nie rezygnując jednocześnie z własnego zdania. Na myśl o zobaczeniu zamku ogarnęło ją szalone podniecenie. Wyciągnęła szyję, by wyrzec przez okno powozu. Na razie jednak po obu stronach drogi widać było tylko domy i nie sposób było dostrzec masywną budowlę, o historii pobudzającej wyobraźnię.

Nauczyciele mówili jej, że zamek został wzniesiony przez Wilhelma I Zdobywcę. Położony malowniczo, na stromym wzgórzu, wysoko nad rzeką, nie pozwalał zapomnieć poddanym i nieprzyjaciołom o obecności normandzkich zwycięzców, napełniając ich serca nieustającym lękiem.

Musieli go nienawidzić! - pomyślała Tylda.

- Nie słuchasz mnie, Tyldo! - skarciła ją matka. - O czym przed chwilą mówiłam?

- Przepraszam, mamó, myślałam o czymś innym.

- Ty zawsze myślisz o czymś innym! - parsknęła księżna Pricilla. - Słuchaj mnie uważnie, Tyldo.

- Słucham, mamó.

- Mówiłam, żebyś pamiętała, iż od tej chwili wszyscy będą zwracać się do ciebie „Wiktorio”. Na chrzcie otrzymałaś imię królowej i oczywiste jest, że powinnaś nosić to samo imię co twoja chrzestna matka.

- Nienawidzę imienia Wiktorio! - wybuchła Tylda.

- Twój ojciec także go nie lubi - stwierdziła księżna Pricilla - i dlatego właśnie zaczęliśmy nazywać cię Matyldą. Z czasem skróciliśmy twoje imię i stało się raczej dość pospolite... Tylda.

- Lubię to imię, mamó.

- To, co lubisz, i to, czego nie lubisz, nie ma żadnego znaczenia, Tyl - to znaczy, Wiktorio.

- To nie ma sensu, mamó - Tylda uśmiechnęła się. - Nigdy nie będziesz pamiętać o tym, aby nazywać mnie Wiktoria, niezależnie od tego, jak będą się do mnie zwracać w Oberni.

- Z całą pewnością dla mieszkańców Oberni będziesz Wiktoria - odparła księżna Pricilla - i pamiętaj. Tyldo, że to sama królowa zaaranżowała twoje małżeństwo.

- Nie zapomniałam o tym, mamó.

- Spotkał cię wielki zaszczyt, powinnaś być z tego bardzo dumna.

Tylda nie odpowiedziała i po chwili matka mówiła dalej:

- Niewiele dziewcząt w twoim wieku ma szansę zostać koronowaną księżną, władczynią państwa o niemałym znaczeniu w Europie.

- To bardzo daleko stąd - mruknęła Tylda. Dodałaby zapewne coś jeszcze, ale w tej samej chwili ujrzała zamek i spostrzegła, że jest dokładnie tak imponujący i wspaniały, jak w jej wyobrażeniach.

Przyłapała się na tym, że myśli o legendarnych rycerzach, którzy brali udział w turniejach. Wyobrażenia podsuwała jej różne obrazy. Nieomal widziała wymalowane tarcze, bogato zdobione siodła i miecze w pochwach o rękojeściach pokrytych ozdobami z czystego złota.

Szkoda, że mnie wtedy tutaj nie było - pomyślała Tylda.

W tamtych czasach każdy rycerz miał swą wybraną serca, która była dla niego uosobieniem piękna, której składał hołdy i dla której walczył w turniejach, by wykazać się rycerskością i męstwem.

Konie wspinały się drogą prowadzącą ku bramom zamku i Tylda uświadomiła sobie, że podąża traktem, którym tak często przyjeżdżała Elżbieta I. Jak wspaniała musiała być ta filigranowa dama odznaczająca się silną wolą, miłosierna wobec poddanych, a do tego znajdująca upodobanie w picciu

piwa. Lubiła polować w parku i potrafiła „własną ręką zabić wielkiego i tłustego jelenia”. Wszyscy wówczas oklaskiwali Jej Wysokość, pełni podziwu dla jej wielkości. Ona zaś nigdy nie wyszła za mąż.

Być może nie życzyła sobie, by wybierano jej męża, pomyślała Tylda.

Powóz zatrzymał się przed bramą.

- Pamiętaj teraz o wszystkim, co ci mówiłam, Tyldo - rzekła księżna Pricilla podekscytowana. - Królowa nie widziała cię od lat. Musisz zrobić na niej dobre wrażenie.

- Uczynię, co w mojej mocy, mamó. Wkroczyły do czternastowiecznego gotyckiego hallu, dalej zaś szły korytarzami, które ozdobione były, co zauważyła Tylda mimo panującego półmroku, bogato rzeźbionymi gzymsami i framugami będącymi dziełem Gringlinga Gibbonsa.

Tylda nie wiedziała, co powodowało, że jego sztuka zawsze ją fascynowała. Liście, owoce, ryby i zwierzęta, przedstawione w pełnej wdzięku symetrii, wydawały się, w tej samej chwili, ewokować jakieś szczególne nastroje, których nie potrafiła pojąć. Odczuwała to samo w stosunku do wszystkiego, co było bardzo piękne; było to uczucie narastającego w niej podniecenia.

Obie damy podążały za marszałkiem dworu, który kroczył z kamienną twarzą. Tylda zauważyła, że jej matka jest zdenerwowana. Księżna Pricilla miała zwyczaj wciągania i zaciskania warg zawsze, gdy była niespokojna. Zwykle miała też nerwowo szal, torebkę lub przód swej sukni.

Wszystko jest w porządku, mamó. Królowa przecież cię nie zje! - chciała ją pocieszyć Tylda. Wiedziała jednak, że tego typu uwaga wyprowadziłaby matkę jeszcze bardziej z równowagi, pogłębiając stan, w jakim się teraz znajdowała.

Jak się później dowiedziała, przyjazd królowej do Windsoru był dla wielu osób niespodzianką. Przez lata

bowiem królowa nie chciała opuszczać Osborne. Od śmierci księcia małżonka przebywała, z własnej woli w odosobnieniu, nie pokazując się publicznie.

Jednakże wydarzenia polityczne mające miejsce w ostatnim roku oraz napięte stosunki z Rosją sprawiły, że wyraźnie się ożywiła i, co spostrzegli mężowie stanu, odmłodziła.

Trudno było im jednak zrozumieć, że stałe napięcie, spowodowane sytuacją międzynarodową, i konieczność zajęcia określonego stanowiska wobec Wydarzeń politycznych były właśnie tym impulsem, który pozwolił królowej po śmierci męża odzyskać równowagę ducha.

Do tej pory Jej Wysokość rozpaczała i protestowała przeciw pracy, jej zdaniem, ponad siły i nietaktom oraz małej wrażliwości tych, którzy zmuszali ją do podejmowania wysiłków przekraczających jej możliwości.

Rozczułała się nad sobą i swym samotnym losem „biednej królowej”, teraz zaś nadszedł temu kres. Zamiast nalegać, by mogła zostać w Osborne lub uciec do Balmoral, przeniosła się do zamku w Windsorze, sprawiając tym wiele kłopotu członkom rządu. Ministrowie nie musieli już zachęcać królowej do większej aktywności, sama ich teraz popędzała i dopingowała. Do takiego obrotu spraw bez wątpienia przyczynił się fakt, iż zaczęła współpracować z Benjaminem Disraelim, premierem, którego lubiła i któremu ufała.

Sam Disraeli stwierdził potem:

„Ona natchnęła swojego premiera, a on poświęcił się dla niej!”

Lecz jakiegolwiek by nie były tego przyczyny, powrót i obecność królowej w Windsorze były bardzo na rękę mężom stanu, politykom i krewnym,

Wysiadając z pociągu, księżna Pricilla rzekła do córki:

- Podróż do Osborne jest bardzo męcząca, nie powinnam była zgodzić się na pozostawienie na tak długo twego papy samego.

Książę Forthamptonu był słabego zdrowia. Jako człowiek wywodzący się z ludu, dostąpił wyjątkowego zaszczytu, otrzymując pozwolenie na poślubienie księżnej królewskiego rodu, córki bratanka samej królowej.

Pomimo różnic w pochodzeniu narzeczonych, małżeństwo ich mogło stać się faktem, gdyż książę był jednym z najbogatszych ludzi w Anglii. Kiedy ślub zawarto, wszyscy byli zadowoleni. Książę był sporo starszy od swojej żony i, choć nie był to może główny powód, związek ten zaowocował jednym tylko dzieckiem: Wiktorią Matyldą. Oznaczało to, że nie ma, niestety, bezpośredniego spadkobiercy księstwa.

Książęca para przeżyła wielkie zaskoczenie, gdy królowa, kojarząc potomków koronowanych głów Europy, przypomniała sobie o swej chrzestnej córce.

- Nie ma to jak wielka ciotka Wiktoria! - wykrzyknęła księżna Pricilla, kiedy otrzymała list, powiadamiający o przygotowaniach do mariażu Matyldy Wiktorii z Maksymilianem, księciem Oberni.

- Co chciałaś przez to powiedzieć? - zapytał książę.

- Myślałam, że królowa całkiem zapomniała o istnieniu Tyldy - odparła księżna Pricilla. - Ostatnim razem, gdy byliśmy w Osborne, słowem się do niej nie odezwała, a teraz nagle planuje to małżeństwo.

- To zaszczyt, moja droga - stwierdził książę. Księżna Pricilla westchnęła.

- Mam nadzieję, że Tylda to zrozumie.

Tylda przyjęła nowinę z pewnym zdziwieniem, lecz nie wyraziła - czego obawiała się księżna - żadnego sprzeciwu.

Rzeczywiście, nigdy nie można było przewidzieć reakcji Tyldy.

Matka nie wiedziała jednak, że osiemnastoletnia Tylda uważała posiadłość Forthampton w Worcestershires, w której była trzymana przez te wszystkie lata, za miejsce wyjątkowo nudne.

I nie chodziło wcale o to, że nie miała się czym zająć. Miała guwernantki i nauczycieli, a także rozmaite hobby i zajęcia, które budziły jej ciekawość.

Lubiła także jazdę konną i chociaż nie pozwalano jej polować, dostała od ojca dwa konie o ognistym temperamentem. Dziewczęta w jej wieku miały okazję dosiadać leniwych wierzchowców, które były znacznie bardziej spokojne.

Księżę na Forthampton, cierpiący na artretyzm, był bardzo osłabiony i dlatego nie wymagano od Tyldy, by zgodnie z panującym zwyczajem przyjechała na przyjęcie do Londynu lub wydała bal, świętujący jej debiut w towarzystwie.

Zabrano ją jednak do Londynu, by mogła przedstawić się i wykonać dworski ukłon w sali tronowej Pałacu Buckingham.

Królowa obecna była przez pierwszą godzinę, potem zaś przekazała nudne obowiązki towarzyskie swemu synowi, księciu Walii, i jego pięknej duńskiej żonie, Aleksandrze.

Tylda wykonała przepisowy ukłon wraz z pierwszą grupą członków rodziny królewskiej, po czym stwierdziła, że cała ta ceremonia jest sztywna i, jak się spodziewała, bardzo nieciekawa. Odniosła wrażenie, że ludzie zwracają się do członków rodziny królewskiej innym tonem niż do zwyczajnych ludzi. Ponieważ jej matka należała do rodziny królewskiej, nie było cienia wątpliwości, że rozmowa z tymi, którzy podchodzą do księżnej, będzie sztywna i niezbyt interesująca.

Marszałek dworu, który prowadził je korytarzami zamku, wreszcie się zatrzymał.

Dotarli do komnat królowej i po krótkiej chwili oczekiwania zostali wprowadzeni do sali przyjęć. Królowa siedziała w fotelu, przy stole nakrytym materiałem wykończonym frędzlami.

W swej pozbawionej fasonu, lecz kosztownej, czarnej atlasowej sukni, błyszczących czarnych bucikach i wdowim welonie wyglądała staro i budziła lęk.

Trudno było uwierzyć, że ta mała kobieta włada ogromnym imperium i że każdy monarcha w Europie jest z nią w jakiś sposób spokrewniony.

Księżna Pricilla powiedziała córce już wcześniej, że w czterech komnatach, z których korzysta królowa, znajduje się prawie dwieście pięćdziesiąt obrazów i wielka ilość fotografii jej krewnych.

Przewożono je z Windsoru do Balmoral czy też Osborne za każdym razem, gdy królowa tam się przenosiła.

Tylda ujrzała je teraz na biurku i stołach, widoczne na tle ciężkich, purpurowych zasłon. Wyłaniały się pośród obfitych stosów listów, zapisanych nutami kartek, przycisków do papieru, kałamarzy, starych scyzoryków i "Księgi urodzin królowej".

Księga ta była wypełniona podpisami gości. Królowa zabierała ją ze sobą, gdziekolwiek się udawała, dlatego też czasami mylono „Księgę” z Biblią.

Tylda miała trudności ze skupieniem uwagi na wystroju sali czy też na samej królowej; starała się wypełnić wszystkie polecenia matki.

Księżna zatrzymała się przed Jej Wysokością. Dygnęła, dotykając ziemi, po czym podniosła się, by ucałować dłoń królowej, a potem jej policzek.

- A więc to jest Wiktoria!

Głos królowej zabrzmiał nieoczekiwanie wysoko.

Wzrok królowej spoczywał na niej i Tyldzie wydawało się, że przewierca ją na wylot, kiedy wykonywała wyuczony dyg, dotykała wargami bladego, miękkiego policzka, i na koniec, gdy ucałowała pokrytą siatką niebieskich żyłek dłoń.

- Tak, to jest Wiktoria, pani - rzekła księżna Pricilla, oddychając z trudem ze zdenerwowania.

- Chcę z tobą porozmawiać, Wiktorio.

- Tak, pani.

Tylda sądziła, że gdy ktoś wspomina o konieczności rozmowy z drugą osobą, zazwyczaj ma wtedy zamiar ją zbesztać lub powiedzieć coś nieprzyjemnego. Królowa mówiła jednak dalej:

- Twoja matka zapewne powiedziała ci, iż postanowiono, że poślubisz Maksymiliana, księcia Oberni?

- Tak, pani.

- Jest to rzecz ważna z kilku powodów.

- Tak, pani.

- Po pierwsze: uważam, że księżę Maksymilian jest godzien posiadania angielskiej narzeczonej, a do tego kogoś, kto jest moją krewną.

- Jestem pewna, że docenia ten wielki zaszczyt, pani - wtrąciła księżna Pricilla.

Królowa nie odrywała wzroku od twarzy Tyldy.

- Drugim powodem - ciągnęła, ignorując uwagę księżnej - jest to, że Obernia zajmuje ważne miejsce w naszej strategii politycznej wobec Europy.

Tylda spojrzała swymi niebieskimi oczami na królową. To jest całkiem interesujące, pomyślała.

- Musisz zrozumieć - kontynuowała królowa - iż Obernia, sąsiadując z Bawarią, Austrią i Wirtembergią, jest bardzo istotnym elementem równowagi sił, ponieważ pozostała niepodległa.

Królowa przerwała, choć nie wydawało się, by oczekiwała jakiejś odpowiedzi. Po chwili mówiła dalej:

- Prusy, intronizując cesarza Wilhelma i przyłączając kilka pomniejszych państw, stworzyły sytuację, która budzi nasz niepokój.

Głos królowej był ostry i nie ulegało wątpliwości, że jest mocno wzburzona.

Księżna wiedziała, że to nie tylko przerodzenie się dawnej federacji w imperium niepokoiło królową, lecz także zachowanie jej wnuka Wilhelma, księcia Prus.

Cała rodzina wiedziała, że duma Wilhelma, pielęgnowana przez jego dziadków i przez Bismarcka, czyniła go jeszcze bardziej aroganckim.

Doniesiono też królowej, że słuchał z aprobatą obraźliwych uwag pod adresem swej angielskiej matki, a zarazem najstarszej siostry królowej, Vicky.

- Nigdy nie dowiem się, dlaczego Bawaria jako pierwsza przyjęła propozycję księcia Bismarcka. - Królowa wypowiedziała te słowa jakby do siebie.

- Zawsze słyszałam, pani - odezwała się księżna Pricilla - że stało się tak, ponieważ króla Ludwika bolały zęby!

Sugerowano, że władcy Prus i Bawarii mogliby rządzić Związkiem Niemieckim wspólnie lub na przemian, ale król Bawarii, nękany bólem zęba, zamiast spierać się w tak istotnej kwestii, przekazał swoją władzę Niemcom.

- Zdaję sobie sprawę z okoliczności, w których została podjęta ta godna pożałowania decyzja - rzekła przygnębionym głosem królowa.

Księżna Pricilla zarumieniła się.

- Cokolwiek wydarzyło się tam osiem lat temu, fakt zostaje faktem - kontynuowała królowa - i Bawaria wchodzi teraz w skład Związku Niemieckiego, choć, jak mi się zdaje, król Ludwik ma większą swobodę działania niż pozostałe

państwa członkowskie. Przerwała, by po sekundzie stwierdzić stanowczo:

- Jest więc oczywiste, że Obernia za wszelką cenę musi pozostać niezależna.

Jej Wysokość skierowała teraz swoją uwagę na Tylde,

- Czy rozumiesz, Wiktorio? - zapytała. - Będziesz jak gdyby ambasadorem Anglii. Musisz przekonać swego męża, że współpraca z nami będzie dla niego bardziej korzystna niż z Niemcami.

Królowa spojrzała na swą córkę chrzestną, po czym powiedziała nieoczekiwanie:

- Wyglądasz bardzo młodo!

Nie odbiegało to od prawdy, Tylda rzeczywiście wyglądała jak wyrosnięte dziecko.

Będąc niską i drobną dziewczyną, o włosach jasnych jak letnie promienie słońca i błękitnych oczach wypełniających jej całą, podobną do kwiatu, twarzyczkę, sprawiała Wrażenie osóбки niedojrzałej i o wiele za młodej, by stanąć na ślubnym kobiercu.

- Wiktorio ma osiemnaście lat, pani - księżna Pricilla wtrąciła nerwowo.

- Mając dokładnie tyle samo lat zostałam królową i też wyglądałam wtedy młodo.

- Czy byłaś, pani, przerażona, gdy powiedziano ci, że masz zostać królową? - spytała Tylda.

Księżna Pricilla wstrzymała oddech. Zabroniła córce zadawać takich pytań, ponieważ mogło to być poczytane za arogancję i zirytować królową.

Jednak ku jej zdziwieniu, po krótkim milczeniu, królowa odpowiedziała:

- Przeraziłam się, gdy mama obudziła mnie o szóstej nad ranem i powiedziała, że chcą się ze mną widzieć arcybiskup Canterbury i lord Conyngham.

- Ależ to musiała być niespodzianka! - mruknęła Tylda.

Stała wpatrzona w królową, przepełniona ciekawością.

- Wstałam - opowiadała dalej królowa - i w samym tylko szlafroku udałam się do salonu. Lord Conyngham przyszedł z wiadomością, iż mój biedny wuj - król, nie żyje, i że ja teraz jestem królową.

Tylda wciągnęła głęboko powietrze.

- To musiał być dla ciebie szok, pani!

- To prawda - odparła królowa - ale postanowiłam, że dam sobie radę.

Lecz nagłe zdała sobie sprawę z tego, że stała się zbyt poufała, dając się ponieść wspomnieniom, dodała więc ostro:

- I taka właśnie musisz być, Wiktorio - musisz dać sobie radę! I bądź zawsze wierna swej ojczyźnie. Pamiętaj, jakiegokolwiek nosisz imię, jakiegokolwiek silna będzie twoja pozycja, w twoich żyłach płynie angielska krew - moja krew!

- Będę o tym pamiętać, pani.

Rozmowa trwała jeszcze chwilę, po czym księżnej Pricilli i Tyldzie dano znak, że czas audiencji już się skończył.

W towarzystwie dwóch opiekunek królowej zjadły lekki posiłek, a następnie zostały odwiezione powozem na stację. Znalazły się znowu w pociągu, jadącym do Londynu.

- Nareszcie jest już po wszystkim! - wykrzyknęła księżna Pricilla.

Usadowiła się wygodnie w kącie zarezerwowanego dla nich wagonu i westchnęła z ulgą.

- Boisz się jej, mamó - powiedziała Tylda. - Nie mogę zrozumieć dlaczego.

- Każdy się jej boi - odparła księżna Pricilla. - Ty miałaś szczęście, w stosunku do ciebie była czarująca. Ona naprawdę wzbudza lęk.

- Taka właśnie powinna być królowa - stwierdziła Tylda i roześmiała się. - Ale wątpię, mamó, by ktokolwiek mógł bać się mnie!

- Ty nie będziesz królową, Tyldo, a jedynie księżną - poprawiła córkę Pricilla. - Z drugiej strony, nie mogę zrozumieć, dlaczego Obernia nigdy nie miała własnego króla, choć w Europie jest tak wielu królów i książąt.

- Może dlatego, że jest za mała - podsunęła Tylda.

- Wyrażasz się bardzo lekceważąco o państwie, które wkrótce będzie należeć do ciebie - zauważyła z dezaprobatą księżna.

- Jest mała, mamó.

- Lecz o wielkim znaczeniu, królowa mówiła ci już dlaczego.

- Tato powiedział mi to samo - rzekła Tylda. - Tak naprawdę to chciałam zapytać, czy wśród tych wszystkich fotografii i portretów na biurku choć na jednym z nich był książę Maksymilian?

- Już ci mówiłam, Tyldo, że nie ma jego zdjęć. Nie lubi, by go fotografowano. Nie pozwala na to.

- Dlaczego?

- Z pewnością ma ważne powody, by nie życzyć sobie wykonanych tą nowoczesną metodą portretów i aby je wszystkim pokazywać - odparła księżna Pricilla.

- A nie znasz tych powodów? - nalegała Tylda.

- Jestem pewna, że gdy się już spotkasz z księciem, sam ci powie - odpowiedziała księżna.

Ton jej głosu wskazywał wyraźnie, że miała własne zdanie na temat przyczyn niechęci księcia do unieśmiertelnienia wizerunku swej osoby za pomocą aparatu fotograficznego.

Tyldzie wydawało się to dziwne, gdyż wszyscy na ogół zachwycali się swoimi podobiznami na zdjęciach,

W każdym domu, tak jak w komnacie królowej, stało tyle fotografii w srebrnych ramkach na wielkich pianinach, na małych stolikach, na półeczkach nad kominkiem i zarzuconych papierzyskami biurkach, że znalezienie pióra i papieru do pisania stawało się w końcu prawie niemożliwe.

- Chciałabym chociaż w przybliżeniu wiedzieć, jak on wygląda - powiedziała Tylda.

- Nie widziałam go od czasu, gdy był dzieckiem - odparła szybko księżna Pricilla. - Wówczas prezentował się bardzo dobrze, i mówią, że i teraz jest nieprzeciętnie przystojny.

Jeśli to prawda, pomyślała Tylda, to dlaczego jest aż tak nieśmiały i skrępowany, że nie pozwala innym ludziom patrzeć na siebie?

Przez moment panowała cisza, słychać było tylko dudnienie kół i gwizd parowozu.

Potem spytała matkę:

- Czy księżę widział już moją fotografię?

- Gdy rozpoczęto przygotowania do waszego małżeństwa, twój ojciec spytał, czy będzie można wymienić wasze portrety - odparła jej matka - ale powiedziano mu, że księżę nigdy nie został uwieczniony na żadnym obrazie ani na fotografii. Ojciec twój uznał więc, że gdyby wysłał twoje zdjęcie zrobione w styczniu, mogłoby to księcia wprowadzić w zakłopotanie.

- Chcesz więc przez to powiedzieć, że oboje „kupujemy kota w worku”? - zdziwiła się Tylda.

Matka podskoczyła z wrażenia na fotelu.

- Doprawdy, Tyldo, jak mogłaś użyć tak niewłaściwego i wulgarnego określenia? Nie mam pojęcia; gdzie je mogłaś usłyszeć!

- Lecz jest wyjątkowo trafne. Prawda, mamo?

- Nie będę dłużej na ten temat dyskutować. - urwała ostro.

- Jeśli chcesz rozmawiać o swoim małżeństwie, Tyldo,

możemy ustalić listę rzeczy, które będą potrzebne do przygotowania ślubnej wyprawy. Jeszcze tej nie skompletowałyśmy.

- Nie mam zamiaru tracić na to czasu! - wykrzyknęła Tylda. - Mam już i tak mnóstwo strojów. Nawet za dużo. Starczy mi ich na całe lata!

Westchnęła.

- Czy możesz sobie wyobrazić, mamó, coś bardziej przygnębiającego niż to, że za dziesięć lat nadal będę, nosić swoje stare, niemodne już wtedy stroje?

Księżna Pricilla zacisnęła wargi.

- Nie mam pojęcia, co się z tobą ostatnio dzieje, Tyldo - stwierdziła. - Buntujesz się przeciwko wszystkiemu. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz tak się odzywać przy tacie. Mogłoby to go bardzo zdenerwować.

- Powiedz mi, mamó - zaczęła Tylda - czy kiedyś, gdy byłaś młoda, miałaś ochotę zrobić coś takiego, czego inni by się po tobie nie spodziewali?

Matka nie odpowiedziała, więc Tylda mówiła dalej:

- Czy chciałaś uciec, na przykład wtedy, gdy ci powiedziano, że masz poślubić tatę? Czy kiedykolwiek chciałaś przestać być sobą i stać się dla odmiany kimś innym?

- Nie, Tyldo! - odparła twardo księżna Pricilla. - Ja byłam bardzo wdzięczna i bardzo szczęśliwa, wychodząc za twego ojca, W przeciwieństwie do ciebie, miałam jeszcze pięć sióstr. Moja matka i mój ojciec martwili się nieustannie, gdzie znaleźć dla nas wszystkich odpowiednich mężów.

Jej głos złagodniał, gdy mówiła dalej:

- Miałam dwadzieścia pięć lat, gdy pozwolono mi wyjść za mąż. Nie miałam co prawda nosić korony, ale miałam naprawdę wiele szczęścia poślubiając tak miłego i dobrego człowieka, jakim jest twój ojciec.

- Ani przez chwilę nie pomyślałaś o tym, żeby się zbuntować, mamó? - Tylda próbowała nakłonić matkę do zwierzeń.

- Nie, nawet przez sekundę! - rzekła stanowczo księżna Pricilla. - I obiecaj mi, Tyldo, że nie przyjdą ci do głowy tak skandaliczne i zwariowane pomysły.

Tylda nie odpowiedziała, więc matka kontynuowała:

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak wielkie masz szczęście wychodząc tak młodo za mąż, i to za monarchę.

- Jak myślisz, czy księżę Maksymilian chce się ze mną ożenić? - spytała Tylda.

- Każdy mały kraj w Europie ma ambicję, by jego władca był ożeniony z krewniaczką naszej królowej. Jak dobrze wiesz, Tyldo, Anglia jest wielką światową potęgą. Każde państwo pragnie naszej przychylności, przyjaźni i, w razie potrzeby, także naszej pomocy finansowej.

- Nawet Niemcy? - zdziwiła się Tylda.

- Nawet Niemcy! - odparła księżna Pricilla, lecz nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Księżę Bismarck musi być wyjątkowym człowiekiem - stwierdziła Tylda. - Utworzył Związek niemiecki i teraz ani Hanower, ani Hesja - Kassel, ani Bawaria, ani Brunszwik nie są już niepodległe.

- Cieszę się, że jesteś odcytana - zauważyła księżna.

- Nauczył mnie tego profesor - odrzekła Tylda. - Poleciałś mu, by uczył mnie historii Europy, i on dosłownie szpikował mnie tego rodzaju wiadomościami!

- Żywię najwyższy szacunek dla profesora Schillera - odparła matka - i chcę, by towarzyszył ci w drodze do Oberni.

- Och nie, mamó! Nie chcę spędzić całej podróży na nauce!

- To dla twojego dobra, Tyldo. Tata poprosił również wdowę lady Crewkerne, by była twoją damą do towarzystwa i damą dworu, zanim nie dotrzesz do Oberni:

- Tylko nie lady Crewkerne! - krzyknęła żałośnie Tylda. - Ona jest stara i nudna i w niczym się nie zgadzamy. Nigdy nie słyszałam, by powiedziała o kimś miłe słowo.

- Ale dużo podróżowała, Tyldo. Jej mąż był kiedyś naszym ambasadorem w Wiedniu. Świetnie zna cały protokół dyplomatyczny, który musisz poznać, by nie popełnić żadnego błędu, kiedy przyjedziesz do Oberni, gdzie będziesz pełnić obowiązki księżnej.

- Lady Crewkerne i profesor Schiller! - rozpaczła Tylda. - Z pewnością będzie to dla mnie nudna podróż.

Jak tam przyjadę, z radością skoczę w ramiona księcia Maksymiliana, nie zważając na to, jak wygląda!

- Mam nadzieję, że tak się stanie, Tyldo. Nie wątpię, że będziesz bardzo szczęśliwa - pocieszyła córkę księżna Pricilla.

Westchnęła głęboko.

- Chciałabym towarzyszyć ci osobiście, lecz nie mogę zostawić taty.

- Wiem o tym - przyznała Tylda. - Chociaż, z drugiej strony, podróż minęłaby mi przyjemniej z tobą, niż w towarzystwie tych dwojga, których wybraliście.

- Przybycie wśród godnej szacunku świty ma duże znaczenie - rzekła księżna Pricilla - i docień to, Tyldo - twoja podróż będzie nas i tak dużo kosztować.

Znowu westchnęła.

- My naprawdę nie jesteśmy teraz w stanie pozwolić sobie na wysłanie z tobą więcej osób, niż jest to absolutnie niezbędne. Samo wysłanie dwóch powozów, każdy z szóstką koni, wymaga wydania dużej ilości pieniędzy.

Księżę, chociaż niesamowicie bogaty, był powszechnie uważany za człowieka oszczędnego i rozważnego w

wydawaniu pieniędzy, z wyjątkiem łożenia na swoje posiadłości. Księżna miała trudności w uzyskaniu od niego odpowiedniej sumy na przygotowanie wyprawy ślubnej dla Tyldy.

- Dwa powozy, mam? - spytała Tylda.

- Jeden powóz przeznaczono dla twoich pokojówek i bagażu - wytłumaczyła księżna. - Prócz swego posagu dostaniesz jeszcze wiele prezentów ślubnych, które trzeba przecież jakoś przewieźć do Oberni.

Uniosła dłoń i zaczęła wyliczać na palcach:

- Tak więc... dwa powozy, każdy z dwoma woźnicami, i dwaj lokaje, to razem sześciu służących. Musisz mieć też czterech pachołków. Nawet w naszych oświeconych czasach grasują na drogach bandyci, napadając i rabując podróżnych.

- Ależ to podniecające! - zawołała Tylda i nagły błysk pojawił się w jej oczach.

- Mam nadzieję, że takich przygód uda się wam uniknąć - odrzekła matka. - Pachołkowie, których wysła z tobą ojciec, są obcy z bronią palną i świetnie dają sobie radę w walce. Ich obecność gwarantuje wasze bezpieczne dotarcie do celu.

- To będzie długa podróż.

- Tak, to prawda - zgodziła się księżna - lecz będziesz się zatrzymywać i odwiedzać wielu naszych krewnych. Podróż zacznie się w Holandii, gdzie zejdziesz na ląd. Po odwiedzeniu Ludwika, władcy Bawarii, przekroczysz granicę z Obernią.

- Zawsze marzyłam o tym, by kiedyś poznać Ludwika - przyznała Tylda. - Opowiadają o nim tak fantastyczne rzeczy!

Księżna Pricilla zaczęła coś mówić, lecz po chwili urwała i zacisnęła wargi. Dało to Tyldzie jednoznacznie do zrozumienia, że Ludwik II nie podoba się matce.

Tylda zawsze z wielkim zainteresowaniem słuchała opowieści o nim, o jego pasji do muzyki i o teatrze, który wybudował dla Wagnera.

Oglądała portrety z jego podobizną. Twarz miał bladą, lecz przystojną, cały był niezwykle delikatny i wiotki, jak gdyby pochodził z innego świata.

Tylda wybiegła myślami w przyszłość. Pomyślała, że przebywanie w jednym z jego zamków, o których tyle mówiono i które tak krytykowano, będzie prawie tak ekscytujące, jak zobaczenie pałacu, który będzie jej nowym domem. I, co ważniejsze, równie ekscytujące jak spotkanie przyszłego męża.

- Żywię nadzieję, Tyldo, że będziesz zachowywać się jak należy - oznajmiła nie znoszącym sprzeciwu tonem księżna Pricilla. - Słyszałaś, co mówiła królowa. Jesteś ambasadorem Anglii i tylko kontrolując swe zachowanie będziesz mogła urzeczywistnić pokładane w tobie nadzieje.

Spojrzała na córkę i pomyślała, że stosowniej byłoby planować dla niej dalszą edukację, czy też może piknik nad rzeką, niż małżeństwo z księciem kraju.

Tylda była tak uroczo dziecinna, tak delikatna, że teraz najbardziej pasowałyby do niej lalki i kwiatki. Trudno było wyobrazić sobie Wiktorię zajmującą się polityką, pełniącą obowiązki dorosłej, zamężnej kobiety, czy też dźwigającą ciężar ogromnej odpowiedzialności, który wkrótce miał spocząć na jej barkach.

Niespodziewanie księżna Pricilla objawiła swą matczyną troskę.

- Och, Tyldo - rzekła drżącym głosem - tak bardzo chcę, byś była szczęśliwa.

Tylda uśmiechnęła się.

- Nie martw się, mamó - pocieszała matkę. - Jestem przekonana, że wbrew pozorom nie będzie aż tak źle, nie ma żadnego powodu do obaw.

ROZDZIAŁ 2

Jest wspaniały! Wygląda dokładnie tak, jak prawdziwy królewski pałac! - zawołała Tylda, gdy dojechali do Linderhofu.

Przyłapała się na powtarzaniu tego przez cały czas zwiedzania tej fantastycznej budowli, wzniesionej przez króla Ludwika w zielonej dolinie Graswang.

- Miejsce to zawdzięcza swą nazwę starożytnemu drzewu cytryny - wyjaśnił adiutant królewski. - Pierwotnie stał tutaj jedynie niewielki domek myśliwski.

- Teraz jest tu fantastycznie! - wykrzyknęła Tylda.

- Wszystko zostało ukończone dopiero w tym roku - ciągnął adiutant. - Jego Wysokość, będąc pod wrażeniem francuskiego Wersalu, jak i Trianonu, zdecydował się stworzyć coś wyjątkowego, istną perłę wśród gór!

- Słyszałem - przerwał profesor Schiller - iż Jego Wysokość napisał w liście do baronowej von Leonrod, że tworzenie takich rajów - poetycznych sanktuariów, jest bardzo ważne. Można w nich bowiem na chwilę zapomnieć o żalonych czasach, w jakich przyszło nam żyć..

- To rzeczywiście prawdziwy raj! - powiedziała Tylda z podziwem w głosie.

Był to zwarty, biały gmach, wybudowany w przesadnym barokowym stylu. Tyldzie wydawało się, że pałac ten pochodzi z jakiegoś bajecznego snu.

Ogromne królewskie łoże z baldachimem pokrywał niebieski aksamit. Upiększały je wymyślne złote - płaskorzeźby i podtrzymujące koronę amorki. Księżniczka pomyślała, że chciałaby spać właśnie na takim łożu.

Przepiękne żółte, fioletowe, różowe i niebieskie kredensy z porcelany przedzielały większe komnaty. Zachwycający był domek mauretański i grotta Wenus, i przepięknie rzeźbione

złote sanie, w których król mógł podróżować z Linderhofu do swojego zamku w Neuschwanstein.

Wielki zawód sprawiła księżniczce nieobecność króla Ludwika w Linderhofie i to, że nie mógł jej powitać.

Tylda tak bardzo pragnęła się z nim spotkać. Wyobrażała go sobie jako romantycznego bohatera, o którym można przeczytać tylko w książkach.

Nie była specjalnie zaskoczona dowiedziawszy się, że król przebywa w tej chwili nad jeziorem Chiemsee. Ludwik często spędzał czas poza Linderhofem. Wszyscy wiedzieli, że nie lubi spotykać się z nieznanymi i unika towarzystwa. Księżniczka zdawała sobie sprawę, że nie jest szczególnie ważną osobą, więc nie poczuła się zbyt urażona.

Król w tym czasie doglądał prac przy wznoszeniu nowego pałacu, który miał zaćmić swą urodą cuda i wspaniałości Wersalu.

Bez względu na obecność czy nieobecność króla, Linderhof różnił się zdecydowanie od innych miejsc, w których Tylda zatrzymywała się podczas podróży przez Europę.

Podróż męczyła swą bezgraniczną monotonią. Z wyjątkiem Holandii, gdzie trakt był w dobrym stanie, powozy musiały, ze względu na gorsze drogi, posuwać się bardzo wolno.

Zajazdy, w których zmieniali konie, często były brudne, a obsługa w nich niezbyt uprzejma. Pałace należące do krewnych przyniosły jej duże rozczarowanie.

Tylda nie wiedziała właściwie, czego się powinna spodziewać, ale miejsca te wywarły na niej ponure wrażenie. Były przygnębiające.

Widoczne to było szczególnie w księstwach, wchłoniętych przez Związek Niemiecki, gdzie przywileje i władza królów i książąt zostały ograniczone.

Matka uprzedzała ją, że może zastać taką sytuację.

- Okazuj wszystkim swoim krewnym w tych państwach więcej szacunku niż nawet samej królowej - pouczała córkę. - Będą szczególnie czuli na punkcie protokołu. Będzie im zależeć na potwierdzeniu swej ważności w twoich oczach.

Tylda zauważyła, że tak właśnie było.

Zdarzało się, że często całymi godzinami stała w obecności króla i królowej, u których akurat gościła, gdyż siedzenie oznaczałoby zbyt dużą poufałość, na którą oni nie pozwalali.

Uważała, że konwersacje są zbyt napuszone. Zarówno podjęcie nowego tematu, jak i zadanie pytania było kwitowane spojrzeniem świadczącym o dezaprobachie.

Jedynie lady Crewkerne dobrze się bawiła, głównie dlatego, że miała wreszcie okazję krytykowania gospodarzy, którzy ich przyjmowali. Zdobywała także nowy materiał do swych złośliwych i nie oszczędzających nikogo plotek.

Zdaniem Tyldy w tym, co mówiła lady Crewkerne, na ogół było trochę prawdy. Księżniczka raz tylko nie zgodziła się z jej drwiącym osądem, dotyczącym ślubu króla holenderskiego Wilhelma III z Emmą, księżną Waldeck - Pymontu.

Prawdą było, iż król Wilhelm był o czterdzieści jeden lat starszy od swej żony, gdy żenił się z nią rok temu.

Ale Tylda była zdania, że nowa królowa jest jednak szczęśliwa ze swym sędziwym mężem. Czuła atmosferę radości w całym ich pałacu, czego nie spotkała w żadnym innym miejscu.

Większość krewnych, których odwiedzała, była w podeszłym wieku. Tylko Fryderyk I, wielki książę Badenu, był młody i piękny. Nie miała jednak sposobności, by porozmawiać z nim sam na sam.

Ze względów protokolarnych rozmowy miały tak formalny charakter, że człowiek zaczynał ziewać, zanim jeszcze zdążył cokolwiek powiedzieć.

Czy wytrzymam takie życie? - pytała samą siebie Tylda, gdy powóz toczył się wolno z Hesji - Kassel do Baden, a potem do Wirtembergii, i dalej przez granicę do Bawarii.

Linderhof podniósł ją na duchu.

Piękno małego pałacu obudziło w niej to dziwne, gwałtownie napływające podniecenie, które czuła na zamku w Windsorze, oglądając rzeźby Gringlinga Gibbonsa.

Czy istniało coś bardziej romantycznego niż grotta Wenus, którą król Ludwik zbudował na zboczu góry? I gdzie - po raz pierwszy w Bawarii, założono światło elektryczne, które można było włączać i wyłączać na każde życzenie.

Na jeziorze, którego tafle wzburzały sztuczne fale, król trzymał parę łabędzi oraz małą złotą łódkę w kształcie serca, w której go przewożono. Ogród też mógł zachwycić każdego. Znajdująca się w nim fontanna tryskała wodą na wysokość blisko trzydziestu metrów. Przystrzyżone w kształcie stożków żywopłoty, rząd piramid, kaskady, pawilony i świątynia nie miały sobie równych w całym państwie.

Czy znajdę coś podobnego w Oberni? - zastanawiała się Tylda.

Czując jeszcze lekki dreszcz emocji, uświadomiła sobie, że niezależnie od tego, jak bardzo romantyczny i piękny okaże się jej pałac, będzie musiała mieszkać w nim wraz z księciem.

Im dłużej podróżowała, tym bardziej bała się swego przyszłego męża, z którym miała się spotkać na końcu drogi.

Niepokoilo ją nie to, co mówili o nim ludzie, ale to, co mówili wtedy, gdy myśleli, że ona nie słyszy.

Tylda nabrała pewności, że księżę Maksymilian musi być dziwny, już wtedy, gdy matka nie chciała wyjawić, dlaczego unika utrwalania swego wizerunku na fotografiach.

Obecnie prześladowało ją wrażenie, że twarze wielu krewnych przybierały dziwny wyraz, gdy wymawiano imię księcia. Nie potrafiła tego grymasu opisać słowami.

Był to rodzaj dezaprobaty - w to nie wątpiła - i wiedziała też, że było im jej żal.

Pewnego razu, gdy weszła do salonu, Jerzy, król Hanoweru, właściciel wielkiego nosa i sięgających aż pod podbródek bokobrodów, mówił właśnie buczącym głosem:

- Jak można to niewinne dziecko wydać za Maksymiliana? Nie powinno się na to zezwolić!

Przerwał w połowie zdania, gdy spostrzegł, że słucha go Tylda. Kaszląc w trochę wymuszony sposób, wyszedł zostawiając żonę, by ta stawiała czoło popełnionej gafie.

Po tym zdarzeniu księżniczka zaczęła już uważniej przysłuchiwać się temu, co mówiono o księciu. Urywki zdań i czynione półgłosem komentarze bardzo ją niepokoiły.

- To kryminalista; jak oni mogą spodziewać się, że...

- Jak Pricilla może się na to godzić? Musi przecież wiedzieć...

- Nie mogę znieść myśli, że to słodkie małe stworzenie odkryje, że...

Co oni przed nią ukrywali? Co było nie w porządku?

Ani lady Crewkerne, ani profesor Schiller nigdy nie widzieli Jego Książęcej Mości, toteż wypytywanie ich nie miało żadnego sensu. Poza tym, Tylda wiedziała, że takt dyplomatyczny zabraniał lady Crewkerne wydawania niepochlebnych opinii o księciu. Tylda nabierała powoli przekonania, że coś na pewno jest nie w porządku. Próbowała domyślić się, co to może być.

Może książę jest kaleką lub jego wygląd jest przerażający? Każdy jednak mówił, że ma dobrą prezencję i że jest przystojny. W ten sam sposób mówiono także o królu

Ludwiku. W Linderhofie wisiały płótna, które dowodziły prawdy tych słów.

Co to może być? - zastanawiała się Tylda.

W miarę jak jechali coraz dalej na południe, zaczęła żałować, że od samego początku nie sprzeciwiła się temu małżeństwu!

Niczego by to jednak nie zmieniło.

Zarówno matka, jak i ojciec cieszyli się bowiem z zaszczytu, jakiego dostąpiła. Powinna była jednak nakłonić ich do pokazania jakiejś podobizny księcia.

Mogła też wywołać zamieszanie, upierać się bardziej stanowczo przy nieogłaszaniu zaręczyn, dopóki Maksymilian nie przyjedzie do niej do Anglii.

Podawano jej jednak różne powody i wymówki, dla których nie mógł tego zrobić.

- Nie może opuścić swojego państwa.

- Jego wyjazd może stać się dla Niemiec okazją do zagrożenia niepodległości Oberni.

- Zajęłoby mu to za dużo czasu, biorąc pod uwagę takt, że ślub zaplanowano na początek czerwca;

Wszystkie te usprawiedliwienia wydawały się wtedy bardzo logiczne i Tylda przyjęła je bez dalszych dociekań.

Ale teraz zaczęła coś podejrzewać.

Czy jakakolwiek inna, żyjąca współcześnie panna młoda wyszłaby za mąż, nie mając najmniejszego pojęcia, jak wygląda jej wybranek? Inni królowie i książęta umieszczali swe wizerunki na monetach, a ona do - tej pory nie widziała żadnych monet pochodzących z Oberni. Linderhof przywołał wszystkie jej marzenia, które snuła będąc już na tyle dorosła, aby móc myśleć o zamążpójściu.

Było to wymarzone miejsce na przeżycie romantycznej przygody. Wyobrażała sobie, że w takim właśnie pałacu przechadza się w nowych, pięknych szatach, po wspaniałych,

błyszczących złotem komnatach, w których każda ściana szepcze o miłości.

Przystanęła w lustrzanej komnacie i ujrzała swe odbicie najpierw w jednym lustrze, potem zaś w pozostałych. Ujrzała setki, nie - tysiące Wiktorii Matyld Tetherton - Smythe. Jakże niewinnie i niepozornie wyglądała!

Wtedy uśmiechnęła się.

Pasowała jak ulał do Linderhofu i mogłaby tu śmiało zamieszkać jak księżniczka z bajki, gdyby tylko był w nim jakiś książę, który wodziłby za nią rozkochanymi oczami.

Nagle poczuła w sercu jakby dotknięcie lodowatej dłoni i przypomniała sobie przestrogi wypowiedziane przez matkę przed wyjazdem z Anglii.

- Nie wolno ci oczekiwać zbyt wiele po małżeństwie, Tyldo - powiedziała twardo Pricilla. - Zawierasz mariage de convenance i dlatego ty i twój mąż musicie zostać przyjaciółmi. Powinnaś być w stosunku do niego lojalna i spodziewać się, że on zachowa się tak samo. Niczego więcej nie możesz żądać.

Tylda uznała wtedy, że takie podejście do związku między mężczyzną a kobietą jest zbyt wyrachowane i pozbawione jakiegokolwiek radości. Ale pocieszała się myślą, że wszystko jednak skończy się dobrze.

Kiedy spotka księcia, zakochają się w sobie nawzajem.

Do tej pory spotkała niewielu mężczyzn. Mimo to zauważyła, że nawet odwiedzający ich dom w Worchestershire przyjaciele jej ojca spoglądali na nią z ledwo uchwytnym błyskiem w oku. Tylda wiedziała, że był to podziw.

Książę będzie mnie podziwiał, wmawiała sobie, i jeżeli jest przystojny, to ja także będę go podziwiał, i wtedy..

Kładąc się wieczorem spać, snuła rozważania o szczęśliwym i romantycznym życiu, jakie czekało ją w

Obierni. Oczyma wyobraźni widziała już uśmiechających się i wiwatujących na jej cześć mieszkańców stolicy. Wyobrażała sobie, jak okazuje przychylność i zrozumienie swoim poddanym. Głęboko w sercu wierzyła, że księżę będzie ją kochać i że ona też go pokocha.

Teraz jednak się bała.

Przerażały ją wielkie, ponure pałace, w których miała okazję się zatrzymywać. Większość z nich rozpadała się, wymagając odmalowania i remontu.

Wyobraziła sobie królów i książąt, jak siedzą w martwej ciszy i prowadzą jednostronną konwersację z ludźmi, którzy odpowiadają mogąc tylko mamrotać: „Tak, panie”, „Dokładnie tak, panie”, i „Macie niewątpliwie rację, panie”.

Nie zniosę tego! Nie jestem w stanie słuchać tego dzień po dniu, rok po roku! - rzekła do siebie Tylda.

Nagle zrozumiała dlaczego ją kształcono i po co spędziła tyle godzin na nauce języków!

Dlaczego czytała wszystkie te historyczne książki, które nie zawierały niczego poza datami i opisami bitew, informacjami o narodzinach i śmierci! Dlaczego musiała studiować mapy, które wisiały w jej pokoju do nauki! Wisiały tam mapy Europy z okresu rządów Napoleona, na których zmieniono granice prawie wszystkich państw, oraz mapy z okresu następującego po jego wygnaniu, na których przywrócono państwom ich pierwotne kształty.

Teraz doszły jeszcze mapy Europy, wydrukowane po roku 1871, pochodzące z okresu, w którym powstał Związek Niemiecki.

Obecnie brunatny kolor Niemiec rozciągał się od Rosji do Francji, a tereny zdobyte po podpisaniu Traktatu Praskiego zaznaczono trochę jaśniejszym odcieniem.

Brunatny kolor jest właściwy dla Niemiec, pomyślała Tylda. To zły, nudny kraj. A przy tym tak ponury!

Z Prusami kojarzyło się coś twardego i autokratycznego. Choć na własne oczy widziała niewielu Bawarczyków, twierdziła, że są zupełnie inni. Byli ludźmi wesołymi i wyobrażała sobie, że tacy też będą mieszkańcy Oberni. Jeszcze przed jej wyjazdem do Anglii rodzice przygotowali szczegółowy plan podróży. Przewidywał on, że zanim przekroczy granicę z Obernią, zatrzyma się na dwie noce w Linderhofie.

Linderhof stanowił praktycznie ostatni etap jej podróży, gdyż od Oberni dzieliło pałac jedynie pięć kilometrów.

Potem miała wjechać do księstwa, którym będzie władać. Zacznie się wówczas w jej życiu nowy rozdział.

- Król Ludwik dobrze zna księcia Maksymiliana - poinformowała córkę księżna Pricilla - i powie ci wszystko, co będziesz chciała wiedzieć, zanim wjedziesz do stolicy swej nowej ojczyzny.

Jednak nieuchwytnego i tajemniczego króla Ludwika Tylda nie spotkała i była niepoczyszona, że nadal nic nie wie o księciu Maksymilianie. Istniało również duże prawdopodobieństwo, że gdy opuści Linderhof, popełni wiele gaf.

Wieczorem, kiedy przybyli na miejsce, było zbyt mało czasu, by wszystko zobaczyć. Ale następnego dnia przydzielony Tyldzie adiutant zabrał ją i jej towarzyszy podróży na dłuższą wycieczkę po pałacu i ogrodach.

Teren był tak nieduży, że obejrzenie wszystkiego nie zajęło im zbyt wiele czasu.

Tylda była zachwycona, że król z takim pietyzmem zatroszczył się o każdy szczegół wystroju swego baśniowego pałacu. Postanowiła więc przejść się po nim jeszcze raz sama.

Oglądała hafty na zasłonach, podziwiała porcelanowego pawia z Sevres i zachwycała się malutkim owalnym sekretarzykiem z drzewa różanego.

Na pokrytej boazerią ścianie wisiały obrazy przodków króla, umieszczone w ramach z różowej porcelany lub w pięknie rzeźbionych oprawach, z których słynęli bawarscy rzemieślnicy.

Tylko ktoś, kto ma głębokie wyczucie piękna i serce bijące żywiej na widok tego, co widzą oczy i słyszą uszy, mógł wymyślić coś tak doskonałego, powiedziała sobie Tylda.

Powróciła do salonu z uczuciem, że pływała przed chwilą w obłokach. I zastała ogólne zamieszanie.

- Nie mogę tego zrozumieć! - mówiła lady Crewkerne. - Czy jesteś pewien, iż Jego Książęca Mość wie, że tu jesteśmy - i że czekamy?

- Co się stało? - spytała Tylda.

Zapadła niezręczna cisza, zanim profesor Schiller, który zawsze był spokojny i rzeczowy, wyjaśnił:

- Lady Wiktorio, przygotowania do twego przyjęcia w Oberni nie są jeszcze zakończone.

- Czyżbyśmy przybyli wcześniej, niż się nas spodziewano? - zdziwiła się Tylda.

- Nie. To jest dzień, na który twój ojciec zaplanował nasz przyjazd do Linderhofu, i data, o której Jego Książęca Mość został powiadomiony.

Wszyscy, łącznie z przydzielonym im adiutantem, wyglądali na tak zmartwionych, że Tylda się uśmiechnęła.

- Cóż, w tak doskonałym i przepięknym otoczeniu mogę czekać bez końca - zdecydowała Tylda.

Najpierw lady Crewkerne, a potem profesor zerknął w stronę adiutanta.

Nie był to młody człowiek. Tylda już w chwili przybycia tutaj zauważyła, że jest zatroskany i jakby trochę zaniepokojony.

Teraz wrażenie to było jeszcze silniejsze.

- Muszę wyjaśnić, lady Wiktorio - powiedział, jak człowiek, który szuka właściwych słów - że owa komplikacja planów jest niefortunna także z innego punktu widzenia.

- To znaczy? - dopytywała się Tylda.

- Nie możesz tu zostać, pani.

Oczy Tyldy rozszerzyły się ze zdziwienia, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, lady Crewkerne odezwała się:

- Czy jest pan tego pewien? Czy nie można zwrócić się do Jego Wysokości o pozwolenie?

Adiutant pokręcił przecząco głową.

- Jak już przed chwilą wyjaśniłem - odparł - Jego Wysokość nie toleruje jakichkolwiek ingerencji w swoje plany. Spodziewał się gościć was przez dwie noce. Wydał zarządzenia, iż macie wyjechać jutro. Ogromnie mi przykro z tego powodu, lecz musicie podporządkować się woli króla.

Lady Crewkerne prychnęła rozdrażniona, ale nie rzekła ani słowa. Po chwili Tylda zapytała:

- Dokąd więc mamy się udać? Nie mogę przecież wjechać do Oberni, dopóki nie będą gotowi mnie przyjąć.

- Mogę jedynie zasugerować - odparł z konsternacją adiutant - byście powrócili do Wirtembergii.

- To niemożliwe! - zaprotestowała Tylda. - Korzystaliśmy z uprzejmości króla Karola przez trzy noce. Słyszałam, że zaraz po naszym wyjeździe miał wyruszyć do Alzacji.

Nikt nic nie powiedział, więc po chwili dodała:

- Nie chciałabym ponownie narzucać mu naszej obecności.

- Nie, nie śmielibyśmy tego uczynić - zgodziła się lady Crewkerne. Tylda wiedziała, że lady Crewkerne nie podobało się w Wirtembergii i że nie miała ochoty tam wracać.

- Jedynym wyjściem dla was - powiedział adiutant po zastanowieniu - jest wyjazd do Monachium.

- Do pałacu Jego Wysokości? - zapytała lady Crewkerne.

- Obawiam się, że to także może okazać się niemożliwe - odparł adiutant.

Tylda widziała, jak bardzo jest zakłopotany, będąc zmuszony odmówić im dalszej gościny.

Przypomniała sobie teraz, że inni dużo mówili o dziwnym zachowaniu króla Ludwika.

W jej obecności zazwyczaj byli bardzo ostrożni i plotkowali tylko na temat niektórych osób. Mimo to słyszała, jak wielu krewnych jej matki z dezaprobatą wyrażała się o zachowaniu króla.

Król Hanoweru, George, mówiący zawsze bez ogródek, poczynił kiedyś uwagę:

- Ten człowiek to wariat! Oto, co mu dolega. Zawsze to powtarzam!

Żona skarciła go wtedy i zmieniono od razu temat. Tylda nie zapomniała tego.

- Czy pan naprawdę sugeruje - spytała lady Crewkerne - abyśmy zatrzymali się w hotelu?

- To świetny hotel - odparł adiutant.

- To prawda - potwierdził profesor. - Pamiętam go dobrze. Jest bardzo wygodny i cieszy się dobrą renomą. Gościło w nim wielu dostojnych gości.

- Księżę Forthamptonu - zauważyła lady Crewkerne - zaplanował podróż dla swej córki tak, aby nie musiała nocować w jakiejś oberży.

- Cóż, właśnie będziemy musieli się tam zatrzymać - powiedziała Tylda, wykazując się rozsądkiem - chyba że chcemy spędzić noc w górach. Ponieważ nadal leży tam śnieg, myślę, że byłoby nam bardzo zimno!

Uśmiechała się wypowiadając te słowa.

Postanowiła potraktować to wszystko jako ciekawą przygodę i, chociaż nie miała odwagi się do tego przyznać, z

prawdziwą ulgą przyjęła myśl o odroczeniu o kilka dni przyjazdu do Oberni.

Lady Crewkerne wstała.

- Do czego to doszło - rzekła lodowatym tonem - żeby bliska potomkini naszej miłościwej królowej musiała płacić za dach nad głową!

Opuściła szybkim krokiem salę. Tylda uśmiechnęła się do adiutanta.

- Proszę się nie martwić - pocieszyła go. - Nie mam nic przeciwko temu. Już dawno chciałam zobaczyć Monachium. Profesor wiele mi o nim opowiadał.

Był to zresztą jeden z tematów, przy których profesor Schiller zapominał o przyjmowaniu pozy surowości. Był studentem na uniwersytecie w Monachium, a później przez kilka lat tam wykładał. Kiedy tylko zaczynał mówić o tym mieście, jego głos nabierał ciepła. Sam też się ożywiał, co, niestety, rzadko się zdarzało w czasie lekcji historii i języków.

- Musisz zrozumieć, pani - zwrócił się do Tyldy adiutant - iż postępuję jedynie zgodnie z instrukcją i wykonuję rozkazy Jego Wysokości.

- Ależ oczywiście, że rozumiem - zapewniła go Tylda. - Nie możemy narzekać tylko dlatego, że mamy jakieś trudności przy samym końcu podróży, szczęście sprzyjało nam przez całą drogę.

Ponownie się uśmiechnęła. Adiutant skłonił się, a w jego oku pojawił się ledwie dostrzegalny błysk.

- Jaśnie pani jest bardzo łaskawa.

- A teraz, profesorze - rzekła Tylda do swego nauczyciela - chciałabym przekonać się na własne oczy, czy nie przesadził pan z pochwałami o Monachium i czy rzeczywiście jest takie piękne i zachwycające, jak pan mówił.

- Sama zobaczysz! Sama zobaczysz! - wykrzyknął profesor.

Tylda wiedziała, że on także jest zadowolony z wyjazdu do Monachium. Z pewnością cieszyła go perspektywa ponownego ujrzania miasta, które w młodości tak wiele dla niego znaczyło. Tylko lady Crewkerne chodziła nadszana i była nieprzyjemna przez resztę wieczoru. Tylda nie słuchała jej narzekania.

Wciąż była zauroczona Linderhofem: Postanowiła zachować w pamięci wszystko, co tu zobaczyła.

Może pewnego dnia - powiedziała sobie. - będę, mogła wybudować coś równie uroczonego.

Myśl ta ją upajała.

Tej nocy, gdy wspaniałe błyszczące kandelabry odbijały się w srebrnych lustrach, Tylda czuła, jak zapada w romantyczny sen, w którym wszystko, co kiedykolwiek potrafiła sobie wyobrazić i za czym tęskniła, stało się prawdą.

Wstała wcześniej, ponieważ nie chciała zmarnować swoich ostatnich godzin w Linderhofie.

Wymknęła się po schodach, zanim jeszcze lady Crewkerne się ubrała i nim profesor wyszedł ze swej sypialni. Spacerowała po salonach i do tego stopnia straciła poczucie czasu podziwiając wszystko, co tam spotkała, że musiała potem bardzo przeproszać za spóźnione przyjście na śniadanie.

Z jakiegoś powodu, dobrze znanego tylko lady Crewkerne i adiutantowi, powozy zostały zamówione dopiero na jedenastą. Zamiast siedzieć i słuchać przeprosin, wypowiedzianych coraz bardziej pokornym tonem, Tylda ruszyła w stronę ogrodów.

Dzień, jak na koniec maja, był ciepły. Promienie słońca, które padały na kwitnące drzewa otaczające Linderhof, powodowały, że pałac wyglądał jak z baśni.

Lśnił cały jak perła. A dalej, w stronę błękitnego nieba wznosiły się pokryte śniegiem szczyty bawarskich gór.

Tylda wiedziała, że w ciągu dnia będzie cieplej, ale noc była zimna.

Cieszyła się, że w nocy spała pod grubą, puchową kołdrą.

Teraz jednak nie potrzebowała płaszcza. Zadowolona była, że włożyła czepek; słońce zaczęło mocno grzać. Zawiązany pod brodą wstążeczkami w kolorze jej oczu, użyczał cienia.

Weszła po ogrodowych schodach na tyły pałacu, po czym wspięła się jeszcze wyżej. Król zaprojektował ogrody zgodnie z zasadami współczesnej sztuki ogrodowej, natomiast lasy pozostawił w stanie naturalnym. Stanowiły one rzeczywiście idealne tło dla tak cudownej perły, jaką był Linderhof.

Patrząc na srebrne i białe brzozy, pod którymi rosły przetykane mchem dzikie kwiaty. Tylda zaczęła się zastanawiać, czy istnieje coś piękniejszego od samej przyrody.

Wspinała się wyżej i wyżej, wiedząc, iż ze szczytu ujrzy przed sobą wspaniałą górski krajobraz. Droga była męcząca, więc po krótkiej chwili usiadła na zwalonym pniu. Zewsząd otaczały ją drzewa. Usłyszała dochodzące z dołu głosy. Między drzewami zobaczyła mężczyznę i kobietę, którzy trzymali się za ręce i wspinali na zbocze,

- To za daleko i zbyt wyczerpujące! - protestowała kobieta.

Mówiła po niemiecku, a niemiecki Tylda знаła bardzo dobrze. - Chcę, byś zobaczyła ten widok z góry - namawiał mężczyzna. Mówił basem.

Teraz dostrzegła go pomiędzy drzewami i stwierdziła, że prezentował się wspaniale. Rysy miał wyraźne i podobny był do wielu innych przystojnych mężczyzn, których widziała po przyjeździe do Bawarii. Miał na sobie chłopski strój, który wydawał jej się dziwny, ale jednocześnie odniosła wrażenie, że jest niesłychanie atrakcyjny. Skórzane szorty, zielony kaftan z kościanymi guzikami, a na głowie wesoły, mały,

zielony filcowy kapelusik z wystającym z tyłu piórkiem - wszystko to bardzo do niego pasowało.

Ten mężczyzna prezentuje się świetnie, a do tego jest bardzo przystojny! - pomyślała Tylda.

Potem spojrzała na jego towarzyszkę. Była niezwykle piękna. Miała rude włosy, ale o tak żywym kolorze, że w jego naturalność można było wątpić. Bardzo duże oczy ocieniały ciemne rzęsy. Usta miała czerwone. Wydeła je mówiąc:

- To nie ma sensu, Rudolfie, nie zrobię już ani kroku.

- Musisz - tyle już przeszłaś. To tylko jeszcze jeden krok.

- A potem jeszcze jeden i jeszcze jeden...

- Och, Mitzi, nie poddawaj się - błagał mężczyzna, który miał na imię Rudolf. - Poza tym, wysiłek wyjdzie ci na zdrowie.

- Jestem zmęczona. Nie zamierzam iść ani kroku w górę, a w ogóle to komu by się chciało oglądać te stare góry?

- Nie masz duszy. Oto, czego ci brakuje.

- Ale za to mam dużo serca! - odparła Mitzi.

- To prawda!

Podczas wymiany zdań stali nie poruszając się. Teraz jednak objął swą towarzyszkę.

- Bardzo ładnie dziś wyglądasz - rzekł. - Czyżbym zapomniał ci to powiedzieć?

- Zapomniałeś i uważam to za zlekceważenie mojej osoby.

- Cóż, więc nadrobię to teraz - odpowiedział. Gdy to mówił, przycisnął ją mocno do siebie i pocałował.

Tylda obserwowała ich z rosnącym zainteresowaniem.

Nigdy jeszcze nie widziała mężczyzny całującego kobietę w taki sposób, tak zaborczo, tak zapamiętale. Rudolf był postawnym mężczyzną o szerokich barach, a Mitzi, przeciwnie - była mała i delikatna. Wydawało się, że Mitzi zniknęła, gdy przycisnął ją do siebie: Było coś pociągającego

w ich postawie, gdy stali dotykając się ustami. Tylda nie zdawała sobie sprawy, że był to odwieczny wyraz miłości.

Wreszcie, gdy już myślała, że ten pocałunek nigdy się nie skończy, Rudolf podniósł głowę.

- Podniecasz mnie - ty zawsze mnie podniecasz, Mitzi. Chcę ciebie!

Mitzi zaśmiała się krótko.

- Jakiej odpowiedzi ode mnie się spodziewasz?

- Chcę ciebie - powtórzył, a w jego głosie słyhać było teraz głęboką, wibrującą nutę. - Pragnę cię teraz i zaraz i nie mam zamiaru czekać!

- Tutaj? Wiesie? Chyba oszalałeś!

- Dlaczego to ma być takie szalone? Czy może być coś bardziej rozkosznego, bardziej naturalnego?

Mitzi znów się zaśmiała, gdy on całował teraz nie jej wargi, lecz szyję.

Przycisnął ją jeszcze mocniej, ale udało się jej jakoś wyswobodzić.

- Jeśli mnie chcesz, będziesz musiał mnie najpierw złapać - zaśmiała się prowokująco.

Zacząła uciekać w dół, zboczem góry, omijając drzewa, coraz szybciej i szybciej. - Mitzi! Mitzi! - krzyczał Rudolf.

Po chwili pobiegł za nią. Biegł potykając się, ale pędził z taką lekkością, jakiej nie można było się spodziewać po człowieku jego postury.

Biegł szybciej niż ona albo też dziewczyna zwolniła tempo, bo doścignął ją w połowie zbocza.

Wyciągając szyję, Tylda nadał mogła ich obserwować; mężczyzna ponownie wziął swoją ukochaną w ramiona i zaczął ją znowu całować.

Czekała z zapartym tchem chcąc zobaczyć, co się teraz stanie, ale wystraszył ją głos dochodzący z dołu:

- Jaśnie pani, konie czekają!

Tylda odwróciła się niechętnie i zobaczyła swojego adiutanta, w pięknym, przetykanym złotem mundurze. Poczerwieniał na twarzy utrudzony wspinaniem się na górę.

Wstała z pnia.

- Przepraszam - rzekła - zapomniałam, która godzina.

- Martwiliśmy się, gdzie jaśnie pani przebywa - zaczął adiutant. - Szczęśliwie jeden z ogrodników zobaczył jaśnie panią idącą w stronę gór.

- Już schodzę - oznajmiła Tylda.

Po raz ostatni spojrzała na parę, którą widziała przed chwilą całującą się daleko w dole. Nie zauważyła jej teraz. Wydawało się jej jednak, że dostrzegła trzepoczącą białą sukienkę Mitzi.

Nie miała całkowitej pewności. Widziała ją tuż przy ziemi, mógł więc to być po prostu kwiat.

W każdym razie nie mogła zdradzić się z tym, że podglądała.

Zeszła do oczekującego adiutanta.

Ujął ją za rękę i poprowadził w dół zbocza, aż dotarli do kamiennych stopni prowadzących ze wzgórza do ogrodu.

- Te lasy są bardzo piękne - stwierdziła Tylda. - Czy można tu spacerować?

- Stanowią one raczej odosobnioną część tej krainy - odparł adiutant. - Nie obowiązują oficjalne zakazy dla turystów lub zwiedzających, ale Jego Wysokość bynajmniej nie zachęca ich do podchodzenia zbyt blisko pałacu.

- Tak, rozumiem - powiedziała Tylda. Zastanawiała się, kim mogli być Rudolf i Mitzi. Może byli małżeństwem spędzającym tu wakacje?

Pomyślała, że chyba tak. Niezameężnej dziewczynie nie pozwolono by włóczyć się po lesie sam na sam z mężczyzną. A Mitzi wydawała się być dziewczyną wyrafinowaną i

światową. Tylda była prawie pewna, że ani jej wargi, ani włosy nie miały naturalnego koloru.

- Nigdy się nie dowiem, kim byli ci dwoje - rzekła do siebie, wzdychając lekko.

Czuła się jak po przeczytaniu do połowy książki, która później gdzieś zaginęła, więc nie będzie się już można dowiedzieć, jaki był koniec historii.

W powozie jadącym w kierunku Monachium Tylda zaczęła myśleć o dziwnym brzmieniu głosu Rudolfa, kiedy mówił do Mitzi: „Chcę ciebie! Chcę cię!”

Głos ten przenikał ją do głębi, nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje.

Doszła do wniosku, że prości ludzie, w odróżnieniu od szlachetnie urodzonych, wyrażali swoje pragnienia właśnie w taki gwałtowny sposób. Z pewnością kontrastowało to z pozbawionymi emocji głosami i słowami, które w ustach poznanych w podróży osób wydawały się płynąć zbyt leniwie.

Dotarłszy do hotelu w Monachium, stwierdzili, że jest ogromny, imponujący i wygodny. Nawet lady Crewkerne wyraziła zadowolenie.

Dla Tyldy była to przygoda, jakiej nie spodziewała się przeżyć w czasie swej podróży.

Na ulicach pełnych przechodniów, większość mężczyzn ubrana była w bawarskie stroje, kobiety zaś nosiły czerwone peleryny, czarne kaftaniki i białe zdobione koszule.

Po obu stronach stały olbrzymie wysokie budynki. Gdy przejeżdżali przez Marienplatz, profesor pokazał z dumą nowy ratusz o spadzistych dachach ukoronowanych wieżyczkami z dzwonami.

- Pokryte emalią miedziane postacie na wieży ratusza stanowią jedną z głównych atrakcji Monachium, a Glockenspiel czy też zespół dzwonów - mówił z dumą w głosie profesor - należą do największych w Europie.

- Jeśli będziemy dysponować jutro wolnym czasem, lady Wiktorio - powiedział do Tyldy - zabiorę panią do galerii obrazów w Alta Pinakothek. Została ona wzniesiona w weneckim stylu renesansowym, a znajdują się w niej malowidła zbierane przez Wittelbachów od końca szesnastego wieku.

- Chyba mi się to spodoba - odparła Tylda.

- Są tu także liczne kościoły, które musi pani zobaczyć przed opuszczeniem Monachium.

- Lubię bawarskie kościoły - oznajmiła Tylda. - Kochani te ich wesołe malowane rzeźby. Są piękne!

- Wielka szkoda, że nie mogliśmy zostać w pałacu - przerwała lady Crewkerne zgorzkniałym głosem.

- Myślę, że zabawniej będzie mieszkać w hotelu - powiedziała Tylda. - Widzieliśmy już tyle pałaców, lecz żadnego hotelu.

- Miejmy nadzieję, że nasz pobyt tam nie będzie długi - dodała jeszcze lady Crewkerne.

Odwróciła się w stronę profesora.

- Czy powiadomił pan Jego Książęcą Mość, gdzie może nas znaleźć?

- Dzisiaj rano, zanim opuściliśmy Linderhof, wysłałem gońca z wiadomością do Oberni - odparł profesor, - Jestem przekonany, że Jego Książęcą Mość zrozumie nasze położenie.

- Miejmy nadzieję - powiedziała lady Crewkerne. Ton jej głosu kazał domyślić się Tyldzie, iż książę został przez nią uznany za człowieka zbyt mało wrażliwego, aby zrozumieć to, co ona uznała za obrazę.

O mój Boże, pomyślała Tylda, zdaje się, że moje nowe życie zaczyna się dosyć pechowo!

W głębi duszy nie przejmowała się tym. Obecna sytuacja umożliwiała jej zwiedzenie Monachium.

Profesor mógł chwalić to miasto bez końca. Te piękne ulice, te domy, te muzea, te kościoły, ten uniwersytet - mówił o nich tak, jakby miasto to było rajem dla młodych i mądrych.

Wspomniał także, rzecz jasna, o piwiarniach.

Rozgadał się o swoich młodzieńczych latach i conocnych wizytach w piwiarniach.

Było w nich tak wesoło, tak zabawnie, opowiadał Tyldzie. W piwiarniach występowali artyści, którzy również śpiewali. Niektórzy w tym samym czasie pracowali w operze, nie gardzili jednak dodatkowym zarobkiem. Odbywały się tam także tańce.

- Jakie tańce? - chciała wiedzieć Tylda.

- Bawiono się przy ludowej muzyce. Mężczyźni klaszczą w dłonie i uderzają o poły swoich skórzanych spodni. Widzowie klaszczą i wspólnie z nimi śpiewają modne piosenki.

- To musi być świetna zabawa! - wykrzyknęła Tylda.

- I tak też jest - potwierdził profesor. - Byli także inni wykonawcy, którzy jodłowali i grali na krowich dzwonekach.

- Co to znaczy? - spytała Tylda.

- W Bawarii krowiej przewodniczce wieszka się na szyi dzwonek, żeby stado szło jej śladem i się nie zgubiło. Te dzwonki mają inny ton.

- Rozumiem! - wykrzyknęła Tylda. - Potrząsają nimi, jeden po drugim, wygrywając melodię!

- Właśnie! - profesor uśmiechnął się.

- W Anglii na wsi grają na dzwonekach w czasie świąt Bożego Narodzenia - powiedziała Tylda - i te dzwonki mają uchwyty.

- Te tutaj mają tylko pętlę, by przeciągnąć pasek i powiesić krowie dzwonek na szyi - wyjaśnił profesor. - Mężczyźni potrafią wygrywać na krowich dzwonekach rozmaite melodie, nawet najbardziej znane.

- Och, chciałabym je usłyszeć! - krzyknęła Tylda. - Ale najbardziej chciałabym zobaczyć te tańce!

Mówiąc to, czuła, że czegoś takiego nigdy nie zobaczy, chyba że przygotowano by specjalnie dla niej i dla księcia przedstawienie z okazji ślubu. Teraz, gdy była w Monachium, jej myśli krążyły wokół piwiarń. Miała nadzieję - tylko nadzieję, że może uda się namówić profesora, aby ją zabrał do którejś z nich.

Obiad zjedli w dość ponuro wyglądającej sali jadalnej, wyłożonej dębową boazerią. Kiedy tylko skończyli jeść, lady Crewkerne wstała od stołu.

- Boli mnie głowa - oznajmiła - i mam zamiar natychmiast położyć się spać. Radzę, lady Wiktorio, abyś uczyniła to samo.

- Tak zrobię, pani - przytaknęła Tylda. - Czy mogę tylko dopić kawę?

- Oczywiście - zezwoliła lady Crewkerne. - A przy okazji, zapomniałam wspomnieć ci, pani, że twoja pokojówka jest bardzo przeziębiona. Nie życzyłabym sobie, byś i ty, pani, zachorowała przed wyjazdem do Oberni, więc kazałam jej już się położyć. Któraś z hotelowych pokojówek pomoże ci się rozebrać.

- Tak, zauważyłam, że Hannah wygląda mizernie - rzekła Tylda. - Źle znosi wstrząsy podczas jazdy powozem. Zawsze robi się jej niedobrze. Wydaje mi się, że bolała ją głowa przez cały czas, odkąd opuściliśmy Anglię.

- Bóle głowy to jedno, a przeziębienie to coś zupełnie innego! - powiedziała twardo lady Crewkerne. - Mam nadzieję, że jutro będzie się lepiej czuła, ale niech trzyma się od ciebie tak daleko, jak to tylko możliwe.

Zrobiła pauzę, a potem rzekła:

- Dobranoc, profesorze.

- Dobranoc, pani.

Lady Crewkerne wyszła z sali jadalnej. Tylda podniosła się, gdy tamta wychodziła, ale zaraz usiadła z powrotem.

- Czy mogę wypić jeszcze jedną filiżankę kawy? - spytała.

- A będzie pani mogła potem zasnąć? - chciał się upewnić profesor.

- Zawsze mogę zasnąć - odpowiedziała Tylda - a ta kawa jest pyszna.

- Bawarska kawa! - zachwalał profesor głosem pełnym wzruszenia. - Nawet na wsi można znaleźć dobrą kawę z wielką ilością pływającej na wierzchu bitej śmietany. Pycha!

- Czy mają taką kawę w piwiarniach? - zapytała Tylda.

- Ależ oczywiście - odparł profesor - mają także długie, wysokie szklanki pełne lekkiego, pianistego bawarskiego piwa. Jest ono, pani, smaczniejsze od szampana!

- Chciałabym go skosztować - powiedziała Tylda.

- W Hofbrauhaus - ciągnął profesor - który pielęgnuje stare tradycje sięgające tysiąc pięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, znajduje się wielka sklepiona sala, w której codziennie wypija się całe beczki piwa.

Zauważył, że Tylda słucha z zaciekawieniem, więc kontynuował:

- Na festiwalu i dla sławnych ludzi warzy się specjalne rodzaje piwa.

Tylda położyła dłonie na stole i nachyliła się do przodu.

- Niech pan posłucha, profesorze - zaczęła - dlaczego nie mielibyśmy, pan i ja, pójść dziś wieczorem do piwiarni?

- Lady Wiktorio, chyba pani żartuje!

- Nie, mówię poważnie - odparła Tylda. - Tak wiele mi pan opowiadał o tym, jak wesoło jest w piwiarniach monachijskich, że chciałabym odwiedzić choć jedną!

- Chętnie bym panią zaprowadził do jakiejś, piwiarni - odrzekł profesor - lecz zdajesz sobie sprawę, pani, równie dobrze jak ja, że jest to niemożliwe!

- Dlaczego niemożliwe? - dopytywała się Tylda. - Nasza jejmość jest w łóżku. Hannah nie będzie na mnie czekać. Któż się dowie, jeśli wykradniemy się, pan i ja, i pójdziemy tam?

- Nie, nie! - krzyknął profesor. - To jest wykluczone!

- Będzie to z korzyścią dla mojej edukacji - nakłaniała profesora Tylda. - Moim zdaniem, księżna, która będzie zasiadać na tronie, powinna wiedzieć, co interesuje jej poddanych. Czy pan to rozumie? Trudno pojąć wszystkie te rzeczy, póki nie zobaczy się miejsc, do których chodzą, nie usłyszy pieśni, które lubią, i nie ujrzy ich w tańcu:

- Wydaje mi się, że twe zamiary są słuszne, pani - odpowiedział profesor. - Jak pani wie, zawsze byłem człowiekiem nastawionym liberalnie. Sądzę, że wszyscy monarchowie za mało stykają się ze swoimi poddanymi.

- Jak na przykład królowa w Windsorze - wtrąciła Tylda.

- Właśnie! - przyznał. - Ale to od Jego Wysokości zależeć będzie, jak dalece będziesz, pani, mogła złagodzić rygory starego protokołu, którego przestrzeganie więzi wszystkich władców w szklanych klatkach.

- Jego Królewska Mość nie wydaje się w tej chwili zbyt mną zainteresowany - odparła Tylda - a ja tak bardzo chciałabym zobaczyć piwiarnię.

- Mówiłem pi już, pani, to niemożliwe - odpowiedział profesor.

Tylda westchnęła.

- W takim razie będę musiała pójść tam sama!

- Lady Wiktorio!

Profesor był wstrząśnięty i zdumiony zarazem.

- Pójdę sama lub poproszę któregoś z kelnerów, by mi towarzyszył - rzekła Tylda. - A gdy się o tym dowiedzą i

spytają mnie, dlaczego zachowałam się tak skandalicznie, powiem wtedy, że to wszystko pana wina.

- Moja wina? - jęknął profesor.

- Tak. To przecież pan opowiedział mi o piwiarniach. To pan mówił mi o tym, jak w nich jest przyjemnie, to pan rozbudził moją ciekawość, a potem odmówił towarzyszenia do jednej z nich.

- Lady Wiktorio, drażnisz się, pani, ze mną! - wykrzyknął profesor. - Często stroi sobie pani ze mnie żarty. Odkąd zostałam jej nauczycielem, często próbowała pani mnie sprowokować - ale tym razem, pani, posuwasz się za daleko!

- Zrobię to, co powiedziałam - odparła Tylda. - Albo pan mnie zabierze do piwiarni, albo idę sama.

Profesor przeciągnął dłonią po czole. Pocił się.

- Przeanalizujmy to logicznie - poprosił.

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdziła Tylda. - Zrobię to, co mówię... Nie mam zamiaru tracić takiej okazji.

Wykonała szybki ruch ręką.

- Kiedy znów w swoim życiu odwiedzę Monachium i kiedy znowu będę miała możliwość zobaczenia czegoś tak prawdziwego i ekscytującego? Komu to zaszkodzi? Kogo to zrani? Poza tym, nikt nigdy się o tym nie dowie!

- Czy możemy mieć co do tego pewność? - spytał profesor.

Ustępował i Tylda zdawała sobie z tego sprawę.

- Wszystko już zaplanowałam - powiedziała. - Proszę posłuchać...

ROZDZIAŁ 3

Tylda z zadowoleniem patrzyła na swoje odbicie w lustrze.

Przez chwilę pomyślała z przerażeniem, że pokojówka nie znajdzie takiego stroju, jakiego potrzebowała.

Poszła na górę, pozostawiając w sali jadalnej oszołomionego profesora. Ścisnęła w dłoni dwa złote talenty.

- Musi pan mi dać trochę pieniędzy, profesorze - powiedziała.

- Pieniądzy? - spytał zdziwiony.

- Wie pan dobrze, że nie mam przy sobie ani grosika - wytłumaczyła - a będę musiała zapłacić pokojówce za wyszukanie dla mnie jakiegoś bawarskiego ubioru.

Spojrzał na nią zdumiony, więc pośpieszyła z wyjaśnieniem:

- Nieroztropnie byłoby iść do piwiarni i wyglądać tak jak teraz. Jestem pewna, że byśmy się wyróżniali,

- Masz rację, lady Wiktorio. Oczywiście, że ma pani rację, ale w ogóle nie powinniśmy wybierać się do piwiarni.

- Profesorze, nie zaczynajmy teraz sporu od nowa - upomniała go Tylda. - Pan zgodził się mnie zabrać i po prostu w tej chwili potrzebuję trochę pieniędzy.

Z wyraźną niechęcią wręczył jej dwa złote talenty.

Znalazłszy się w sypialni pociągnęła sznurek dzwonka i zastygła w pełnym niepokoju oczekiwaniu.

Nie była pewna, czy pokojówka, która przyjdzie, będzie młoda czy sędziwa.

Zawsze istniała możliwość, że dyrekcja hotelu będąc pod wrażeniem lady Crewkerne oraz samej księżniczki, przyśle jedną ze starszych kobiet, która nie zrozumie ani nie pochwali żadnego nocnego wypadu. Tego Tylda bała się najbardziej.

Nikt w hotelu nie wiedział, iż była narzeczoną Jego Księżęcej Mości Maksymiliana, księcia Oberni.

Książę Forthamptonu szczególnie nalegał, by nie nadawano żadnego rozgłosu ani oficjalnych komunikatów, zanim Tylda nie dojedzie bezpiecznie do Oberni.

- To mogłoby cię uwikłać w różne trudne sytuacje, moja droga - przestrzegł swą córkę. - Dziennikarze są bardzo natrętni i zuchwali. Nie życzyłbym sobie, by zadawali mi pytania, czy - co gorsza - robili zdjęcia.

Tak więc Tylda podróżowała jako turystka.

Mimo to w zajazdach, w których zmieniali konie, czy też w samym hotelu, w którym obecnie przebywali, nie obeszło się bez tego, by nie interesowano się i zachwycono ich powozami, eskortą i w ogóle całą świtą.

Odczuła bezgraniczną ulgę, gdy pukająca do drzwi pokojówka okazała się młodą, bawarską dziewczyną o krągłych policzkach. Nie była wiele starsza od samej Tyldy.

- Dzwoniłaś, gnadige Fraulein?

- Tak, dzwoniłam - odparła Tylda. - Jak masz na imię?

Służąca dygnęła i odpowiedziała:

- Mówią na mnie Gretel, gnadige Fraulein.

- Potrzebuję twojej pomocy, Gretel.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Mojej pomocy? - spytała zdumiona.

- Tak - potwierdziła Tylda. - Chcę powierzyć ci pewien sekret, Gretel.

Dziewczyna podeszła trochę bliżej. Zaintrygowały ją słowa Tyldy.

- Mam zamiar, wraz z profesorem Schillerem, odwiedzić piwiarnię - wyjaśniła Tylda. - Tak bardzo chcę zobaczyć choć jedną, ponieważ słyszałam o nich wiele ciekawych rzeczy.

- O, tak, jest tam rzeczywiście wspaniale - odparła Gretel - i bardzo wesoło, gnadige Fraulein!

- Rozumiesz więc, dlaczego chcę tam iść - lecz musisz mi pomóc.

- W jaki sposób?

- Potrzebuję bawarskiego stroju. Czy udałoby ci się znaleźć jakiś pasujący na mnie?

Pokojówka popatrzyła na Tyldę z lekkim zakłopotaniem.

- Gnadige Fraulein jest niewysoka - stwierdziła marszcząc czoło.

- Musisz coś znaleźć... proszę - błagała Tylda. - Zobacz, mogę zapłacić za kupienie takiego ubrania albo za pożyczenie czegoś na dzisiejszy wieczór.

Mówiąc to otworzyła dłoń i pokazała pokojówce dwa złote talenty.

- To za dużo, gnadige Fraulein! - wykrzyknęła Gretel.

- Tyle jestem gotowa zapłacić - powiedziała Tylda. Pokojówka przesunęła palcami po czole.

- Niech pomyślę. Na pewno muszę znać kogoś, kto użyczyłby pani odpowiedniego stroju.

. Tyldzie wydawało się, że czeka wieczność, gdy raptem pokojówka wykrzyknęła:

- Przypomniałam, sobie! Róża niedawno kupiła strój dla swojej małej siostry, która będzie druzną panny młodej podczas ślubu w przyszłym miesiącu.

Przerwała, by po chwili dodać:

- Siostra Róży ma tylko dziesięć lat, ale jestem pewna, że jej stroje będą na ciebie pasować, gnadige Fraulein.

- Więc proszę, zdobądź je dla mnie - rzekła Tylda. - Tylko szybko!

Pokojówka wyszła, a księżniczka zaczęła zdejmować wykwinną wieczorową suknię, którą włożyła do kolacji.

Nie mogła przestać rozmyślać, czy książę będzie się zachwycał jej pięknymi strojami, którym księżna Pricilla poświęciła tyle energii i pieniędzy.

Wszystkie pochodziły z pracowni najdroższych krawców w Londynie. Tyldzie, która na wsi ubierała się zawsze dość

prosto, wydawały się nie tylko wspaniałe, uważała je wręcz za arcydzieła sztuki krawieckiej.

Ale, pomyślała uśmiechając się j kładąc na łóżku suknię, na pewno w piwiarni byłyby one nie na miejscu.

Zdjęła pojedynczy sznur pereł, który zdobił jej szyję, a potem spojrzała na palec lewej ręki. Matka nie pozwoliła jej zakładać żadnej biżuterii na czas podróży, z wyjątkiem pereł.

- Byłoby to zbyt niebezpieczne - mówiła - i bez wątpienia przyciągałoby uwagę złodziei.

Reszta biżuterii Tyldy oraz liczne podarunki, wręczone jej przez rodzinę przed opuszczeniem Anglii, znajdowały się więc pod opieką Hannah.

Hannah nigdy nie spuszczała ich z oczu. Tylda była przekonana, że nawet z nimi spała. Nie trzymała ich pod poduszką, gdyż byłoby jej zbyt niewygodnie, ale obok siebie na łóżku.

Tuż przed wyjazdem Tyldy z Anglii, księżna Pricilla powiedziała:

- Powinnaś nosić jakiś pierścionek na palcu. Zanim bowiem Hannah zdąży rozpakować twą biżuterię, wyglądałabyś dziwnie, nie mając żadnych klejnotów na sobie przy powitaniu ze swoimi krewnymi.

Dała wtedy Tyldzie mały złoty pierścionek opleciony z przodu dwoma sercami, w których tkwiły małe diamentki.

- Jakie to ładne, mamó! - wykrzyknęła Tylda.

- To tylko błyskotka, którą twój ojciec podarował mi w czasie naszego miodowego miesiąca - zauważyła księżna. - Zachwyciłam się nim, gdy ujrzałam go na wystawie, więc ojciec mi go kupił. Ten pierścionek zawsze stanowił dla mnie cenną pamiątkę.

- Nie chciałabym ci go zabierać, mamó.

- Będę bardzo szczęśliwa wiedząc, że to ty gonosisz - powiedziała księżna.

Przez chwilę Tylda zastanawiała się, czy go nie zdjąć, lecz potem pomyślała, że profesor uzna jego brak za rzecz dziwną. Odłożyła więc perły do szuflady w toalecie, ale pierścionek pozostawiła na palcu.

Gretel wróciła z ubraniem.

- Och, jakie to ładne! - wykrzyknęła Tylda.

Strój stanowiły bluzka z białego muślinu wykończona wyszukаныmi czerwonymi aplikacjami, czarny staniczek sznurowany na przodzie, czerwona spódniczka, którą zakładało się na trzy wykrochmalone i ciekawie obrębione białe halki, oraz mały fartuszek zakończony koronkami.

- Jestem przekonana, że będę na ciebie pasować, gnadige Fraulein - powiedziała Gretel. - Przyniosłam ci też wianuszek na głowę.

Mówiąc to, uniosła go i Tylda zobaczyła, że wykonany był ze sztucznych kwiatów i kolorowych wstążek opadających z tyłu.

- Czy nie będzie zbyt... wymyślny? - spytała z wahaniem wiedząc, iż został przeznaczony dla druhny.

Gretel pokręciła przecząco głową.

- Nie, gnadige Fraulein. W. piwiarniach zobaczysz wiele dziewcząt z takimi właśnie wiankami. Uwielbiają się stroić, gdy idą gdzieś ze swymi chłopcami.

- Mój chłopiec jest dość leciwy - Tylda uśmiechnęła się myśląc o profesorze - ale i tak założę ten wianuszek.

Strój uszyty dla dość krzepkiej bawarskiej dziewczynki dobrze leżał na Tyldzie. Spódniczka była co prawda za luźna w talii, ale roztropna Gretel przyniosła ze sobą igłę z nićmi i ujęła pięć centymetrów. Teraz wszystko. pasowało idealnie.

- Wyglądasz bardzo atrakcyjnie, gnadige Fraulein - pochwaliła.

Spódniczka kończyła się nad kostkami i Tylda czuła się nieco zawstydzona, że widać tyle białych pończoch, które też stanowiły część stroju. Pocięszyła się, że nie będzie tam nikogo, przed kim miałyby się wstydzić. Profesor będzie zbyt zaaferowany, by na nią spojrzeć, a ona sama wierzyła, że wśród innych, podobnie ubranych, bawarskich dziewcząt odwiedzających piwiarnię, strój jej pozostanie niezauważony. Równocześnie nie mogła się powstrzymać, aby nie zadać sobie pytania, czy będzie przyciągać uwagę mężczyzn. Tu przemknął jej przez myśl książę Maksymilian i ten przystojny Bawarczyk, którego widziała dzisiejszego ranka.

Założyła czarne pantofle i po chwili z wianuszkiem wpiętym we włosy ostatni raz spojrzała na swe odbicie w lustrze. Oczy jej błyszczały w oczekiwaniu tego, co miało wkrótce nastąpić, nie tylko dlatego, że nowy strój był niezwykle twarzowy. We własnych oczach wyglądała bardzo młodo i bardzo radośnie.

- Dziękuję ci, Gretel! Dziękuję! - wykrzyknęła. - Chyba nigdy ci się nie odwdzięczę za to, co dla mnie zrobiłaś! To będzie naprawdę najwspanialsza noc w moim życiu! Przerwała, by dodać po chwili:

- Czy dotrzymasz tajemnicy? Nie powiesz nikomu? Jutro musisz przyjść do mego pokoju skoro świt, by zabrać ten strój..

- Tak zrobię, gnadige Fraulein - odparła Gretel - ale mogę go także zabrać zaraz po twoim, pani, powrocie. Mam nocną służbę na tym piętrze.

- W takim razie zadzwonię na ciebie, ale dopilnuj, abyś to ty odpowiedziała na moje wezwanie - powiedziała Tylda.

Dała pokojówce dwa złote talenty dla Róży za wypożyczenie stroju i dodała:

- Tobie dam jutro jeszcze dwa, za to, że byłaś dla mnie tak miła.

- To za dużo, o wiele za dużo, gnadige Fraulein - zaprotestowała Gretel.

Tylda pomyślała sobie, że pokojówka na pewno była zadowolona i bez wątpienia już teraz wyobrażała sobie ładny nowy strój, jaki będzie mogła kupić za otrzymane pieniądze. Trochę niepewna przeszła korytarzem i zeszła schodami na pierwsze piętro.

Poprosiła profesora, by nie czekał na nią w hallu, a na pierwszym piętrze przy schodach, tak by mogli opuścić hotel bocznym wyjściem.

Spotkała go tam i krzyknęła z zachwytem.

On także ubrał się po bawarsku.

Chociaż był już starszym i raczej tęgim mężczyzną, skórzane krótkie spodnie i zielony kaftan świetnie na nim leżały. Prezentował się jednak nieco dziwnie w oczach kogoś, kto widział go stale w ciemnym garniturze, który nosił jako profesor języków obcych.

- Przywiozłem to ze sobą - wyjaśnił profesor lekko się rumieniąc. - Po prostu na wypadek, gdybym musiał spotkać się z którymś z mych bawarskich przyjaciół.

- Bardzo się cieszę, że tak się stało - rzekła Tylda - i bardzo dumna jestem z mego towarzysza. Mam nadzieję, że ja też nie przynoszę panu wstydu.

- Wyglądasz czarująco, lady Wiktorio - podziwiał ją profesor - lecz nie powinniśmy tak postępować,

- Och, profesorze, jest już za późno, aby się wycofać - powiedziała z uśmiechem Tylda. - Aha, jeszcze jedno - umawiamy się, że ja jestem pańską bratanicą Tyldą, a pan jest moim „Wujkiem Heinrichem”. Niech się pan nie waży nawet wyszeptać imienia „Wiktorii”, bo ktoś mógłby to usłyszeć.

Profesor jęknął, lecz nic nie odpowiedział. Tylda zbiegła z profesorem schodami w dół, skąd można było dojść do bocznych drzwi hotelu. Wyszli na ulicę.

- Czy to daleko? - zapytała Tylda.

- Nie, do Hofbrauhausu jest blisko - odparł. - Będziemy tam w pięć minut.

- Więc chodźmy.

Po całonocnym upale powietrze było chłodne, ale nie było zbyt zimno.

Samo spacerowanie ulicą było o wiele przyjemniejsze niż stateczna jazda zamkniętym powozem u boku lady Crewkerne.

Profesor, wyraźnie niespokojny, szedł szybko. Tylda starała się dotrzymać mu kroku. Uważała, że najlepiej będzie nie zajmować go teraz rozmową.

Ulice były dobrze oświetlone lampami gazowymi. Przeszli przez kilka bocznych uliczek i wkrótce ukazały się przed nimi jarzące się lampy i wielkie drzwi Hofbrauhausu.

Przed wejściem stało wielu ludzi, czekając w kolejce do stolika, przy którym sprzedawano bilety wstępu. Tylda i profesor musieli poczekać na swoją kolej. Czekając, Tylda rozejrzała się wokół.

Obok stało kilku wysokich, krzepkich młodzieńców w bawarskich strojach, przeważnie z dziewczynami ubranymi podobnie jak ona sama.

Stało tam także kilka osób w średnim i starszym wieku, towarzyszących swym rodzinom w wieczornej wyprawie do centrum miasta. Wydawało się, że upłynie jeszcze dużo czasu, zanim kupią bilety, bowiem sprzedający je mężczyzna miał kłopoty z wydawaniem reszty, co wydłużało oczekiwanie. W pewnej chwili jeden z portierów skłonił się nisko i otworzył szeroko drzwi dla pary, od której najwyraźniej nie żądano biletów. Tylda spojrzała w tamtą stronę i poczuła gwałtowne bicie serca. Była to ta sama para, którą widziała w lesie nieopodal Linderhofu! Poznałaby ich wszędzie. Nie mogłaby pomylić Rudolfa z kimś innym. Miał na sobie ten sam

bawarski strój co rano. Lecz Mitzi, w przeciwieństwie do Rudolfa, wyglądała olśniewająco. Jej zielona wieczorowa suknia, wycięta bardzo głęboko i śmiało, była ozdobiona pękami zielonych piór, a na ramiona miała zarzucony długi szal z takich samych piór. Szlachetne kamienie błyszcząły pośród czerwonych włosów, spiętych w wymyślne loki na czubku głowy. Ciemne rzęsy miała dłuższe i ciemniejsze niż przedtem, a usta jeszcze bardziej czerwone:

- Dobry wieczór, Mein Herr, dobry wieczór, gnadige Fraulein - witał ich portier. - Państwa ulubiona alkowa czeka.

- Dziękuję - odrzekł Rudolf głębokim głosem, który Tylda tak dobrze pamiętała.

Spostrzegła, jak po wprowadzeniu do środka przez inne wejście niż to, przez które przechodzili posiadacze biletów, daje portierowi napiwek.

Działo się to wszystko na kilka minut przedtem, zanim profesor kupił bilety, które pozwoliły im wreszcie wejść do wielkiej sali piwiarni. Nie przypominała Ona Tyldzie niczego, co do tej pory widziała.

W najbardziej odległym końcu sali znajdowała się niewielka scena. Po bokach mieściły się prywatne alkowy, przypominające nieduże pudełka, w których ważniejsi i bardziej bogaci klienci mogli zjeść kolację. Środek piwiarni wypełniony był małymi okrągłymi stołami i krzesłami, ustawionymi tak blisko siebie, że z trudem można było przy nich usiąść. Dla profesora znaleziono wolny stolik stojący tuż koło sceny. Tylda rozglądała się dookoła z zachwytem.

Nie widziała nigdzie Rudolfa i Mitzi, lecz nie można było zajrzeć we wszystkie alkowy, ponieważ zasłaniały je wysokie balustrady i czasami sztuczne winorośle.

- Tu jest wspaniale! - Tylda zwróciła się do profesora.

- Jesteś głodna? - zapytał.

- Można tu też coś zjeść? - zdziwiła się Tylda.

- O, tak. Mamy tu do wyboru wiele monachijskich specjałów, na przykład Weisswurst, czyli białą kielbasę, - Schweinshaxen, czyli golonkę wieprzową, a także Steckerlfisch - szaszłyk z ryby, który mi akurat wyjątkowo smakuje.

- Czy zamówisz dla mnie coś dobrego według własnego uznania? - zaproponowała Tylda.

Zwróciła uwagę na szczęśliwy ton jego głosu, kiedy wymieniał dania specjalne serwowane w piwiarni.

Profesor złożył zamówienie u kelnera, który miał na sobie koszulę z długimi rękawami, skórzaną kamizelkę i brązowy fartuch. Kelner postawił na ich stole solone rzodkiewki, a także małe, bardzo słone ciasteczka.

- To zaostrzy twoje pragnienie - rzekł profesor z uśmiechem - a przez to wypijesz więcej piwa.

- Znają się tutaj na interesach! - zauważyła Tylda. Zjadła jedno ciasteczko, było wyborne. Gdy jadła, jakiś siedzący obok starszy mężczyzna, który przyszedł jeszcze przed nimi, odwrócił się i zagadnął profesora;

- Przepraszam, Mein Herr, czy nie zauważył pan jakichś zamieszek na ulicy, kiedy pan tu szedł?

- Zamieszki? - zaciekawił się profesor. - Co to za zamieszki?

- Słyszeliśmy, że studenci rozrabiają. Moja żona niepokoi się i chce wracać do domu, ale zapewnilem ją, że nie ma powodu do obaw.

- Na pewno ma pan rację - odrzekł profesor, stając w obronie swoich ukochanych studentów.

- Czasem bywa niebezpiecznie - mówił dalej nieznajomy. - W zeszłym roku jeden z naszych przyjaciół został ranny w czasie studenckich rozruchów i moja żona jeszcze tego nie zapomniała.

- Nie zauważyliśmy żadnych zamieszek w mieście - odparł profesor - a szliśmy przecież głównymi ulicami.

- A widzisz! Słyszałaś, co ten pan powiedział? - mężczyzna zwrócił się do żony.

- A przeciwko czemu protestują tym razem? - zapytał profesor. - Wiadomo, że zawsze znajdują jakiś powód. To u nich normalne.

- Słyszałem - odrzekł mężczyzna - że wybuchło jakieś niezadowolenie z powodu wyznaczenia nowego zastępcy rektora. Ma nim być Herr Dulbrecht.

- A co można mu zarzucić - spytał profesor - ze studenckiego punktu widzenia?

- Pochodzi z Oberni - odparł tamten. - Studenci mówią, że chcą być nauczani wyłącznie przez Bawarczyków. Wydaje mi się, że obecnie na uniwersytecie doszedł do głosu silny ruch antycudzoziemski.

- Zawsze musi się znaleźć jakiś powód protestów i głośniejszej błaźnady - stwierdził, uśmiechając się, profesor. - Nie wydaje mi się, by to wszystko było naprawdę na serio.

Pocieszony słowami profesora, mężczyzna przy sąsiednim stoliku odwrócił się do swej żony, starając się ją uspokoić. Tylda odniosła wrażenie, że musieli chyba przyjechać ze wsi. Mąż w każdym razie nie chciał psuć sobie wieczoru i stracić pieniędzy wydanych na bilety tylko z powodu niepokojących pogłosek.

Cały czas do piwiarni napływało coraz więcej ludzi, a w momencie, kiedy przyniesiono zamówione przez profesora potrawy, z boku sceny zaczęła grać orkiestra.

Przez chwilę uwagę Tyldy zajmowała kielbasa, golonka i szaszłyk z ryby, które ustawiono przed nimi na stole.

Była także zachwycona wielkim, niebiesko połyskującym dzbanem, w którym znajdowało się ich piwo, i wysokimi wysmukłymi szklankami, z których mieli je pić. Spróbowała

piwa i stwierdziła, że jest raczej kwaśne. Wtedy spostrzegła, że wykonawcy wchodzą już na scenę.

Było ich sześciu, sami mężczyźni, wszyscy ubrani w bawarskie stroje. Ich krótkie skórzane spodnie były wytarte w wyniku codziennego silnego uderzania w nie dłońmi podczas tańca.

Zacząli tańczyć, a huk ciężkich butów, odgłosy uderzeń dłońmi o biodra i klaskanie rozległy się na całej sali.

- To wygląda dokładnie tak, jak myślałam - szepnęła w zachwycie Tylda do profesora.

Musiała powtórzyć to trzy razy, nim profesor ją usłyszał. Wtedy uśmiechnął się i kiwnął głową, klaszcząc z radości jak mały chłopiec, który spotkał się z kolegami w swojej dawnej szkole.

Tancerzy nagrodzono burzliwymi brawami. Po nich wystąpiła ładna dziewczyna, która zaśpiewała sentymentalną balladę o kochanku, który' zaginął w górach.

Widzowie z całą pewnością nie byli jednak w nastroju do sentymentów i przekrzykiwali się nawzajem podczas występu. Kłęby dymu z fajek i cygar unosiły się chmurą ponad stołami w stronę sklepionego sufitu piwiarni.

Pojawienie się kolejnych wykonawców wprawiło Tyldę w zachwyt:

- Krowie dzwonki!

Na dzwonek ustawionych na ławie grało czterech mężczyzn. Dawało to niespotykany efekt muzyczny, a wykonanie także było świetne.

- Och, jestem taka szczęśliwa, że mogłam to usłyszeć! - wykrzyknęła Tylda po zakończeniu występu.

- Chyba zjem twoją porcję, bo inaczej ostygnie - zażartował profesor.

Po obfitym obiedzie w hotelu Tylda nie była wcale głodna, ale spróbowała białej kiełbasy i zjadła kilka rybich

szaszłyków, by sprawić profesorowi przyjemność; wiedziała bowiem, że chciał", aby skosztowała potraw, które jemu tak bardzo smakowały.

- Zamówię jeszcze trochę piwa - powiedział profesor. - Chciałabyś wypić jeszcze jedną szklanekę, czy wolisz może trochę białego wina?

- Trochę białego wina, proszę - odparła Tylda. Nie chciała zrobić profesorowi przykrości, ale piwo niezbyt jej smakowało. Chociaż było lekkie, miało jednak goryczkowany smak. Zastanawiała się, co takiego widzą w piwie mężczyźni.

Profesor podniósł rękę, by przywołać kelnera. Orkiestra właśnie zaczynała grać pierwsze nuty nowej piosenki, gdy nagle na zewnątrz piwiarni wybuchła głośna wrzawa. Rozległy się jakieś krzyki, a potem wystrzał z pistoletu.

W jednej chwili wszyscy spojrzeli w stronę wejścia.

Wrzawa wezbrała na sile i nagle otworzyły się drzwi. Do piwiarni wpadła grupa młodych ludzi, krzycząc: „Precz! Precz! Precz!", „Precz z cudzoziemcami", „Precz z naszego kraju!", „Precz z Monachium!"

Ci, którzy zajmowali stoliki w tyle piwiarni, zerwali się na równe nogi. Kilku mężczyzn usiłowało zapobiec wdarciu się studentów do środka. Lecz ludzie z głębi sali i siedzący najbliżej sceny ruszyli do przodu.

Profesor schwycił Tyldę za ramię.

- Musimy się stąd wydostać - krzyknął. - Poszukamy bocznego wyjścia.

Otoczający ich ludzie wpadli na ten sam pomysł. Rozległ się łomot przewracanych krzesel i stołów i brzęk tłuczonej glinianej zastawy. Tłum rzucił się w stronę sceny jak fala nagłego przypływu. Nikt nie miał możliwości wyboru kierunku ucieczki; Tylda poczuła, jak zostaje porwana przez ludzką falę. Profesor nadal zaciskał dłoń na jej ramieniu; chcąc nie chcąc, musieli pchać się na ludzi przed sobą,

ponieważ z tyłu cisnęli się na nich inni. Wrzawa dochodząca z tyłu piwiarni stawała się coraz głośniejsza. Rozległy się kolejne wystrzały.

Zaczęto znowu wykrzykiwać: „Precz z obcymi!”, „Bawaria dla Bawarczyków!”, „Monachium nasze!”

Tylda rzuciła okiem na stojących na scenie wykonawców patrzących na szalejący w dole tłum. Po chwili i oni odwrócili się i zaczęli uciekać.

Tłum doniósł ją wraz z profesorem do samego skraju sceny i wtedy zauważyła, że z boku sali otwarte są podwójne drzwi.

Kiedy uświadomiła sobie, że jest to wyjście, o którym mówił profesor, zgasły nieoczekiwanie wszystkie światła.

Gdy tylko zapadła ciemność, rozległ się głośny krzyk, trochę zdumienia, trochę rozbawienia. Po chwili skandowanie napastników wzięło górę.

„Łapać ich, zanim uciekną!”, „Podtopić ich w fontannie!”, „Dać im coś na pamiątkę po Monachium!”

Niektóre głosy nie brzmiały wcale groźnie czy przerażająco, a raczej jowialnie, jak gdyby owi studenci czy też prowodyrzy dobrze się bawili; lecz inni złorzeczyli wśród panującej ciemności. Nadal rozlegały się przenikliwe krzyki i huk strzałów z pistoletów. Tłum starał się za wszelką cenę wydostać na zewnątrz. Tylda poczuła, że nie dotyka już ziemi, porwana przez tłum, niesiona wśród ścisku ciał otaczających ją z każdej strony.

Sięgnęła w stronę profesora, jego palce nadal zaciskały się mocno na jej ramieniu.

Cokolwiek się stanie, pomyślała, nie możemy dać się rozdzielić. Ich ręce odnalazły się i połączyły ze sobą w kurczowym uścisku. Poczuła, że ciągnie ją w swoją stronę, daleko od tłumy, który ją prawie zadusił - cały czas się bała, iż nie będzie mogła zaczerpnąć oddechu.

Jeśli teraz zemdleję, pomyślała, zostanie stratowana.

Była to przerażająca perspektywa. Trzymała się mocno profesora, wiedząc, że puszczenie jego dłoni byłoby oplakane w skutkach. Przejście przypominało tunel, lecz po chwili z przodu pojawiło się światło. Zewnętrzne drzwi były szeroko otwarte. Po panującym w piwiarni gorącym i zadymionym powietrzu z ulgą wciągnęła w płuca zimny powiew wieczoru i zrozumiała, że jest już na zewnątrz. Ludzie uciekali tak szybko, jak mogli.

- Są z drugiej strony! - rozległ się męski głos. Jakaś kobieta wrzasnęła:

- Są tuż za nami!

Biegli wszyscy, Tylda także.

Znaleźli się w ciemnej, wąskiej uliczce. Być może latarnie zostały zgaszone przez studentów. Jedyne, co mogła zrobić, to trzymać się ze wszystkich sił dłoni profesora. Dziesiątki ludzi biegło wraz z nimi, ślepo naprzód, pchani jedną myślą - uciec jak najdalej od piwiarni i buntujących się studentów. Biegli i biegli, aż w końcu Tylda nie mogła już złapać tchu. Za zakrętem wyrosła przed nimi latarnia. Złapała się jej, czując, że nogi odmówią zaraz posłuszeństwa. Wszystko ją bolało od ścisku w tłumie w ciemnym korytarzu piwiarni.

- Uciekliśmy! - wykrztusiła z siebie i podniosła wzrok na profesora.

Przez chwilę nie mogła uwierzyć własnym oczom; nie wiedziała, czy śni, czy wzrok ją zawodzi. To nie profesor stał obok, trzymając jej dłoń, lecz mężczyzna o imieniu Rudolf! Był tak samo zaskoczony jak i ona.

Zdumiony patrzył na nią przez chwilę, po czym powiedział:

- Myślałem, że jest pani kimś innym.

- Ja... ja... myślałam, że jest pan... moim... wujem - wyjąkała Tylda, przypominając sobie po chwili wahania, że tak miała zwracać się do profesora.

Gdy znowu się odezwała, w pobliżu rozległy się krzyki i odgłosy wystrzałów z pistoletów.

- Kimkolwiek jesteśmy, lepiej będzie, jak sobie stąd pójdziemy - rzekł Rudolf.

Puścił dłoń Tyldy, gdy ujrzał zdumiony, kim jest jej właścicielka, lecz teraz ponownie ją ujął.

- Chodźmy - rzucił - nie chcemy chyba, by złapali nas ci krzykacze i chuligani.

Odsunął ją od latarni i trzymając się blisko ścian domów, ruszył biegiem do końca uliczki, skręcił w następną i po chwili znów skręcił. Żadne z nich nie spojrzało do tyłu, ale Tylda wiedziała, że nie byli sami. Za nimi biegli ludzie. Nie miała pojęcia, czy byli to wrogowie czy przyjaciele.

Wiedziała tylko, że Rudolf miał rację. Trzeba było uciekać, dyktował to rozsądek. Wszystko można będzie wyjaśnić potem i jakoś przecież odnajdzie profesora, a Rudolf odszuka swoją Mitzi, lecz w tej chwili szaleństwem byłoby zawracać i ich szukać.

Biegli i biegli, ale gdy następna opustoszała uliczka nie miała wyjścia, znaleźli się nagle w samym środku tłumu studentów.

Oboje stanęli jak wryci. Tylda, przerażona, instynktownie przysunęła się bliżej Rudolfa. Wtedy zdali sobie sprawę, że ci studenci już nie rozrabiają, lecz stoją w wyzywającym milczeniu na małym placu, otoczeni przez policję. Rudolf odwrócił się szybko i ciągnąc Tyldę za rękę, chciał rzucić się z powrotem w uliczkę, z której przyszli, lecz spostrzegł ich jeden z policjantów.

- Do środka! - rozkazał ostro.

- Nie jesteśmy z tymi ludźmi, Herr Oberinspektor - zaoponował Rudolf.

- Rób, co mówię! Do środka! - odparł szorstko policjant.

W jednej ręce trzymał pałkę, w drugiej pistolet. Nie mieli innego wyboru, jak tylko usłuchać rozkazu.

Zrobili kilka kroków do przodu, by dołączyć się do gromady studentów. Było ich ponad dwudziestu, stali nadąsani i wściekli pośrodku placu.

- Co... teraz będzie... z nami? - spytała szeptem wystraszona Tylda.

- Wszystko będzie w porządku - zapewnił ją Rudolf. - Z łatwością udowodnimy, że nie jesteśmy studentami.

Tylda poczuła walące w piersi serce. Jeżeli poda swe prawdziwe imię, dobrze wiedziała, jaki skandal może to wywołać. Wybranka Jego Księżęcej Mości Maksymiliana, księcia Oberni, zaarrestowana jako studentka biorąca udział w rozruchach, to może być sensacja, która znajdzie się na pierwszych stronach londyńskich gazet. Będzie to także prawdopodobnie oznaczało, że ambasada brytyjska zostanie poinformowana o jej zachowaniu. Łatwo mogła się domyślić, co powiedzą rodzice, gdy się o tym dowiedzą.

- Proszę, uciekajmy stąd - zwróciła się do Rudolfa przerażonym głosem.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział - ale nie będzie to łatwe.

- Na co oni czekają? - zapytała Tylda. - Myślę, że na wóz policyjny - odparł. Tylda wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca. Wóz zabierze ich wraz ze studentami do głównej

komendy policji. Jeżeli im powie, że jest turystką, to na pewno spytają, gdzie się w Monachium zatrzymała. Być może, zanim ją wypuszczą, hotel będzie musiał za nią poręczyć. Wyobrażała sobie, jakie będzie miała kłopoty. Będzie ich z pewnością bez liku.

Najgorsza ze wszystkiego będzie reakcja rodziny, dobrze wiedziała, co powiedzą.

W uszach brzmiały jej już uwagi, które będą wypowiadać, siedząc w swych zimnych, nudnych pałacach, nie utrzymując żadnego kontaktu lub też mając ograniczoną więź ze światem.

„Wyobraźcie sobie córkę chrzestną królowej, która tak się zachowuje!”

„Jak ta dziewczyna była wychowana, skoro tak się teraz zachowuje?”

„Od samego początku wiedziałam, że - nie będzie odpowiednią kandydatką na żonę dla Maksymiliana!”

Teraz nie będą wyrażać swojej dezaprobaty wobec księcia, a zaczną w stosunku do niej. Prawie już słyszała te słowa; widziała wyraz ich oczu; wiedziała, że będą patrzeć na jej zuchwałe i niegodne zachowanie z pogardą typową dla arystokratów. Spostrzegła, że jeszcze mocniej ścisnęła dłoń Rudolfa.

- Spróbuj się opanować - rzekł uspokajająco.

- Musimy uciec! Musimy! - wyrzuciła z siebie Tylda.

Nic na to nie odpowiedział, tylko powoli, prawie niedostrzegalnie pociągnął ją za grupę studentów stojących ciągle pośrodku placu. Zauważyła, że Rudolf stara się podejść bliżej uliczki znajdującej się po przeciwnej stronie placu niż ta, z której się wyłonili. Ale właśnie w tę stronę patrzyli policjanci, najwyraźniej czekając na przyjazd wozu.

Jak mogłam być tak głupia, by namówić profesora na wyprawę do piwiarni? - pomyślała Tylda.

To wszystko jej wina, lecz skrucha i pokora nie pomoże teraz w wydostaniu się z tarapatów, w jakich się znalazła.

- Nadjeżdża! Najwyższy czas! - dobiegły ją słowa wypowiedziane przez jednego z policjantów i ujrzała, jak ciągnięty przez dwa konie wóz policyjny toczy się w ich stronę.

Był to długi, wąski, pozbawiony okien czarny pojazd z dwójgim drzwiami z tyłu, którymi wchodzili ci, którzy mieli zostać przewiezieni na komendę policji.

Na koźle siedziało dwóch policjantów kierujących wozem. Wjechali na plac i okrążyli go powoli, stając w końcu przodem do uliczki, z której wyjechali.

Policjant otworzył drzwi, a dwóch innych rozkazało studentom przejść do przodu.

- Wsiadać! - padło polecenie.

Dwóch czy trzech studentów udało, że słucha rozkazu.

Ale nagle, we wspólnym odruchu, wszyscy zaczęli skandować: „Precz z uciskiem!”, „Precz z policją!”, „Precz z cudzoziemcami!”, „Monachium ma być nasze!”

Ich głosy rozbrzmiewały groźnie w ciemności. Gdy policjanci zaczęli bić próbujących uciekać studentów, z tyłu wybuchł krzyk, słycać było tupot biegnących wielu nóg i głosy wołające: „Na pomoc!”, „Na pomoc!”, „Studenci, na pomoc!”

Nagle na całym placu zapanowało zamieszanie.

Niektórzy studenci podnieśli transparenty, inni kije, jeden czy dwóch wyjęło nawet noże i ruszyli na policjantów, przepychając się i krzycząc. Któryś z policjantów przewrócił się i kilkunastu młodych ludzi przebiegło po nim. Jeden z siedzących na koźle mężczyzn zszedł na dół, by pomóc leżącemu. Wrzawa, jaka wybuchła, była nie do opisania! Policjanci zaczęli gwizdać, a studenci starali się ich zakrzyczeć, wrzeszcząc jeszcze głośniejsze niż dotąd. Rozległo się kilka wystrzałów. Policjant powożący końmi wychylił się z kozła, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

Był w połowie wychylony poza siedzenie, lecz nadal ścisnął w rękę lejce. Wtedy właśnie Rudolf zaczął działać z zadziwiającą szybkością. Ściągnął mężczyznę z wozu i gdy ten spadł na ziemię, Rudolf wyrwał mu z dłoni lejce. Jednym

ruchem podniósł Tyldę i podrzucił na siedzenie wozu. Odniosła wrażenie, że leci w powietrzu, lecz po chwili ujrzała siedzącego koło niej Rudolfa. Trzymany w ręku bat spuścił na końskie grzbiety.

Konie wyrwały do przodu, z dużą szybkością pędziły uliczką, a nie zamknięte drzwi wozu trzaskały, zamykając się i otwierając.

Drzwi czyniły tyle hałasu, że konie biegły jeszcze szybciej przez nikogo nie popędzane, chcąc uciec od tego potwornego huku. Zza pleców dochodziły krzyki, wrzaski i przekleństwa, lecz Rudolf nie oglądał się za siebie. Całą uwagę skupił na utrzymaniu koni pośrodku drogi, 'zdając sobie sprawę, że trzęsący się wóz może w każdej chwili się wywrócić. Jechali tak szybko, że Tylda musiała trzymać się krawędzi siedzenia, by nie zostać wyrzucona w powietrze.

- Uciekliśmy - powiedziała łapiąc oddech, bardziej do siebie niż do niego.

- Tylko na chwilę - odparł. - Teraz gonią nas nie tylko studenci, ale i policja!

- Czy nas... złapią? - spytała lękliwie Tylda.

- Mam nadzieję, że nie - padła odpowiedź. - Nie sądzę, by w więzieniu w Monachium było zbyt wygodnie.

Starał się mówić spokojnie, lecz Tylda wyczuła podniecenie w jego głosie.

To na pewno jest podniecające! - pomyślała. - Nawet jeśli jest równie przerażające!

Jechali teraz ulicami, które na szczęście były puste. Była pewna, że znajdują się już daleko od centrum miasta. Konie galopowały z zapierającą dech w piersi prędkością, a Rudolf popędzał je przez cały czas. Zauważyła, że umiał dobrze powozić i znał chyba drogę. Była przekonana, iż będzie unikać głównych traktów i ulic, gdzie mogliby zostać spostrzeżeni przez jakiś policyjny patrol.

Pędzili tak jeszcze przez kilka minut i już wkrótce domy stojące po obu stronach drogi zaczęły się przerzedzać.

Po pewnym czasie mijali już tylko drzewa, a po przejechaniu mostu znaleźli się na otwartej przestrzeni.

Rudolf ciągle poganiał konie i Tylda spytała:

- Dokąd jedziemy?

- Jak najdalej od Monachium!

- Ale ja nie mogę... to znaczy... mieszkam... w Monachium..

- Powrót w tej chwili nie wyszedłby nam na zdrowie - powiedział. Tylda nie miała wątpliwości, że śmieje się pod nosem. - Jesteśmy teraz poszukiwani nie tylko za udział w studenckich zamieszkach, ale i za kradzież mienia policji, a to, jestem tego pewien, jest już przestępstwem surowo karanym.

- Ale ja muszę wrócić! - krzyknęła Tylda. - Będą się o mnie martwić i narobię... kłopotów.

- Ale nawet w połowie nie tak dużych, w jakich ja bym się znalazł, gdyby mnie złapali - stwierdził Rudolf.

Tylda nie odzywała się przez chwilę, po czym spytała:

- Ma pan... jakieś powody, by nie życzyć sobie... przesłuchiwania przez policję?

- Tak, mam! - odparł, ale teraz się już nie śmiał. Jestem w takiej samej sytuacji, pomyślała Tylda,

I gdy tak pędzili w ciemnościach, zaczęła się zastanawiać, co też takiego mógł zrobić.

To nie może być coś bardzo złego, pomyślała. Mimo wszystko, wyglądał na dość szczęśliwego dzisiaj rano, gdy gonił Mitzi w lesie koło Linderhofu.

W tym samym momencie przypomniała sobie słyszane dawniej opowieści o przesłuchaniach prowadzonych przez europejską policję.

Historie o ludziach zamykanych w mokrych, ciemnych celach, którzy musieli udowadniać swoją niewinność, zupełnie

inaczej niż to jest w Anglii, gdzie jest się niewinnym, dopóki wina nie zostanie dowiedziona.

On ma rację! - pomyślała Tylda. - Żadne z nas nie chciałoby wpaść w ręce policji. Cokolwiek się stanie, musimy unikać patroli!

Lecz gdy tak pędzili wśród otaczającej ich ciemności skradzionym wozem policyjnym, pragnienie to wydawało się trudne do spełnienia.

ROZDZIAŁ 4

Pędzili przed siebie. Rudolf wstrzymał nieco konie i posuwali się teraz w normalnym tempie, a otwarte drzwi nie czyniły już takiego hałasu.

Księżyc, skryty do tej pory za chmurami, wyłonił się w całej swej krasie i wszystko dookoła nabrało życia w delikatnej srebrnej poświacie.

Droga wiała się, jak Tylda spostrzegła, przez dolinę otoczoną po obu stronach wzgórzami. Dalej, na tle rozgwieżdżonego nieba, rysowały się pokryte śniegiem szczyty gór.

Od gór wiał lodowaty wiatr; Tylda zadrżała z zimna.

- Jest pani zimno! - powiedział nagle Rudolf. - Proszę potrzymać na chwilę lejce.

Tylda posłuchała go, nieco zdziwiona. Spostrzegła, że Rudolf zdejmuje kaftan.

- Proszę nie dawać mi swego okrycia - rzekła szybko. - Jest mi ciepło.

- Jestem bardziej zahartowany od pani - odparł. Zarzucił Tyldzie na ramiona kaftan, po czym wziął od niej lejce.

- Jak się pani nazywa? - spytał po chwili.

- Tylda, i dziękuję za kaftan.

- Nie musisz mi dziękować, a ja jestem Rudolf.

Tylda z trudem powstrzymała się od powiedzenia, że już to wie.

- Przyjechałaś tu jako turystka? - chciał wiedzieć.

- Tak, jestem Angielką.

- Tak właśnie myślałem.

- Dlaczego? - spytała Tylda.

- Bo tylko Anglicy nie tracą zimnej krwi w tak trudnych sytuacjach.

Spostrzegła, że uśmiechał się mówiąc dalej: - Byłem przekonany, że zaczniesz histeryzować.

- Wychowywano mnie w przeświadczeniu, że mężczyźni nie lubią scen, zwłaszcza gdy są pochłonięci prowadzeniem koni - odrzekła na to Tylda.

- Masz słuszość - zgodził się Rudolf.

- Ale przed czym ty uciekasz? - spytała Tylda. - Oczywiście poza policją. Nie jesteś cudzoziemcem.

- Nie jestem Bawarczykiem, jeśli to właśnie chciałaś wiedzieć.

To ją zaskoczyło.

- Byłam pewna, że jesteś.

- Nie, pochodzę z Oberni.

- To z winy twojego kraju wybuchły te rozruchy.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał.

- W piwiarni mówiono, że studenci nie zgadzali się z wyborem zastępcy rektora uniwersytetu, ponieważ pochodził właśnie z Oberni.

- Tak naprawdę, to do rozrabiania wystarczy im pierwszy lepszy powód.

- Ale takie rozruchy zazwyczaj osiągają swój cel - zauważyła Tylda. - W końcu to studenci zmusili Ludwika II do abdykacji.

- W tym przypadku przyczyną była pewna dama, która nazywała się Lola Montez - odpowiedział Rudolf - lecz widzę, że nie zaniedbywałaś lekcji historii.

- Nie wypada zwiedzać jakiegoś państwa, nic o nim nie wiedząc - rzekła skromnie Tylda.

- Dokładnie tak samo myślałem, gdy jechałem do Anglii - stwierdził Rudolf - ale wasza historia wydała mi się bardzo pogmatwana, a czasem niezmiernie nudna.

- Czy mówisz po angielsku? - spytała Tylda. .

- Tak, mówię - odparł czystą angielszczyzną - lecz nie tak dobrze, jak ty po niemiecku.

Miał lekki obcy akcent, lecz jego wymowa była doskonała.

- Mówisz bardzo dobrze! - wykrzyknęła Tylda.

- Schlebiasz mi! - stwierdził.

- Tak jak i ty mi schlebiałeś mówiąc, że zachowałam wtedy zimną krew.

- Uważam, że byłaś bardzo odważna w tak trudnej sytuacji.

- Dziękuję - odparła Tylda. - Ale co teraz zrobimy?

- Mówiąc szczerze, to nie wiem - przyznał się Rudolf.

- Będziemy jednak musieli coś zrobić.

- No, cóż, jedno jest pewne - nie możemy wrócić do Monachium.

- Ale ja muszę! - krzyknęła Tylda. - Czy nie rozumiesz, że...

- Rozumiem - mówił Rudolf - ale musimy działać rozsądnie. Powrót oznaczałby spotkanie ze studentami, którzy chcą oczyścić miasto z obcych, albo też, co gorsza, tłumaczenie się na komendzie, dlaczego „pożyczyliśmy” sobie ich wóz.

Tylda westchnęła.

- Co więc radzisz?

- Uważam, że musimy znaleźć jakiś zajazd i zatrzymać się w nim na noc. Do jutra może się wszystko uspokoi, a w każdym razie ty będziesz mogła wrócić do Monachium.

- Jeśli odjedziesz zbyt daleko od miasta - odpowiedziała Tylda - to albo będę musiała wracać na piechotę, albo wziąć jednego z tych wierzchowców!

Roześmiał się.

- To rzeczywiście może być problem!

Patrząc przed siebie, Tylda ujrzała w oddali jakieś światła. Pomyślała, że są to być może okna jakiejś chaty, lecz po

chwili zdała sobie sprawę, że źródło światła znajduje się na samej drodze.

- Widzę przed nami jakieś światła - poinformowała Rudolfa.

Ściągnął lejce i zatrzymał konie.

- Powinienem był o tym pamiętać - powiedział zduszonym głosem. - Podczas rozruchów w mieście policja blokuje drogi.

- Czy to znaczy... że nie możemy już... pojechać dalej?

- To znaczy, że gdybyśmy tak zrobili, to wręcz prosilibyśmy się o zakucie w kajdanki.

Popatrzył w stronę świateł, potem zerknął na drogę, na której się zatrzymali. Droga była wąska, tuż na skraju gęsto rosły drzewa. Skierował konie na prawo. Tylda zrozumiała, że chce zawrócić wóz.

- Ciężko tu będzie zakręcić - powiedziała.

- Wiem o tym - odparł. - Obserwuj, czy nikt nie nadchodzi z tyłu.

Trudno było wykonać to polecenie, lecz wychyliwszy się z kozła, nadal widziała w oddali światła. Nagle zrozumiała, że jeżeli ona widziała policjantów, to oni też musieli ich zobaczyć. Z przodu wozu wisały dwie lampy i obserwujący z pewnością zauważyli, że ktoś nadjeżdża.

- Chyba wszystko w porządku - powiedziała niepewnie.

Ale kiedy Rudolf próbował zawrócić konie i ruszyć w drugą stronę, Tylda wydała cichy okrzyk.

- Ktoś jedzie! Dwóch konnych!

Usłyszała, jak Rudolf zaklął pod nosem. Wreszcie, z wielkim trudem, kilka razy wypadając z drogi, udało mu się zawrócić wóz. Strzelił z bata, lecz konie były już zmęczone. Poszły do przodu, choć brakowało im tej dzikiej szybkości, z jaką wyruszyły z Monachium.

- Spróbuj się rozglądać i mów, co widzisz - rzekł rozkazującym głosem Rudolf.

Trzymając się kurczowo boku wozu, w obawie aby nie wypaść na drogę, Tylda zrobiła tak, jak kazał.

- Ciągłe są daleko - odpowiedziała - ale szybko się zbliżają.

- Mamy tylko jedno wyjście - rzucił Rudolf. - Zwolnię, a wtedy wyskoczysz,

- Nie opuszczę cię - zaprotestowała Tylda, ogarnięta nagłym strachem. - Nie mogę zostać tutaj... sama.

- Dołączę do ciebie. Gdy tylko upadniesz na ziemię, wstań i wdrapuj się do góry. Kryj się za drzewami.

- Obiecuj... że ty... też skoczysz - błagała cichnym głosem.

- Obiecuję - odpowiedział. - Zrób, jak ci każę. To nasza jedyna szansa.

Mówiąc to ściągnął lejce. Kiedy konie zwolniły, krzyknął do Tyldy:

- Teraz! Skacz!

Posłuchała, i po chwili była już na trawiastym poboczu.

- Uciekaj! - krzyknął.

Wstała i wymijając pojawiające się przed nią pnie drzew, biegła do góry. Wóz pojechał dalej. Słyszała, jak Rudolf strzela z bata, zmuszając konie do szybszego galopu. Pomyślała, że nie dotrzymał słowa. Zatrzymała się niepewnie przy jednym z drzew i wtedy usłyszała, jak Rudolf wdrapuje się na górę. Stał tuż obok i chwycił ją za rękę.

- Chodź! - powiedział. - Im wcześniej stąd znikniemy, tym lepiej!

Myślisz, że nas zauważyli? - chciała zapytać, ale biegi tak szybko, że nie mogła złapać tchu.

Ciągnął ją za rękę i przebiegli w ten sposób spory kawałek. W pewnym momencie Tylda usłyszała tętent końskich kopyt i głos jakiegoś mężczyzny.

- Musieli nas zobaczyć - stwierdził Rudolf. - Miałem nadzieję, że pojedą za wozem.

Rozpoczął dalszą wspinaczkę. Skały i kamienie pojawiające się teraz na szlaku raniły Tyldzie stopy. Nagle zachwiała się i, ratując się przed upadkiem, oparła o skałę, przecinając sobie skórę na dłoni. Wtedy usłyszała, jak ktoś za nimi krzyknął:

- Stać! Stać, bo będziemy strzelać!

Rudolf także to usłyszał; zaczął wspinać się jeszcze szybciej. Drzewa rosły coraz gęściej, a ciemność dookoła zdawała się nieprzenikniona. Nie mogą nas dostrzec, pocieszała się Tylda. Na pewno nas nie widzą.

- Stać! - znów krzyknął jeden z policjantów.

Rozległ się wystrzał z pistoletu. Huk odbił się niesamowitym echem wśród drzew i gór, aby powrócić głębokim dudnieniem.

- Szybko! - rzucił Rudolf. - Zaraz ich zgubimy.

Tylda nadążała za nim z ogromnym trudem. Miał dłuższe nogi od niej. Stopy jej ślizgały się po kamieniach, cudem unikała przewrócenia się.

Raptem oddano dwa następne strzały, jeden po drugim, i Rudolf stęknął.

- Trafili cię? - spytała Tylda.

- Tak, niech to diabli! - odparł. - W nogę.

Przekuśtykał kilka kroków, po czym zwrócony twarzą w kierunku szczytu wzniesienia oparł się plecami o pień drzewa. Tylda wiedziała, że policjanci nie będą mogli go dojrzeć z dołu. Przykucnęła obok, patrząc na niego z niepokojem.

- Możesz iść? - zapytała.

- Idą jeszcze za nami? - chciał wiedzieć.

Drzewa i gałęzie zasłaniały niestety pole widzenia. Nasłuchując, Tylda stwierdziła, że nie słyhać już ani koni, ani też wdrapujących się za nimi policjantów. Wokół panowała cisza. Po chwili, daleko z dołu, dobiegł ją tętent kopyt końskich na drodze. Wstrzymała oddech wyężając słuch; wypuściła powietrze z głębkim westchnieniem ulgi.

- Odjechali - wyszeptła.

Rudolf nie odpowiedział i po chwili księżniczka odezwała się jeszcze raz, przestraszona:

- Nic ci nie jest? Co... teraz zrobimy?

- Wydaje mi się, że niedaleko stąd jest jakaś wioska - odezwał się Rudolf. - Lepiej spróbujmy tam dotrzeć.

Tylda miała zamiar zwrócić mu uwagę, że jakikolwiek kontakt z ludźmi może okazać się groźny w skutkach. Jednak uświadomiła sobie, że jest ranny, a do tego ze szczytów gór wieje zimny, lodowaty wręcz wiatr. Na razie, po wspinaczce, było jej ciepło, a poza tym miała na sobie kaftan Rudolfa. On ubrany był tylko w koszulę. Była biała, stanowiąc świetny cel dla policjantów.

- Masz rację - powiedziała. - Musimy znaleźć jakąś wioskę. Oprzyj się na mnie.

Odniosła wrażenie, że chciał odmówić. Uczynił jednak, jak prosiła, i ruszyli, już nie pod górę, lecz prosto przed siebie, wzdłuż pochyłości.

Po kilku sekundach zauważyła, że Rudolf powłóczy postrzeloną nogą. Potem zaczął podskakiwać na zdrowej nodze.

- Nie zajdziesz daleko w ten sposób - stwierdziła. - - Co jest przed nami? - spytał.

- Na razie nic nie widać - odpowiedziała. Przeszli jeszcze kawałek i Tylda zrozumiała, że Rudolf strasznie się męczy. W świetle księżyca mogła dostrzec jego zaciśnięte wargi. Czują,

jak jego ramię staje się coraz cięższe. Drzewa przed nimi zaczęły niespodziewanie rzędnąć i po chwili Tylda krzyknęła:

- Tam jest jakiś dom! Tam, na wprost!

- Mam nadzieję, że uda mi się dojść do niego - rzekł Rudolf. - Jeśli nie, to będziesz musiała sprowadzić tu kogoś na pomoc.

- Na pewno dasz sobie radę.

Znowu zaczął skakać na zdrowej nodze, drugą ciągnąc z tyłu. Chociaż do chaty nie było daleko, Tyldzie wydawało się, że dotarcie do niej trwa niezmiernie długo. Domek był bardzo mały i w odróżnieniu od większości bawarskich domostw, miał tylko parter. W blasku księżyca ujrzała, że ma białe ściany i czarny dach. Po każdej stronie drzwi wejściowych znajdowało się pełne kwiatów okno.

Rudolf oparł się o ścianę domu.

- Zapukaj! - polecił.

Na drzwiach nie było kołatki, więc Tylda uderzyła w nie kilka razy pięścią.

W środku nikt nie odpowiedział. Księżniczka rozejrzała się, szukając okna.

Zajrzała przez nie. Zasłony nie były zaciągnięte i zauważyła, że w środku jest mała kuchnia. Wróciła do Rudolfa.

- Myślę, że nie ma nikogo.

Zapukała jeszcze raz. Poruszyła kilka razy klamką w nadziei, że może to przyciągnie czyjaś uwagę.

Ku jej zdziwieniu, drzwi się otworzyły.

Weszła do środka, do malej kuchni, którą już przedtem widziała przez okno. Był tu także zlew, stół, dwa krzesła, w rogu piec i prosta kuchenka, na której właściciel przyrządzał sobie posiłki.

Może wszyscy położyli się już spać, pomyślała Tylda.

Z kuchni prowadziły tylko jedne drzwi. Zapukała. Nikt nie odpowiadał, więc je otworzyła.

I tutaj zasłony nie były zasunięte. W świetle księżyca ujrzała teraz duże łóże, zajmujące prawie cały pokój. Kimkolwiek był właściciel, nie było go w domu. Najważniejsze teraz, pomyślała Tylda, to rana Rudolfa.

Wyszła na zewnątrz. Rudolf nadal stał oparty o ścianę. Oczy miał zamknięte i mimo słabego światła księżyca, księżniczka spostrzegła, że jego twarz nabrała dziwnej bladości.

- Wejź do środka - powiedziała - nie ma nikogo. Zajmę się twoją nogą.

Nie mając siły, by się sprzeciwić, Rudolf wsparł się na ramieniu Tyldy i pozwolił zaprowadzić się do sypialni.

Pomogła mu usiąść na łóżku. Czowała, że Rudolf nie zdoła już wstać i iść dalej. Uwolniwszy się od jego ciężaru, zobaczyła stojącą przy łóżku świecę i pudełko zapalek. Przeszła przez pokój i zaciągnęła zasłony, po czym wzięła świeczkę i zapalki. Istniała możliwość, że policja jeszcze kręci się w pobliżu. Odblask światła w środku nocy mógłby się jej wydać podejrzany.

Weszła do kuchni i zasłoniła okno. Następnie zamknęła drzwi wejściowe do chaty.

Postawiła świecę na stole, zapaliła ją i wtedy zauważyła, że na półce są jeszcze dwie świeczki. Zapaliła je od pierwszej świecy i wróciła z nimi do sypialni.

Rudolf siedział na łóżku. Łokcie wsparł na kolanach, twarz miał ukrytą w dłoniach. Tylda postawiła świece na podłodze tuż przed nim. Z trudem powstrzymała okrzyk przerażenia. Zsunął pończochę. Z łydki płynęła obficie krew. Sączyła się na podłogę, tworząc szkarłatną kałużę. Z wysiłkiem zmusiła się do przypomnienia sobie wszystkiego, czego uczono ją o postępowaniu w wypadku zranienia. To

księżna Pricilla uparła się, aby księżniczka nauczyła się bandażowania, zanim opuści Anglię.

- Będziesz podróżować przez całą Europę - powiedziała wtedy. - Na pewno po drodze zdarzą się drobne wypadki i jeżeli sama nie będziesz wiedziała, jak się zachować, nie będziesz w stanie powiedzieć innym, co mają robić.

Księżna nie dodała nic więcej, lecz Tylda wiedziała, że miała na myśli wielką ilość anarchistycznych zamachów na różnych monarchów, które ostatnio miały miejsce.

Wiele lat temu jakiś zamachowiec strzelił z pistoletu do królowej Wiktorii. Księżę małżonek postąpił niezwykle odważnie i zasłonił ją własnym ciałem. W zeszłym roku próbowano dokonać zamachu na życie Wilhelma I, cesarza niemieckiego. Zawsze coś się może zdarzyć. Tylda pomyślała sobie, że gdyby oboje z księciem Maksymilianem zostali kiedyś zaatakowani bronią palną albo gdyby rzucono na nich bombę, to zachowa się odważnie i nie przyniesie małżonkowi wstydu.

A teraz powinna we właściwy sposób wykorzystać to, czego się nauczyła.

Po pierwsze, koniecznie trzeba było ściągnąć Rudolfowi bawełniane pończochy, które całe przesiąkły już krwią.

Muszę je potem uprać, stwierdziła rozsądnie Tylda i wróciła do kuchni. Znalazła niewielką miednicę, po czym rozejrzała się wokół, szukając jakichś ręczników. Może uda mi się podrzeć któryś z nich na paski i zrobić z nich bandażę, powiedziała do siebie. Żałowała teraz, że nie przykładała się bardziej podczas lekcji bandażowania. Uważała, że są nudne, a nawet trudne, zwłaszcza wtedy, gdy instruktor objaśniał układ głównych arterii ciała ludzkiego.

Rozejrzała się po małej kuchni.

Przy zlewie wisiały jakieś ściereczki. Prawdopodobnie używano ich do wycierania talerzy i naczyń. Wiedziała

jednak, że wykorzystanie ich nie byłoby zgodne z zasadami higieny.

Wtedy spostrzegła, że w rogu izby stoi wysoki biały kredens. Może tam będą jakieś czyste ręczniki! Otworzyła drzwiczki i odkryła, że na półce leży pełno bandaży, wata, ręczniki różnych rozmiarów oraz inne materiały opatrunkowe.

Co za szczęśliwy traf! - pomyślała.

Zastanawiała się, czy domek nie należy przypadkiem do jakiejś pielęgniarki czy też górskiego przewodnika. Tylda słyszała, że przewodnicy zawsze nosili ze sobą zarówno bandaże, jak i brandy. Zabrawszy wszystko, co potrzebowała, wróciła do Rudolfa.

Plama krwi na podłodze stawała się coraz większa.

- Muszę zatamować krwawienie z nogi - powiedziała.

- Przepraszam, że sprawiam ci tyle kłopotu - odparł zachrypniętym głosem.

Rozsznurowała ciężkie buty z grubej skóry i jako pierwszy ściągnęła ten ze zdrowej nogi.

Zajęta tym pomyślała, że jak tylko zabandażuje Rudolfowi nogę, każe mu się położyć.

Nie mogła skupić myśli, by wykonać wszystko jak trzeba, działała jednak wolno, aby nie sprawić mu bólu.

Zdjęła drugi but, ściągnęła z nogi przesiąkniętą krwią pończochę i włożyła ją do miedniczki.

Przemknęło jej przez myśl, że powinna przemyć ranę. Nie było jednak powodu, by mogła być zanieczyszczona, krwawienie było tak silne, że cały brud musiał się już sam wypłukać.

Teraz dopiero zauważyła, że kula trafiła łydkę z boku, przebijając ją na wylot.

Była prawie pewna, że pocisk nie tkwił już w ranie, po prostu przeleciał przez ciało nie zatrzymując się. Nie była

jednak wystarczająco doświadczona, by mieć całkowitą pewność.

Wiedziała, że Rudolf będzie się teraz czuł bardzo osłabiony, nie tylko z powodu bólu, ale także w wyniku utraty krwi.

Tak jak ją tego uczono, zrobiła tampon, po czym, z pewnym trudem, przybandażowała go do rany. Zawiązała bandaż z przodu. Miała nadzieję, że tampon zatrzyma krwawienie. Zdawała też sobie sprawę, że jeżeli rana na nodze nadal będzie krwawić, to pobrudzi się pościel. Rozejrzała się wokół i zobaczyła, że za kałużą krwi, na podłodze, leżała szorstka mata. Chłopi często pletli dla siebie z czerwonej i niebieskiej wełny maty takie jak ta. Tylda podniosła ją i ułożyła na łóżku, w miejscu, gdzie Rudolf położy później nogi.

Jak można się tego było spodziewać w Bawarii, w domku nie było żadnego koca. Leżała za to duża puchowa pierzyna, ciepła i lekka.

Tylda odsunęła ją.

- Musisz się położyć - zwróciła się do Rudolfa. - Będzie ci o wiele wygodniej. Podniesiesz nogę na łóżko sam, czy ci pomóc?

- Dam sobie radę - odparł.

W końcu jednak musiała mu pomóc i Rudolf, z lekkim westchnieniem ulgi, opadł na poduszki. Spozstrzegła, że przynajmniej na razie ani jedna kropla krwi nie przesączyła się ani przez tampon, ani bandaż. Wytarła ręcznikiem krew z podłogi i odniosła miedniczkę do kuchni. Miska przedstawiała nieprzyjemny widok. Księżniczka pomyślała z zadowoleniem, że na szczęście nie jest aż tak wrażliwa, jak większość jej rówieśnic, które mdlały na widok krwi.

Po opróżnieniu miedniczki do zlewu przypomniała sobie, że krwawe plamy można usunąć jedynie zimną wodą.

Napełniła miskę wodą z dzbana, który stał na podłodze. Wyglądało to wszystko nieprzyjemnie czerwono, odwróciła się więc z lekkim grymasem obrzydzenia na twarzy. Potem podeszła do półki, z której przedtem wzięła bandaże. Miała nadzieję, że znajdzie tam butelkę brandy i da ją Rudolfowi, by się napił.

Widziała, jak strasznie cierpiał. Gdy zakładała bandaże i pomagała mu ułożyć się na łóżku, przez cały czas zaciskał zęby. Wiedziała, że w ten sposób powstrzymywał się od przeklinania z bólu.

Nie było brandy, lecz Tylda znalazła kilka buteleczek z jakimiś lekarstwami. Próbowwała odczytać ich nazwy przy świetle świeczki. Przy jednej z buteleczek oczy zaświeciły się jej z radości. Wiedziała, co to jest „laudanum”, a właśnie to zawierała owa buteleczka. Dam mu trochę tego, pomyślała. Zaśnie po tym i przynajmniej choć na chwilę zapomni o bólu.

Miała kiedyś guwernantkę, która zawsze zażywała laudanum, by móc zasnąć, gdy bolała ją głowa. Było to panaceum na większość kobiecych dolegliwości. Chociaż medycyna uważała ten środek za staroświecki, Tylda wiedziała, że świetnie uśmierza ból. Znalazła łyżkę i zaniósła buteleczkę do sypialni. Rudolf ciągle leżał z zamkniętymi oczyma.

- Znalazłam trochę laudanum - powiedziała Tylda. - Powinieneś to zażyć. Nie będziesz czuł bólu i zaśniesz, a gdy rano się obudzisz, na pewno poczujesz się lepiej.

- Czy zamknęłaś drzwi na klucz? - spytał. - Nie - potrząsnęła głową Tylda.

- Więc idź i zrób to - powiedział. - Chcę mieć pewność, że będziesz bezpieczna.

Tylda odłożyła buteleczkę wraz z łyżką na stolik obok łóżka i uczyniła, jak jej polecił.

Nie mogła odnaleźć klucza, ale za to był drewniany skobel, na który zamknęła drzwi.

Muszę wcześniej wstać, powiedziała sobie, by otworzyć rano drzwi. Jeśli wróci właściciel i nie będzie mógł się dostać do własnego domu, to zacznie się denerwować.

Lecz teraz nie był to odpowiedni moment, by martwić się, co będzie rano.

Wróciła do sypialni.

- Zamknęłam drzwi na skobel - powiedziała do Rudolfa. - Wypij teraz trochę laudanum. Naprawdę ci pomoże.

Spróbowała przypomnieć sobie, ile kropli brała panna Grover, jak nazywała się jej guwernantka. Ale jedyna rzecz, jaką była w stanie sobie przypomnieć, to wyprawy ciągniętym przez kucyka wozem do najbliższej wsi po nowe zapasy tak zwanych „kropli od mojego bólu głowy”, jak je nazywała panna Grover.

Rudolf podniósł się na łokciu i obserwował, jak Tylda nalewa lekarstwo na łyżkę, po czym wkłada mu ją do ust.

- Będzie lepiej, jeśli dasz mi tego trochę więcej - powiedział.

- Nie jestem pewna, jaka jest właściwa dawka - odparła Tylda.

- Daj mi tę buteleczkę!

Pociągnął łyk, marszcząc nos od nieprzyjemnego smaku, po czym wziął jeszcze jeden.

- Myślę, że to chyba za dużo - zaniepokoiła się Tylda. - Nie chcę jutro sama się ze wszystkiego tłumaczyć.

- Ja będę mówił - rzekł.

Oddał buteleczkę i opadł bezsilnie na poduszki. Podniesienie głowy najwyraźniej stanowiło dla niego ogromny wysiłek.

Tylda spojrzała na jego nogę. Nie widać było ani plamki krwi na bandażu, więc przykryła go pierzyną.

- Spróbuj zasnąć - powiedziała łagodnie.
- Dziękuję ci - odparł trochę sennie. - Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Odniosła wrażenie, że mówienie sprawia mu trudność, wróciła więc do kuchni.

Odłożyła na miejsce bandażę, których nie zużyła, starając się nie patrzeć w stronę zlewu, który wyglądał, jakby był pełen krwi. Potem poszła z powrotem do sypialni.

Rudolf już spał. Oddychał ciężko i Tyldzie zrobiło się gorąco na myśl, że mógł przedawkować lek. Pomyślała jednak, że nawet taka końska dawka nie zabije go, a tylko przedłuży jego sen.

Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona.

Był to bardzo długi dzień.

Wyczerpujące wdrapywanie się na wzgórze, strach przed policyjną pogonią i szok, gdy Rudolf został trafiony, spowodowały, że nagle ogarnęła ją fala niehumanitarnego zmęczenia.

Rozejrzała się po pokoju. Stało tu tylko jedno twarde krzesło, takie samo jak w kuchni.

Myślała, że może jest tu jakiś wygodny fotel, w którym mogłaby spać. Ale oprócz łóżka, w sypialni nie było niestety innych mebli.

Zauważyła, że zrobiło się teraz jeszcze chłodniej. Byli wysoko w górach, a z zewnątrz dochodziło jedynie niesamowite wycie wiatru. Ciągle miała na sobie kaftan Rudolfa, ale trzęsa się z chłodu. Czowała, że nogi, na których miała białe pończochy, prawie już skostniały z zimna. Weszła do kuchni. Jeszcze dzisiaj ktoś palił pod kuchenką. Teraz jednak ogień wygasł. Nie było też już ognia w stojącym w rogu piecu. Podmuchy wiatru poruszały okiennicami. Zanim wróciła do sypialni, zdmuchnęła świecę. Usiadła z drugiej

strony łóżka, na którym spał Rudolf. Mama chyba by zemdlą! - pomyślała.

Księżnej Pricilli jednak tutaj nie było. Tylda doszła do wniosku, że gdyby rano obudziła się z zapaleniem płuc, sprawiłaby tym kłopot wszystkim, nie wyłączając Rudolfa.

Usiadłszy zdecydowanie na skraju łóżka, uniosła puchową pierzynę i wsunęła pod nią nogi. Było ciepło i przyjemnie. Wślizgnęła się więc trochę głębiej i odwróciwszy się plecami do Rudolfa, naciągnęła pierzynę aż po szyję.

Tylda otworzyła oczy i zaczęła się zastanawiać, gdzie jest. Promienie słońca wpadały przez szpary w zasłonach. Zdała sobie sprawę, że jest ubrana, a na dodatek ma na sobie tweedowy kaftan.

Przypomniała sobie dziką ucieczkę z Monachium policyjnym wozem, chwile grozy, gdy biegli na szczyt wzgórza, ścigani przez konną policję, i krew sącząca się z nogi Rudolfa na podłogę! Wszystko to stanęło jej teraz przed oczami. Nagle przy drzwiach wejściowych zachrobotą klamka i Tylda usłyszała, jak ktoś napiera na drzwi.

Szybko pojęła, co się dzieje. Wrócił właściciel i zastał swój dom zamknięty od wewnątrz. Wskoczyła z łóżka i w samych tylko pończochach przebiegła przez kuchnię do drzwi.

Gdy je otworzyła, ujrzała przed sobą starszą kobietę, wyglądającą na bardzo zaskoczoną.

- Kim pani jest i co pani robi w moim domu? - zapytała kobieta.

Była postawna, miała siwiejące włosy, lecz cerę jeszcze gładką i mlecznoróżową. Ciemnoniebieskie oczy patrzyły badawczo.

- Muszę pani wyjaśnić, gnadige Frau - powiedziała szybko Tylda. - Schroniliśmy się tu zeszłej nocy.

- To widzę! A co to znaczy „my”? - spytała starsza kobieta, wchodząc do kuchni i stawiając na stole koszyk, który dźwigała do tej pory na ramieniu.

Nie przerywając rozmowy, zerknęła na lewą rękę Tyldy. Ta, nie zastanawiając się nad tym, co mówi, zaczęła się tłumaczyć:

- Mój... mój mąż - zaczęła - mieliśmy pewne... kłopoty... okropne kłopoty w związku ze studentami.

- Słyszałam, że znowu narozrabiali - stwierdziła starsza kobieta. - Nieznośni młodzi ludzie! Powinno się to jakoś ukrócić! Mówiłam to już nieraz. Powinno się ich poskromić!

- Policja chciała nas... zaaresztować, bo myślano, że jesteśmy studentami - ciągnęła dalej Tylda jednym tchem. - i mój... mój małżonek został postrzelony w nogę.

- Postrzelony? - wykrzyknęła kobieta. - A gdzie on jest? Weszła do sypialni.

Rudolf nadal pogrążony był we śnie, oddychał głęboko.

- Spojrzała na niego i wtedy zobaczyła buteleczkę z laudanum, którą Tylda zostawiła na stoliku przy łóżku.

- A więc tego dała mu się pani napić?

- Obawiam się, że wypił trochę za dużo - pośpieszyła z wyjaśnieniem Tylda - ale tak go bolało. Zabandażowałam mu nogę. Mam nadzieję, że zrobiłam to dobrze.

Kobieta odsunęła pierzynę i Tylda zobaczyła, że bandaże teraz są zakrwawione.

- Staralam się to zrobić jak... najlepiej - rzekła przepraszając Tylda. - Bandaże znalazłam na pani... półce.

- Zapewne ucieszyła się pani, gdy je znalazła - zauważyła starsza kobieta.

Popatrzyła na Tyldę, na jej małą przestraszoną twarzyczkę, jasne włosy i zielony tweedowy bawarski kaftan, nałożony na chłopski strój.

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się.

- Wygląda pani zbyt młodo na to, by mieć kłopoty z policją i opatrywać rannego mężczyznę.

- Miałam nadzieję, że będzie... ktoś w domu - powiedziała Tylda. - Drzwi były otwarte, a on nie mógł już iść dalej.

- Uważam, że dobrze się pani spisała, pomagając mu dostać się aż tutaj - odparła starsza kobieta. - A teraz proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Frau Sturdel i jestem położną.

- Więc stąd te wszystkie bandaże i ręczniki! - wykrzyknęła Tylda.

- Właśnie! - rzekła pani Sturdel. - Pomagałam przy porodzie i dlatego nie zastaliście mnie w domu.

Wróciła do kuchni. Tylda poszła za nią.

- Bardzo przepraszam, że narobiliśmy tyle bałaganu w pani domu - powiedziała - ale możemy zapłacić za wszystkie wyrządzone przez nas szkody.

Mówiła to z całym przekonaniem. Chociaż nie miała przy sobie własnych pieniędzy, czuła w kieszeni kaftana gruby portfel Rudolfa. Pamiętała, z jakim szacunkiem powitano go w piwiarni, i wywnioskowała, że musi być dość zamożny.

- Nie wydaje mi się, byście wyrządzili mi tu jakieś szkody - rzekła pani Sturdel. - A teraz proszę powiedzieć, jak się pani nazywa.

Pytanie zaskoczyło Tyldę.

- Jestem Tylda - odparła - a on - uczyniła gest ręką - ma na imię Rudolf.

Widziała, że pani Sturdel na coś czeka, dodała więc pierwsze niemieckie nazwisko, jakie przyszło jej do głowy.

- Weber - dokończyła prezentacji. - Weber... to nasze nazwisko.

- A teraz, Frau Weber - zwróciła się do niej położna - zbadam nogę pani męża. A jeżeli nie chce pani, by ktoś

dowiedział się, że tutaj jesteście, radzę pani wyczyścić próg przy drzwiach.

- Próg? - zdziwiła się Tylda.

- Jest tam duża plama z krwi. Każdy, kto do mnie przyjdzie, na pewno ją zauważy - wyjaśniła pani Sturdel.

- Nie chcielibyśmy, by nas ktokolwiek zobaczył! - krzyknęła przerażonym głosem Tylda. - Nikt nie może się dowiedzieć, że tu jesteśmy. Pójdziemy sobie, jak tylko będzie to możliwe.

- Z tego, co usłyszałam dzisiaj rano w wiosce - odparła pani Sturdel - wynika, że w tej chwili powrót do Monachium nie byłby dla was bezpieczny. Nadal usiłują wypędzić stamtąd wszystkich cudzoziemców!

Roześmiała się.

- Studenci organizują od czasu do czasu tego typu rzeczy. Ale nikt nie zwraca na to większej uwagi. Lecz widzę, że państwo nie jesteście Bawarczykami.

- Pochodzę z Anglii - powiedziała Tylda - a mój mąż jest z Oberni.

- Więc jest już pani Obernianką! - zauważyła pani Sturdel. - Lecz to nie ułatwia sprawy, jeśli chodzi o studentów. Oni nienawidzą wszystkich, którzy są z Oberni. A właściwie, to nienawidzą absolutnie wszystkich, prócz siebie samych!

Mówiąc to, zdjęła płaszcz i włożyła fartuch.

Potem zaczęła wyjmować świeże bandaże z kredensu.

- Chodźmy, Frau Weber - ponagliła. - Trzeba zmyć ten próg. W każdej chwili może przyjść tu ktoś z sąsiadów.

Tylda rozejrzała się po kuchni. Nigdy jeszcze nie szorowała progu ani też niczego innego. Będę potrzebować wiadra, szczotki do szorowania i chyba - trochę mydła, pomyślała.

Jak gdyby czytając w myślach Tyldy, pani Sturdel powiedziała:

- Pod zlewem znajdzie pani wszystko co potrzeba, a także kawałek maty pod kolana. Przyda się w czasie szorowania.

- Tak... oczywiście - przytaknęła Tylda.

Podniosła z podłogi wiadro i zapytała z wahaniem:

- Gdzie... mogę nabrać... wody?

- W ogrodzie jest pompa, Trochę ciężko chodzi, ale na pewno da pani sobie radę. Woda jest z gór. O tej porze roku jest lodowato zimna. A, właśnie, to mi przypomina, że trzeba napalić w piecu.

Nie wiedząc dokładnie, co powinna robić, Tylda poszła do ogrodu. Posadzono tu parę rzędków warzyw, a w drucianym kurniku biegało kilka kur.

Pompa rzeczywiście chodziła opornie. Woda ciekła słabą strużką, mimo że Tylda pompowała z całych sił.

W końcu napełniła wiadro do połowy, wiedziała bowiem, że jeśli będzie pełne, nie da rady go unieść. Potem uklękła i po raz pierwszy w życiu zaczęła szorować próg. Gdy skończyła, była zadowolona z efektu swej pracy.

Wtedy przypomniała sobie, że noga Rudolfa krwawiła przez cały czas po ich wyjściu z lasu.

Istniało wszelkie prawdopodobieństwo, że krwawe ślady zostały także na prowadzącej do domu ścieżce. Mogłyby zwrócić uwagę każdego bardziej spostrzegawczego policjanta.

Poszła z powrotem tą samą drogą, którą przyszli poprzedniej nocy, i wkrótce natknęła się na niewielkie plamy krwi zaschniętej na żwirze i mchu.

Zatarła je starannie, a potem wróciła z wiadrem i szczotką do kuchni.

- Już pani skończyła? - zawołała z sypialni pani Sturdel.

- Tak, nie ma już najmniejszej plamki - odparła z zadowoleniem Tylda.

- Proszę więc przynieść trochę drzewa na opał - powiedziała położna. - Składzik znajdzie pani za domem.

Upłynęło sporo czasu, zanim Tylda przyniosła tyle drzewa, ile jej zdaniem powinno wystarczyć na cały dzień.

Kiedy uporowała się z tą pracą, do kuchni weszła pani Sturdel i wrzuciła do zlewu zakrwawione bandażę.

- Namocz je, moja droga - powiedziała. - Pani mąż będzie się teraz czuć lepiej.

- Czy już się obudził? - spytała Tylda.

- Śpi jak zabity! - stwierdziła pani Sturdel, śmiejąc się. - Bóg wie, ile dała mu pani tego laudanum!

- Nie zaszkodzi mu? - dopytywała się z niepokojem Tylda.

- Nie, na pewno nie zaszkodzi takiemu młodemu, silnemu mężczyźnie! - uspokoiła ją pani Sturdel. - Ale noga będzie go boleć jeszcze przez co najmniej jeden dzień. Rana w tym miejscu łydki zawsze jest bardziej bolesna niż gdzie indziej.

- Czy nie ma w środku pocisku? - spytała Tylda.

- Gdyby był, znalazłabym go - rzekła pani Sturdel. - Może mi pani zaufać. Mam duże doświadczenie, każdy w tej okolicy może to potwierdzić.

- Nie wątpię w pani umiejętności - zaprotestowała Tylda.

- Była pani taka dobra i jestem za to bardzo wdzięczna. Pytałam, bo tak się o niego niepokoję.

- Podejrzewam, że jesteście małżeństwem dopiero od niedawna - zauważyła pani Sturdel z figlarnym uśmiechem.

- Tak - potwierdziła Tylda.

- No cóż, już wkrótce znowu będzie wspaniałym kochankiem. O to nie musi się pani martwić! Teraz ważniejszą dla nas sprawą jest zjedzenie śniadania. Sprawdziła pani, czy kury zniosły jakieś jajka?

- Nie, nie pomyślałam o tym - odparła Tylda. - Czy mam pójść zobaczyć?

- Ja to zrobię - wyreczyła ją starsza kobieta. - A pani niech przygotuje patelnię.

Jeśli chodziło o gotowanie, Tylda знаła się na tym lepiej. Zawsze chciała gotować, a jako dziecko miała specjalny domek w ogrodzie, w którym pozwalano jej piec ciastka dla lalek.

Kiedy dorastała, tak długo zawracała głowę kucharzowi, aż wreszcie zezwolił jej na samodzielne robienie wypieków. Jeździła także z rodzicami na pikniki, gdzie pozwalano jej przyrządzać nad ogniskiem pstrągi, które ojciec łowił w pobliskim jeziorze.

Pani Sturdel nie prosiła jednak, by Tylda usmażyła jajka na śniadanie. Uwinęła się z tym prędko sama, po czym obie zasiadły przy kuchennym stole. Pani Sturdel kupiła we wsi trochę świeżego chleba i osełkę masła o złocistej barwie. Znalazła się także ostra, czosnkowa kiełbasa, która niezbyt jednak Tyldzie smakowała.

- Jak pani myśli, kiedy mój mąż się obudzi? - spytała po posiłku, gdy zaniósł brudne naczynia do zlewu.

- To zależy od zażytej dawki laudanum - odparła pani Sturdel. - Sądząc po tym, jak śpi, nie byłabym zaskoczona, gdyby otworzył oczy dopiero jutro rano.

- O Boże! - wykrzyknęła Tylda.

- Niech się pani nie martwi - odpowiedziała pani Sturdel.
- Długi sen nikomu jeszcze nie zaszkodził.

Nie wiedziała, że Tylda martwiła się bardziej o swój powrót do Monachium. Minie cały dzień, zanim będą tam mogli pojechać.

Mogła sobie wyobrazić konsternację, jaka panuje w hotelu. W tej chwili na pewno już się o nią niepokoją. Współczuła profesorowi, który w związku z jej zniknięciem musi się tłumaczyć.

Ale z drugiej strony, skoro studenci nadal rozrabiają w mieście, i tak nie może wrócić do hotelu. Liczyła na to, że tamci oboje zachowają jej nieobecność w tajemnicy.

Byłoby bardzo źle, gdyby księżę Maksymilian właśnie teraz poprosił ich o przekroczenie granicy swego kraju.

To jest przede wszystkim jego wina! - usprawiedliwiała się przed sobą Tylda. Gdyby pozwolono nam wjechać w czasie zaplanowanym przez tatę, nic by się nie stało!

Ale po chwili zastanowienia stwierdziła, że mimo wszystko nie chciałyby zrezygnować z przygody, jaka jej się przytrafiła. Ucieczka wozem przed policją i bieg zboczem wzgórza z Rudolfem, podniecały ją na swój przerażający sposób.

Tak rozmyślając, próbowała dociec, czy Rudolf pamiętał, jak tego samego jeszcze dnia gonił rano Mitzi po zboczach góry.

Przypomniała sobie ten dziwny ton jego głosu, gdy mówił: „Chcę ciebie! Chcę!”

...Czego on chciał? Co miał na myśli, wypowiadając te słowa?

Tak bardzo była pogrążona w swych rozmyślaniach, że przestraszyła się, słysząc nagle głos pani Sturdel.

- Tak będzie mu wygodniej.

- Jak? - spytała Tylda.

- Przed chwilą pani mówiłam - odrzekła starsza kobieta - Ubrałam go w nocną koszulę mego męża.

Westchnęła.

- Może się to wydawać dziwne, że w pięć lat od jego śmierci jeszcze je trzymam. Zawsze byłam sentymentalna.

Przerwała i po chwili dokończyła:

- Dzięki temu będzie pani mogła uprać mężowi koszulę, ale proszę ją powiesić z tyłu domu na sznurze. Ludzie mogliby się dziwić, że u mnie suszy się na wietrze męska bielizna!

Roześmiała się z własnego żartu i mówiła dalej:

- Kiedy wrócę wieczorem, przyniosę pani nocną koszulę. Kobieta, którą się teraz opiekuję, na pewno może mi jedną dać. Powiem jej na wszelki wypadek, że chcę ją pocerować.

- To bardzo uprzejme z pani strony - podziękowała Tylda
- ale...

- Z budowy ciała jest bardziej podobna do pani, niż do mnie - ciągnęła pani Sturdel - myślę, że chciałyby pani ładnie wyglądać dla męża, skoro jesteście niedawno po ślubie.

- Dziękuję pani - rzekła Tylda.

Nie była w stanie nic innego powiedzieć.

- Będę pamiętać - odparła pani Sturdel - ale teraz muszę już iść. W spiżarni znajdzie pani trochę jedzenia. Jeżeli mąż będzie gorączkować, a tak jest często przy zranieniu, proszę przyrządzić mu do jedzenia coś lekko strawnego, na przykład jajka. Jajka i kielbasa są w spiżarni.

- Bardzo pani dziękuję - odpowiedziała Tylda. - Czy wróci pani przed wieczorem?

- Powinnam być na szóstą, by nakarmić kury.

- A na noc? - spytała Tylda. - Nie możemy przecież pani wyrzucić z jej własnego łóżka.

- Proszę się o to nie martwić, moja droga - odrzekła pani Sturdel. - Muszę zostać przy mojej pacjentce. Dziecko może się urodzić w każdej chwili, a wie pani, jakie są dzieci! Może przyjść na świat jeszcze dziś wieczór albo dopiero za tydzień! W każdym razie tę noc muszę spędzić przy niej!

Ściszyła głos, jak gdyby ktoś podsłuchiwał, i dodała:

- To nie jest silna dziewczyna. Nie jest Bawarką, pochodzi z Alzacji. One nie są tak wytrzymałe jak my! Ale modłę się, by wszystko poszło dobrze.

Wzięta koszyk na zakupy.

- Cóż, mogę tylko powiedzieć, że nie będzie to moja wina, jeśli nie przetrzyma porodu. Proszę uważać na siebie. Gdy wyjdę, niech pani zamknie za mną drzwi. - Tak zrobię - oznajmiła Tylda.

Patrzyła, jak pani Sturdel schodzi ciężko w dół wzgórze ścieżką prowadzącą do wioski. Domek położnej znajdował się

dużo wyżej od innych i dzięki temu nikt tędy nie przechodził. Tyldzie to odpowiadało. Prawdopodobieństwo niespodziewanej wizyty było znikome. W tak małej wsi każdy wiedział, dokąd kto poszedł. Kiedy pani Sturdel będzie już przy swojej pacjentce, nikt nie będzie jej szukał w domu.

Zamknęła drzwi na skobel i przechodząc przez kuchnię, weszła do sypialni. Rudolf ciągle spał. Wyglądał zdumiewająco przystojnie i jakby młodziej, leżąc z zamkniętymi oczami, ubrany w kontrastującą z opalenizną jego twarzy śnieżnobiałą koszulę nocną.

Tylda stała wpatrzona w niego.

Czy widząc go wczoraj po raz pierwszy w lasach Linderhofu mogła sobie wyobrazić, że dzisiaj będzie z nim sam na sam w małym parterowym domku, nie mając najmniejszego pojęcia, jak wrócić do Monachium?

Przywołała z pamięci obraz pełnego namiętności i pożądania pocałunku Rudolfa z Mitzi pod srebrnymi brzoźami. Czuła wtedy, iż w jakiś niewytłumaczalny sposób pociągał ją bardziej od wszystkich innych mężczyzn, których widziała do tej pory, i że się od nich zdecydowanie różnił. Przypomniała sobie, jak niechętnie opuszczała ten las w towarzystwie adiutanta, nie dowiedziawszy się, kim są Rudolf i Mitzi.

Teraz, chęć przeżyła z Rudolfem szaloną przygodę, a w nocy spała obok niego w tym samym łóżku, wiedziała niewiele więcej.

Co by powiedziała na to matka?

Wyobraźnia podsunęła jej obraz księżnej Prioilli. Twarz pełną oburzenia i okrzyki wyrażające przerażenie i potępienie.

Potem zaczęła się śmiać.

Wszystko to było tak niepojęte, tak niewiarygodne, a równocześnie o wiele bardziej ekscytujące niż te ponure królewskie pałace, które należały do mających wszystkim

wszystko za złe krewnych, czy też kwaśne uwagi i gderanie lady Crewkerne.

Cokolwiek przyniesie przyszłość, powiedziała sobie Tylda, ta przygoda będzie żyć w mej pamięci. Ta przygoda - i Rudolf!

ROZDZIAŁ 5

Tylda się obudziła; leżała z zamkniętymi oczami, pozwalając swobodnie płynąć myślom.

Najpierw uzmysłowiła sobie, gdzie się w tej chwili znajduje. Potem zaczęła się zastanawiać, jak długo będą jeszcze musieli mieszkać u pani Sturdell i w jaki sposób wrócą do Monachium, kiedy będzie tam już bezpiecznie.

Było tak wiele problemów do rozwiązania, ale gdy myślała o nich w półśnie, nie wydawały się tak trudne, jak poprzedniej nocy, gdy kładła się spać.

Miała dziwne wrażenie, że nagle znalazła się w innym świecie i w innym życiu. Nie była już lady Wiktoria Tetherton - Smythe, lecz Tyldą Weber.

Była teraz zwykłym człowiekiem. Nie czuła już strachu, związanego z poślubieniem mężczyzny, o którym wszyscy mówili między sobą szeptem. Nie przerażała jej także myśl o wielkiej i uroczystej ślubnej ceremonii księżęcej.

Słyszając lekkie poruszenie obok, otworzyła oczy. Patrzyła prosto na Rudolfa.

Ich twarze oddalone były od siebie zaledwie o kilka centymetrów. Patrząc na niego wywnioskowała, że on także musiał się przed chwilą obudzić.

W jego oczach malowało się wielkie zaskoczenie. W końcu odezwał się niskim, zachrypniętym głosem:

- Co ty tu robisz? Co się stało?

Było jeszcze bardzo wczesne rano i światło słoneczne, wpadające przez szpary między zasłonami, było bledziutkie.

Gdy miała już odpowiedzieć na pytania Rudolfa, uświadomiła sobie, że leży obok niego w łóżku, ubrana w cienką flanelową koszulę nocną, którą pani Sturdell przyniosła jej wieczorem, gdy przyszła nakarmić kury.

- Mogę... mogę to... wytłumaczyć - powiedziała szybko.

- Ach, pamiętam już - mówił wolno Rudolf - Dostałem w nogę i dałaś mi laudanum.

- To nie była moja wina... że wzięłaś trochę... za dużo - broniła się Tylda.

- Za dużo? - zdziwił się.

- Przespałeś cały wczorajszy dzień - wyjaśniła. - Przed policją uciekaliśmy dwie noce temu.

Poruszył się chcąc przekrócić się na plecy i syknął z bólu.

- Musisz uważać - rzekła pośpiesznie Tylda. - To tylko lekka rana, ale może być bardzo bolesna.

- I jest bolesna!

Ostrożnie podciągnął się na poduszkach. Potem zagadnął:

- Czy będzie to niedyskretne, jeżeli zapytam, co robisz w moim łóżku?

Tylda zarumieniła się. Nawet w panującym w pokoju półmroku widać było wyraźnie rumieniec na jej twarzy.

- Nie... miałam... gdzie... się... położyć spać - wyjąkała - a ty... cały czas byłeś nieprzytomny.

- Mam nadzieję, że nie zachowuję się jak narzekający niewdzięcznik - stwierdził z nutą rozbawienia w głosie.

- Poza tym - kontynuowała Tylda, wyrzucając z siebie w pośpiechu słowa - Frau Sturdell myśli, że jesteśmy... mężem i żoną.

- Sądzę, że powinnaś zacząć od początku - przerwał Rudolfa i powiedzieć mi, kim jest ta Frau Sturdell, choć domyślałam się, że jest właścicielką tego domu.

- Pracuje we wsi jako akuszerka - przytaknęła Tylda - i dlatego znalazłam w jej kuchni bandaż.

Rudolf dotknął ręką czoła.

- To lekarstwo zupełnie mnie ogłupiło - odezwał się. - Czy mógłbym dostać trochę kawy?

- Zaraz ci zrobię, ale najpierw zamknij oczy - odparła Tylda,

- Może raczysz mi wytłumaczyć, dlaczego to takie ważne - wypalił Rudolf. - Już ci mówiłem, że dziś czuję się trochę otepiały.

- Nie... nie jestem... ubrana - wyjaśniła Tylda cichym głosem. - Frau Sturdel przyniosła mi... nocną koszulę i nie wypadało tego... nie... założyć.

Po chwili kontynuowała nieśmiało:

- A poza tym... byłoby trochę niewygodnie spać w... jedynym ubraniu, jakie mam.

- Twe wyjaśnienia są jak najbardziej wiarygodne - rzekł Rudolf - i teraz, rozumiejąc twoje zakłopotanie, obiecuję, że zamknę oczy.

- Ubiorę się w kuchni - powiedziała jeszcze Tylda - a potem przyniosę ci kawę.

Usiadła na łóżku.

- Oczy masz zamknięte? - upewniła się,

- Nic nie widzę - padła odpowiedź.

Tylda wyślizgnęła się z łóżka i zabrawszy w locie ubranie, leżące na jedynym w pokoju krześle, wybiegła do kuchni. Zamknęła za sobą drzwi.

Ogień w piecu przygasł, ale nie musiała go rozpalać od nowa. Zanim położyła się spać, przyniosła ze składziku za domem dużo drzewa na opał i dorzuciła je teraz do pieca.

Wkrótce ogień zaczął trzaskać. Wiedziała, że zdąży się umyć i ubrać, zanim woda na kawę się zagotuje.

Zimną wodą z dzbanka przemyła kąciki oczu, aby usunąć resztki snu. Przypomniała sobie, że jej niania zawsze mówiła na nie „pajęczyna”. Obróciwszy się, zerknęła na swoje odbicie w wiszącym na ścianie małym lusterku i uczesała włosy. Spływały miękkimi falami po obu stronach twarzy. Zgarnęła je znad uszu, do tyłu, pozwalając opaść im na plecy, po czym spięła za pomocą kilku spinek, jakie jej jeszcze zostały. Większość zgubiła biegnąc przez las.

Gdy kawa była już gotowa, wlała ją do pięknego porcelanowego czajniczka o pojemności jednej dużej filiżanki. Następnie wyjęte ze szpizami miskę gęstej śmietany, którą pani Sturdel przyniosła poprzedniego dnia.

Zaniosła to wszystko na tacy do sypialni. Rudolf oparł się trochę wyżej na poduszkach i Tylda postawiła kawę obok niego. Odśloniła okno, wpuszczając do środka promienie słońca, które zmieniły jej włosy w złotą aureolę.

- Widzę, że jesteś doświadczoną gospodynią domową - zauważył Rudolf. - Skoro jesteśmy małżeństwem to może powiesz mi, jakie nosimy nazwisko?

- We... Weber - odpowiedziała trochę nieśmiało Tylda.

Zaśmiał się.

- Niezbyt oryginalne ani nazbyt wyróżniające się.

- To pierwsze nazwisko, jakie przeszło mi do głowy - przyznała Tylda. - Przecież niemądrze byłoby podać jakieś rzadko spotykane nazwisko. Chyba się z tym zgodzisz.

- Czy powiedziałaś naszej gospodyni, że się ukrywamy?

Tylda skinęła głową.

- Była bardzo miła i troskliwa. Wiem, że nas nie wyda, ale nie możemy siedzieć tu w nieskończoność.

- Oczywiście, że nie - odparł Rudolf. - Kiedy jej zdaniem będę mógł chodzić?

- Nie pytałam o to - odrzekła Tylda - ale ona jest bardzo doświadczoną pielęgniarzką i jak wróci dziś rano, opatrzy znów twoją ranę. Wtedy będzie mogła nam odpowiedzieć na wszystkie ważne pytania.

- Co się dzieje w Monachium? - spytał.

- Frau Sturdel powiedziała wczoraj, że rozruchy nadal trwają i że studenci podpalili nawet kilka domów.

- To niezbyt pocieszająca perspektywa naszego powrotu.

- Wiem - przytaknęła zmartwiona. - Ale co oni pomyślą... co będą myśleć o moim zaginięciu?

- Powiesz mi może, kim są ci „oni”? - poprosił Rudolf.

Nalał sobie kawy do filiżanki i popijał w czasie rozmowy. Tylda zamilkła na chwilę, myśląc szybko. Musi bardzo uważać na to, co mówi.

- Tak jak ci już wspomniałam - dodała po chwili - byłam w piwiarni z moim... wujem. Gdy chwyciłam cię za... rękę, myślałam, że należała do... niego.

- I ja sądziłem, że jesteś kimś innym - uśmiechnął się Rudolf.

- Mitzi! - wyrwało się Tyldzie.

Chciała ugryźć się w język, gdy ujrzała zaskoczenie w jego oczach, ale było już na to za późno. Powiedziała to, co powiedziała.

- Mitzi? - powtórzył. - Co wiesz o Mitzi?

- Widziałam cię, jak przyjechałeś, gdy czekałam na mojego... wujka, który kupował bilety wstępu do piwiarni - odpowiedziała Tylda - i... usłyszałam, jak ktoś wymawia jej... imię.

Zabrzmiało to nieprzekonywująco nawet dla niej samej, lecz Rudolf uśmiechnął się.

- Każdy zna Mitzi - powiedział. - Nie obawiam się o nią. Studenci nie zrobią jej krzywdy.

- Kim ona jest? - chciała wiedzieć Tylda.

- Nie wiesz? - spytał. Tylda potrząsnęła głową.

- Jest najślawniejszą i najbardziej popularną artystką musicalową w całej Bawarii. Ściąga tłumy na swoje występy i ma wielkie grono wielbicieli.

Pamiętając urodę Mitzi, Tylda nie miała wątpliwości, że jest to prawda. Równocześnie jednak obawiała się, że Rudolf może uznać ją samą za niedoskonały odpowiednik kobiety, którą, jak mu się wydawało, ratował z ulicznych rozruchów.

- Jest bardzo piękna! - powiedziała cicho.

- Bardzo! - zgodził się. - Ale musimy zająć się teraz naszymi sprawami. Jak sądzisz, co zrobi twój wuj?

To pytanie sama sobie zadawała. Doszła już przedtem do wniosku, że na razie ani profesor, ani też lady Crewkerne nie będą mieć ochoty na wykonanie najmniejszego nawet ruchu. Bardziej prawdopodobne było to, iż po prostu będą czekać, nie tracąc nadziei, że wkrótce wróci. Powierzenie sprawy policji byłoby równoznaczne z podaniem faktu jej zaginięcia do publicznej wiadomości. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że będą za wszelką cenę starali się uniknąć skandalu, jaki by wybuchł, gdyby dowiedziano się, iż księżniczka była w czasie rozpoczęcia zamieszek na ulicach czy w piwiarni.

- Na pewno się o ciebie niepokoją - powiedział Rudolf - ale jeszcze nie dowiedziałem się, kim „oni” są;

- Jest to mój wuj - odpowiedziała powoli Tylda - i jeszcze jedna krewna... która podróżuje z nami.

- A co z twoim mężem? - zapytał.

Spostrzegł zaskoczenie malujące się na jej twarzy, więc dodał:

- Widziałem, że nosisz obrączkę.

- To nie jest ślubna obrączka - odparła Tylda - ale jestem zaręczona.

- Z Bawarczykiem? Tylda skinęła głową.

Była to w każdym razie bezpieczna odpowiedź. Bawaria to wielki kraj.

- A czy nie zmartwi się twoim zniknięciem?

- On może jeszcze o tym... nic nie wiedzieć - rzekła z wahaniem. - Nie ma go... na razie... w Monachium.

- Opowiedz mi o nim - zaproponował Rudolf. - Bardzo jesteś w nim zakochana?

- Nigdy go nie widziałam!

Nastąpiła chwila ciszy, po której Rudolf powtórzył z niedowierzaniem:

- Co takiego? Nigdy go nie widziałaś?
 - Nie - przyznała niechętnie Tylda. - Nasze małżeństwo zostało zaaranżowane... wcześniej.
 - Sądzę, że to nie było konieczne.
 - Nie było konieczne?
 - Osoba z twoją urodą musi mieć dziesiątki zalotników, lecz widocznie ten związek przyniesie ci wiele korzyści.
 - Też mi... się tak wydaje - powiedziała Tylda.
- Zaniepokojona kierunkiem, w jakim podążała rozmowa, zaproponowała nagle:
- Zrobię jeszcze trochę kawy. To, co wypiełeś, rozjaśniło ci już w głowie?
 - Czuję się mniej ospały - padła odpowiedź.
 - Przygotowałam ci śniadanie - oznajmiła Tylda - ale niestosowne byłoby nie poczekać na Frau Sturdel. Nie chcę brać z kurnika świeżych jajek bez jej zezwolenia.
 - Mogę poczekać - odrzekł Rudolf. - Mam nadzieję, że Frau Sturdel zdobędzie dla mnie jakąś brzytwę. Koniecznie muszę się ogolić.
 - Nastawię wodę - powiedziała. - Gospodyni powinna przyjść lada moment. Na pewno ma jeszcze gdzieś brzytwy po mężu.
 - Co się stało z Herr Sturdelem? Bez wątpienia to jego łóżko zajmuję.
 - Nie żyje.
 - W takim razie nie bardzo mogę mu podziękować za użyczenie mi nocnej koszuli - stwierdził Rudolf.
 - Wątpię, czy potrzebuje jej tam, gdzie teraz przebywa - odparła figlarnie Tylda.
- Dotykała już ręką klamki drzwi kuchennych, gdy Rudolf spytał:
- Jak brzmi twoje nazwisko? To prawdziwe? Tylda znów musiała coś szybko wymyślić.

- Hyde - odparła po krótkim namyśle - pisane przez „y”.

- Będę o tym pamiętać, pisząc do ciebie - rzucił Rudolf.

Roześmiała się wchodząc do kuchni, by napełnić czajnik. Pani Sturdel wpadła do domku, jakby ją ktoś gonił.

- Wiec obudziłeś się, młody człowieku - zwróciła się do Rudolfa. - Najwyższa pora! Zaczynałam już myśleć, że ma pan zamiar przespać resztę życia.

- Dzięki pani, Frau Sturdel, spało mi się tutaj wyśmienicie. Moja żona i ja jesteśmy pani dozgonnie wdzięczni.

Tylda zauważyła, że pani Sturdel jest zachwycona jego kurtuazją,

Wie, jak postępować z kobietami, powiedziała do siebie.

Po raz kolejny rozpamiętywała, jak całował Mitzi pośród drzew i jak prowokująco przed nim uciekała. Biegła na tyle wolno, by mógł ją złapać.

- Teraz pani robi śniadanie - powiedziała pani Sturdel do Tyldy - a ja zatroszczę się o pani męża.

Tylda słyszała ich śmiech w sypialni, gdy pani Sturdel zakładała Rudolfowi świeże bandaż. Dała mu także męzowską brzytwę, by mógł się ogolić.

- Nie musi się pani już obawiać o swego ukochanego - oznajmiła Tyldzie, gdy skończyła. - Jest silny jak byk, a rana ładnie się goi. Chce już, rzecz jasna, wstać, ale zabroniłam mu stanowczo!

Tylda spojrzała na 'nią pytająco, więc starsza kobieta wyjaśniła:

- Nie chcę, by znów zaczął krwawić. Młodzi są zawsze tacy niecierpliwi. Jeśli się nie podrażni rany, to sama się zagoi - zawsze to powtarzam.

- Słyszała pani coś nowego o rozruchach? - zapytała Tylda.

- Mąż mojej pacjentki pracuje na poczcie, a oni utrzymują, rzecz jasna, kontakt z miastem. Mówią, że ciągle jest źle, ale sytuacja zaczyna się uspokajać.

- Nie wypytywano o nas we wsi? - indagowała niespokojnie Tylda.

- Nikt nie wie, że tu jesteście - zapewniła ją pani Sturdel - a policjant nadzorujący naszą wioskę mieszka trzy kilometry stąd.

Tylda odetchnęła z ulgą.

- Przyniosłam wam trochę jedzenia na obiad - powiedziała pani Sturdel. - Myślę, że pani mąż będzie bardzo głodny, gdy lek przestanie działać. Mam dobrą wołowinę, a będzie pyszna, jeśli będzie ją pani dusić przez pewien czas na wolnym ogniu.

- Tak zrobię - obiecała Tylda.

- Wrócę wieczorem. Proszę dopilnować, aby leżał w łóżku. To wszystko, co może pani zrobić.

Zarzuciła na siebie płaszcz i podniosła koszyk na zakupy.

- Proszę na niego uważać i nie martwić się. Nikt tu raczej nie zawita.

- Mam nadzieję - rzekła Tylda.

Patrzyła, jak pani Sturdel schodzi w dół ścieżką. Potem napompowała wody do dzbanka i wróciwszy do domu, zamknęła za sobą drzwi na skobel.

Rudolf zdążył się już ogolić i wyglądał teraz szalenie przystojnie.

Pokój wypełnił się słońcem i kolejny już raz Tylda odniosła dziwne wrażenie, że jest w innym świecie i że jest zupełnie kimś innym.

- Chodź tu i porozmawiaj ze mną - odezwał się swym niskim głosem Rudolf - bo zanudzę się na śmierć.

- O czym chcesz rozmawiać? - spytała trochę nerwowo Tylda.

- Chociażby o tobie - odparł. - Chcę, byś mi powiedziała wszystko o swoim życiu. Ten mężczyzna, z którym jesteś zaręczona, co o nim wiesz?

- Niewiele - stwierdziła zgodnie z prawdą Tylda. - Moi rodzice myślą, że to odpowiedni kandydat na... męża, a ja naprawdę nie miałam prawa... głosu w tej sprawie.

- A co się stanie, jeżeli nie przypadnie ci on do gustu, gdy się z nim zobaczysz?

Tylda westchnęła głęboko.

Nie miała pojęcia, że jej twarz tak wiele wyraża, że Rudolf wyczuł nie tylko jej niepokój, lecz także strach.

- Nie... będę mogła... nic na to... poradzić - wyznała po krótkiej przerwie.

- Myślę, że wszystkie mariages de convenance są barbarzyństwem - powiedział porywczo. - Mężczyzna i kobieta sami powinni wybrać sobie partnera na całe życie; znaleźć kogoś, kogo kochają, zanim zwiążą się na dobre.

Mówił tak gwałtownie, że Tylda spytała:

- Nie jesteś żonaty?

- Nie.

- Dlaczego?

- Jest po temu wiele powodów - odrzekł. - Naj - ważniejszą przyczyną jest to, że mężczyzna bardziej cieszy się życiem będąc kawalerem.

- Cieszy się życiem? - powtórzyła Tylda, po czym dodała:

- Chcesz powiedzieć, że mężczyźni wolą się zabawiać z wieloma kobietami, niż dochować wierności jednej?

- Muszę przyznać, że trafnie to ujęłaś - zgodził się z nią Rudolf.

- Chcesz... chciałbyś... ożenić się z Mitzi? - zapytała Tylda.

- Mój Boże - nie!

Powiedział to spontanicznie i Tylda po raz pierwszy poczuła nie znane jej wcześniej, pewne wewnętrzne zadowolenie.

- Dlaczego? - domagała się wyjaśnień. Zawahał się na moment.

- Nie bierze się ślubu z kobietami takimi jak Mitzi, choćby nie wiem jak były ponętne i atrakcyjne.

- Ale lubisz przebywać w jej towarzystwie? Rudolf spojrział na nią badawczo, zanim odpowiedział:

- Czy nie snujesz zbyt wielu domysłów na podstawie przypadkowego spotkania nas - mnie i Mitzi - przy wejściu do piwiarni? Po prostu poszliśmy tam zjeść razem kolację.

Tylda nie odpowiedziała, więc Rudolf ciągnął:

- Co ty właściwie sobie wyobrażasz? Co chciałaś zasugerować?

- Nie sądzę, bym... sugerowała cokolwiek - odparła. - Po prostu staram się zrozumieć. Nigdy jeszcze nie spotkałam kobiety takiej jak Mitzi.

- Chyba nie - powiedział Rudolf błędząc prawdopodobnie myślami gdzie indziej.

Potem rzekł:

- Wydaje mi się, że wiodłaś w Anglii dosyć rygorystyczne życie. Wycieczka do piwiarni na pewno nie była w twoim stylu?

- Namówiłam mojego... wuja, by mnie tam zabrał - wyjaśniła Tylda.

- Sądzę, że wymusiłaś tę zgodę, a on po prostu nie chciał ci odmawiać - zauważył Rudolf. - Anglicy to bufony i nie bawią się w takich miejscach.

- Tam było bardzo wesoło i dobrze się bawiłam, dopóki nie pojawili się studenci.

- Któż mógł przypuszczać, że sprawy przybiorą taki obrót - rzekł - czy też to, że znajdziemy się w takich opałach?

- Czy twoim zdaniem policja nadal nas poszukuje?

- Miejmy nadzieję, że nie - odparł. - Na pewno odzyskali już swój wóz i możemy się tylko modlić, by zapomnieli o całym zdarzeniu.

W jego głosie słyhać było jednak nutę powątpiewania, co nie uszło uwagi Tyldy.

- A jeśli jednak złączą nas szukać?

- Udało się nam już wyjść cało z paru nieprzyjemnych sytuacji - odpowiedział. - Oznacza to po prostu, że będziemy musieli jeszcze raz dać sobie radę.

Tylda uśmiechnęła się.

- Bardzo sprytnie udało ci się uratować nas przed zabraniem na policję...

- Na przesłuchanie! - dokończył. Milczała przez chwilę, po czym zapytała:

- Może to... niewłaściwe pytanie... oczywiście możesz nie odpowiadać... ale co ty... zawiniłeś?

W jej błękitnych oczach kryła się ciekawość i Rudolf patrzył na nią przez długą chwilę, zanim odpowiedział:

- Co sobie wyobrażałaś? Że napadam na banki, że jestem złodziejem, a może anarchistą?

- Nie, oczywiście, że nie - zaprzeczyła Tylda. - Nic z tych rzeczy. Ale zastanawiam się - i nie mogę przestać - dlaczego ukrywasz się przed policją.

- Być może moim największym wykroczeniem jest nieobecność bez usprawiedliwienia - powiedział powoli.

- Jesteś żołnierzem? Przytaknął skinieniem głowy.

- Ale nie dezercerem? - zgadywała Tylda.

- Nie, oczywiście, że nie - odparł. - Po prostu trochę wagaruję. Na co krzywo patrzą moje władze!

Też coś takiego zrobiłam, pomyślała Tylda.

Poczuła pewną ulgę, że wykroczenie Rudolfa nie było tak ciężkie, jak się obawiała! W nocy martwiła się, że być może

związała się z jakimś złoczyńcą; z kimś, kto, gdyby został złapany, uwikłałby ją w jeszcze większy skandal.

Rudolf nie wyglądał na przestępcę, lecz z drugiej strony, mówiła sobie Tylda, nigdy nie można być całkowicie pewnym. Było oczywiste, że sprytny i doświadczony oszust świetnie się maskuje, w przeciwieństwie do różnych „twardzieli”, którzy tylko udają okrutnych.

Nieobecność bez usprawiedliwienia - choć może ściągnąć surowy wyrok sądu wojskowego za samowolne opuszczenie koszar, nie leży w gestii cywilnej policji. Z pewnością jednak te dwa organy współdziałają ze sobą.

Nagle zdała sobie sprawę, że Rudolf ją obserwuje.

- I co? - spytał. - Cieszysz się, że to nic poważnego? Mogłaś przecież zawierzyć jakiemuś mordercy albo dusicielowi!

- Nawet przez myśl mi nie przeszło, że możesz być kimś takim - odparła Tylda porywczo.

- Chyba żadne z nas nie miało czasu myśleć o niczym innym, jak tylko o ratowaniu własnej skóry - zauważył Rudolf.

Roześmiał się.

- Szkoda, że nie widziałem min policjantów na placu, kiedy patrzyli, jak wóz znika im sprzed nosa. Będzie to dla nich nauczka na przyszłość, by się lepiej pilnowali.

- Ale w rewanżu trafili cię w nogę.

- To była wyłącznie moja wina - przyznał. - Gdybym pamiętał o blokadzie dróg, zatrzymalibyśmy się wcześniej i prawdopodobnie zjechali na jakąś wiejską drogę, na której nikt by nas nie szukał.

- I tak mieliśmy dużo szczęścia - podsumowała Tylda. - Bardzo, bardzo dużo szczęścia!

- Racja - zgodził się. - Dużo!

Jego wzrok spoczął na jej twarzy. Tylda przygotowała obiad i Rudolf pochwalił jej umiejętności kulinarne.

- Twój przyszły mąż na pewno nie będzie narzekał na kuchnię - stwierdził.

Wspominając monotonne i dość ciężko strawne potrawy spożywane u krewnych podczas podróży przez kontynent, Tylda zastanawiała się, czy dane jej będzie udoskonalić sztukę kulinarną w pałacu w Oberni.

Wiedziała dobrze, że według protokołu nie powinna się tym zajmować. Pomyślała jednak z nadzieją, że księżę Maksymilian, w przeciwieństwie do jej królewskiej rodziny, jest młody i na pewno nie tak ograniczony i nadęty jak oni.

- O czym myślisz? - odezwał się niespodziewanie Rudolf.
- Wyglądasz na zmartwioną.

- Rozmyślałam o swojej przyszłości. - odparła Tylda.

- I to cię tak martwi?

- Tak, oczywiście, że tak. Czy spodobałby ci się nakaz poślubienia kogoś, o kim w ogóle nie masz pojęcia i kogo nigdy nie widziałeś?

Rudolf zamilkł na chwilę, po czym powiedział:

- Przypuszczam, że ty jako wiano wnosisz pieniądze, a on swoją pozycję?

Tylda zrozumiała, że taka rozmowa jest niebezpieczna. Zaczęła zbierać talerze i naczynia po jedzeniu. Zniosła je do kuchni i umyła. Pomyślała, że Rudolf zapewne skorzysta z okazji, by się trochę zdrzemnąć.

Ale kiedy weszła do sypialni, zorientowała się, że musiał na nią czekać; patrzył w stronę drzwi.

- Podejdz, Tyldo - poprosił ją. - Chcę z tobą porozmawiać.

- O czym? - zdziwiła się.

- Chodź i usiądź koło mnie na łóżku. Posłuchała i usiadła na skraju materaca, twarzą do niego.

Ujął jej dłoń.

- Jesteś tak młoda i miła - powiedział. - Nie mogę znieść myśli, że możesz być nieszczęśliwa.

Tylda spojrzała na niego zaskoczona. Nikt nigdy nie przemawiał do niej tak delikatnie i troskliwie. Słowa Rudolfa wywołały u niej lekki dreszcz. Czuła także mocny uścisk jego dłoni.

- To nie tylko to - ciągnął. - Martwię się, że przebywanie ze mną może napytać ci biedy. Jeśli twoi bliscy dowiedzą się o tym, z pewnością to potępią.

- Może się nigdy o tym nie... dowiedzą - odpowiedziała Tylda.

- Miejmy nadzieję, że uda się utrzymać to w tajemnicy - rzekł. - Jednak gdy zostawię cię już w Monachium, będziesz musiała im jakoś wyjaśnić, co robiłaś od momentu zniknięcia aż do swego powrotu.

- Sądzę, że coś wymyślę - stwierdziła Tylda.

W tej chwili nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o bliskości jego ciała i ciepłym dotyku.

- Omówimy to we właściwym czasie - odrzekł Rudolf. - A na razie będziemy dalej udawać męża i żonę. Mogę sobie pogratulować wyboru tak atrakcyjnej narzeczonej, choć wszystko odbyło się po ciemku!

- A ty jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

- Dziękuję - odparł - ale wydaje mi się, że nie powinnaś tak szafować komplementami.

- Czy to... źle, że użyłam wyrażenia... przystojny mężczyzna?

- Nie - zaprotestował - ale tego nigdy byś nie powiedziała Anglikowi.

Tylda zachichotała.

- To prawda, nie, ale nigdy też nie spotkałam kogoś o takiej urodzie.

Palce Rudolfa zacisnęły się na jej palcach.

- Jesteś cudowna! - stwierdził. - Na pewno wielu już ci to mówiło?

- Nikt jeszcze nigdy nie powiedział mi czegoś, co naprawdę chciałabym usłyszeć - zwierzyła się Tylda. - Czy naprawdę... tak sądzisz?

- Że jesteś cudowna? - spytał. - Ależ oczywiście! Nigdy nie wyobrażałem sobie, że Angielka może być tak drobna, tak śliczna! Doprawdy, moja mała Tyldo, wyglądasz jak księżniczka z bajki.

- To fantastyczne! - wykrzyknęła Tylda. - Mówisz tak czarująco! Czy powtarzasz to wszystkim spotkanym kobietom, na przykład Mitzi?

- Zadajesz także najbardziej kłopotliwe pytania! - odpalił Rudolf. - Jakoś nie mogę wyobrazić sobie tego angielskiego środowiska, w którym się wychowałam.

- Może właśnie dzięki temu wychowaniu mogę teraz mówić to, co myślę.

Westchnęła.

- To takie nudne, tak potwornie nudne, gdy każde słowo trzeba najpierw przemyśleć.

- Zgadzam się z tobą w pełni - stwierdził Rudolf. - Lecz będąc tak młoda nie powinnaś uważać, że życie jest nudne. Pozwól, że zgadnę...

Przerwał na moment, zanim zaczął mówić dalej:

- ...gdybyś była w tej chwili w Anglii, jeździłabyś może powozem po parku. Być może pojechałabyś do Crystal Palace w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka w sztywnym białym zakiecie i białych rękawiczkach, a wieczorem poszłabyś na bal. Tylda zaśmiała się.

- Skąd tyle wiesz o Anglii?

- Byłem tam w czasie tak zwanego „sezon londyńskiego”
- wytłumaczył Rudolf - i widziałem dziewczęta debiutujące na dworze. Były mniej więcej w twoim wieku, lecz nie dorównywały ci urodą. Wysiadały ze swych powozów w towarzystwie groźnie wyglądających opiekunek i wkraczały do jakiegoś wspaniałego gmachu, by tam uczestniczyć w „targu narzeczonych”.

- „Targ narzeczonych”! - jęknęła Tylda.

- A czymże to jest? - podniósł głos Rudolf. - Dziewczyny z określonej klasy społecznej idą tam po to, by złapać w sidła kandydata, który da najwięcej. Inaczej mówiąc, mężczyznę najbardziej bogatego lub najwyższej utytułowanego.

Nuta pogardy pobrzmiwała w jego głosie, co wprowadziło Tyldę w zakłopotanie. Choć nie spotkało to jej samej, dobrze wiedziała, że Rudolf mówi prawdę. Debiutantki, które co wieczór chodziły na bale, wystawiano na coś w rodzaju „targu narzeczonych”. Ich jedyną ambicją było upolować męża bogatego albo o wysokiej pozycji.

- Cóż, takie rzeczy się zdarzają - kontynuował Rudolf. - Bez wątpienia wyjdiesz za tego swojego ważnego Bawarczyka i będziesz się starać zapomnieć o niestosowności przebywania w drewnianej chatce na stoku góry sam na sam ze mną.

- To jest przygoda - powiedziała cicho Tylda - i nigdy... nigdy jej nie zapomnę.

- Jesteś pewna?

- Raczej... raczej tak.

Jednak z jakiejś przyczyny Tylda nie mogła pojąć, dlaczego było jej tak trudno spojrzeć mu w oczy.

Przegadali w ten sposób całe popołudnie.

Oboje lubili muzykę, więc Rudolf opowiedział jej o wspaniałym sukcesie, jaki w Bawarii odniósł Wagner.

Oboje czytali także książki tych samych autorów i oboje interesowali się darwinowską teorią ewolucji. Spostrzegłszy, że mają ze sobą tyle wspólnego, Tyldzie przyszło na myśl, że prowadzą ze sobą pewnego rodzaju pojedynek. Zatajała przed Rudolfem różne fakty i była pewna, że on także miał swoje sekrety, o których nie mówił. Zastanawiała się, czy dotyczyły Mitzi. Była pewna, że nie chciał, by się o niej wszystkiego dowiedziała. Sprytnie wymigiwał się od odpowiadania na pytania, które jej dotyczyły. Tylda bała się jednak jakiejś niedyskrecji ze swojej strony, wygadania się z czymś. Była pewna, że nie uszłoby to jego uwagi! Ale nigdy, przyznała, w skrytości ducha, nie spędziła tak wspaniałego popołudnia. Nikt by nie uwierzył, że po raz pierwszy przebywała sam na sam z mężczyzną, i to w dodatku młodym. Dotychczas zawsze towarzyszyła jej matka lub ktoś starszy i odpowiedni, by zastąpić księżną.

Ale nawet gdy była eskortowana przez przyzwoitkę, nie miała nigdy okazji do rozmowy z mężczyzną takim jak Rudolf. Nie mogła uwierzyć, by ktoś mógł być tak, przystojny i zarazem tak niesamowicie męski. Nie było w nim nic zniewieściałego. Odniosła wrażenie - którego nie potrafiła wyjaśnić - że miał duże doświadczenie w postępowaniu z kobietami.

Gdy pani Sturdell wróciła do domu, stwierdzili ze zdumieniem, że minęła już szósta.

- Nie wydaje mi się, byście za mną tęsknili! - rzuciła na wstępie z uśmiechem. - Ale byłam ciekawa, jak też się czuje mój pacjent.

- Jestem w pełni zdrów! - pochwalił się Rudolf.

- To jedynie ja mogę stwierdzić - odpowiedziała pani Sturdell.

Przygotowała wszystko do zmiany opatrunku na jego nodze. Następnie kazała Tyldzie wykonać kilka rzeczy w ogrodzie i w kuchni.

Tylda odniosła wrażenie, że to Rudolf poprosił panią Sturdel, by wyprosiła ją z sypialni na czas zmiany bandażu. Jeśli mu się wydaje, że zemdleję na widok jego rany, to się grubo myli! - powiedziała sobie z dumą Tylda. Ale w gruncie rzeczy cieszyła się, że nie musi jej znowu oglądać. Pamiętała, jak przerażająco wyglądała jego rana tej nocy, kiedy próbowała zatrzymać krwotok i gdy bała się, że nie będzie wiedziała, jak to zrobić.

Pani Sturdel przyniosła im na kolację pieczoną sarninę. Rudolf stwierdził, iż jest wyśmienita! Przyniosła mu w koszyku także bukłak piwa. Kiedy dziękował jej, że i o tym pomyślała, wyjaśniła:

- Nie jestem aż tak stara, żeby zapomnieć, co lubi mężczyzna!

- Dlaczego nie wyszła pani ponownie za męża? - zapytał Rudolf.

- Nie znalazłam nikogo, kto by mi się naprawdę spodobał - tak było! - odparła pani Sturdel.

- Idę o zakład, że każdy mężczyzna we wsi jest gotów złożyć swe serce u pani stóp - schlebiał Rudolf.

- Dajże pan spokój! - pani Sturdel zaśmiała się. Była wyraźnie zadowolona z komplementu i lekko się zarumieniła.

- Muszę już wracać - oznajmiła po skończonej kolacji.

- Czy dziecko jeszcze się nie narodziło? - spytała Tylda.

- Każę nam długo czekać - odrzekła akuszerka - dlatego jestem już prawie pewna, że będzie to dziewczynka!

Ruszyła do wsi.

Tylda zamknęła za nią drzwi i powoli poszła do sypialni. Rudolf przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym spytał:

- Czym się tak martwisz?
 - Ja... zastanawiam się, gdzie będę... dzisiaj spała - wyznała.
 - Tam, gdzie ostatniej nocy! Spłonęła rumieńcem.
 - Myślę, że nie... powinnam, jesteś już przytomny, choć nie rozumiem... czy byłoby w tym właściwie... coś złego.
- Nastąpiła chwila milczenia, po czym Rudolf powiedział:
- Mogę podać ci kilka powodów, ale. prawdę mówiąc, znalazłem pewne wyjście.
 - Tak?
 - Kiedy byłem w Szwecji - zaczął - opowiedziano mi o panującym wśród zaręczonych dziwnym zwyczaju.
 - Co to za zwyczaj? - spytała Tylda.
 - Jak zapewne wiesz, w zimie panują tam duże mrozy, a piec zazwyczaj stoi tylko w głównej izbie - mówił Rudolf. - Więc gdy narzeczeni chcą porozmawiać ze sobą na osobności - a ponieważ zmarzliby w innym pokoju, gdzie nie ma pieca - kładą się razem do łóżka.
 - Do łóżka! - wykrzyknęła Tylda.
 - Tak - odparł - lecz pomiędzy nimi kładzie się duży pościelowy wałek, tak aby nie mogli się nawzajem dotykać. Ten zwyczaj nazywa się „wypraszenie”.
 - Brzmi to trochę dziwnie - zauważyła Tylda.
 - Dziwnie czy nie, jest to wyjście z naszego kłopotu - odrzekł Rudolf. - Możesz zabrać podglówek, na którym spałem tej nocy. Jeżeli położysz go wzdłuż, pośrodku łóżka, będzie on, daję ci słowo, najlepszą przyzwoitką!
 - To brzmi... rozsądnie - powiedziała Tylda.
 - To jest rozsądne - odparł. - Mógłbym się, oczywiście, przenieść na podłogę, ale byłoby to bardzo niewygodne. Ewentualnie ty mogłabyś spać na siedząco na tym twardym krześle, i to wyczerpuje liczbę rozwiązań.

- To prawda - zgodziła się Tylda. - A więc będziemy się „wypraszać”, jeśli tak to się określa.

Położyła podglówek pośrodku łóżka, po czym poprosiła:

- Rozbiorę się w kuchni, ale czy mógłbyś zamknąć oczy tak jak dziś rano?

- Zamknę.

- Przyszekasz?

- Na honor żołnierza!

- Nie wydaje mi się, by brzmiało to bardzo przekonująco. Kto jest waszym świętym patronem w Oberni?

- Jest ich kilku - odrzekł Rudolf. - Myślę, że święty Gerard jest najbardziej popularny.

- Nigdy o nim nie słyszałam - zdziwiła się Tylda. - Co on takiego zrobił?

- Zaczął dość dobrze - opowiadał Rudolf - zabijając kilka smoków i zdobywając rękę księżniczki. Potem się stoczył.

- Jak to?

- Opuścił swój zamek, żonę i dzieci. Zaczął, wędrować po kraju w zakonnym habicie, szukając resztek świętego krzyża.

- Czy w ten właśnie sposób chciał zostać świętym?

- Według mnie była to chęć uniknięcia odpowiedzialności - zauważył Rudolf. - Ale przysięgnę na świętego Gerarda, jeśli taka jest twoja wola.

- Musimy także uzgodnić karę, na wypadek gdybyś złamał przysięgę.

- Co proponujesz?

- Czego najbardziej nie chciałbyś utracić lub poświęcić?

Myślał przez chwilę, po czym z figlarnym błyskiem w oku powiedział:

- Odpowiedzią będzie chyba „wino, kobiety i śpiew”, choć nie zależy mi specjalnie na tym śpiewie.

- Bardzo dobrze. Teraz musisz za mną powtarzać:

Święty Gerardzie,

Jeśli nie powiedziałem prawdy choć ćwierci,
Ni wina, ni kobiet aż do śmierci.

- Ta zbyt surowa kara! - zaprotestował Rudolf.

- Co więc proponujesz?

Dumał przez moment, po czym rzekł powoli:

Święty Gerardzie,

Jeśli nie powiedziałem prawdy choć ćwierci,

Daj mi jedną tylko kobietę aż do śmierci.

- Powinnam pomyśleć, że to prawie równie surowa kara - stwierdziła Tylda. - Oznaczałoby to, że się ożenisz i nie spotkasz więcej żadnych Mitzi, nie weźmiesz udziału w żadnych wesołych, zabawnych kolacjach. Będziesz musiał siedzieć w domu ze swoją żoną!

Roześmiała się. Przypadkiem uchwyciła spojrzenie Rudolfa i śmiech zamarł jej na ustach.

Nie wiedziała dlaczego, lecz na chwilę coś sparaliżowało jej swobodę ruchów., odebrało oddech.

- To będzie zależeć od tego, z kim się ożenię! - powiedział cicho.

ROZDZIAŁ 6

Tylda pomagała pani Sturdel zmywać naczynia po śniadaniu.

Tego ranka śniadanie trochę się przeciągnęło, bowiem siedząc w trójkę długo rozmawiali i żartowali.

- Myślę, że dziecko urodzi się dziś rano - powiedziała położna.

- Jest pani pewna? - dopytywała się Tylda.

- Prawie tak samo, jak wszystkiego na tym zwariowanym świecie - odparła pani Sturdel. - Choć po dzieciach można się spodziewać wszystkiego.

Tylda uśmiechnęła się. Odłożyła na bok wytarty do sucha talerz, po czym spojrzała w okno i ledwie powstrzymała okrzyk przerażenia.

- Frau Sturdel! - krzyknęła nagle.

- Co się stało?

- Niech pani patrzy!

W dole widać było dwóch policjantów wspinających się w stronę domu.

- To nasz posterunkowy i ktoś jeszcze - oznajmiła pani Sturdel.

- Co mamy robić? Gdzie się możemy ukryć? - pytała zdenerwowana Tylda.

Pani Sturdel przemierzyła szybkimi krokami kuchnię i zamknęła drzwi na skobel.

Krzyknęła w stronę Tyldy:

- Szybko! Do sypialni!

Tylda posłuchała. Rudolf wyglądał na zaskoczonego, gdy wpadły nagle do pokoju.

- Idzie tu dwóch policjantów! - wyjaśniła cicho Tylda.

Pani Sturdel podeszła do szafy z ubraniami.

- Kładźcie się na środku łóżka, oboje - rozkazała.

Tylda spojrzała na nią zdziwiona, ale po chwili wahania, gdy Rudolf przesunął się z boku na środek łóżka, uniosła pierzynę i położyła się obok niego.

Do końca nie wiedziała, co pani Sturdel zamierza zrobić. Przerażała ją perspektywa aresztowania i przesłuchiwania na posterunku. Tymczasem położyła zdjęta z najwyższej półki szafy grubą kapę, którą w Anglii nazywano „patchwork”.

Pozszywane małe skrawki różnokolorowych tkanin tworzyły wyjątkowo oryginalne i piękne przykrycie na łóżko. Lecz nie było czasu na podziwianie czegokolwiek!

Ułożyła się wyprostowana obok Rudolfa, który objął ją ramieniem. Zadrżała i przez chwilę czuła się niepewnie, ponieważ nigdy jeszcze nie leżała tak blisko mężczyzny. Pani Sturdel przykrywała ich kapą. Wtedy Tylda zrozumiała, że leżąc na środku łóżka, przykryci puszystą pierzyną, trochę bardziej teraz wybrzuszoną niż zwykle, będą dobrze ukryci. Kiedy będą już całkowicie przykryci, nikt się nie domyśli, że w łóżku ktoś leży. Odgadując zamiary pani Sturdel, Rudolf rozsunał dwie poduszki, tworząc zagłębienie, w którym oboje ułożyli swoje głowy. Jak tylko pani Sturdel skończyła słać łóżko, rozległo się pukanie do drzwi.

- Bądźcie cicho! - wyszeptała.

Wyszła z pokoju i przeszła przez kuchnię.

Drzwi do sypialni zostawiła szeroko otwarte, jakby pokazując, że nie ma nic do ukrycia. Rudolf i Tylda usłyszeli, jak otwiera drzwi i mówi zdumiona:

- Guten Morgen, Herr Oberinspektor!

- Guten Morgen, Frau Sturdel! - odpowiedział męski głos.

- Chcieliście się ze mną zobaczyć? - zapytała pani Sturdel.

- Tak, to prawda - przyznał posterunkowy, - Przeprowadziłem też mojego przełożonego, Herr Oberpolizeiinspektora.

- Guten Morgen, Mein Herr! - pozdrowiła go pani Sturdel. - Czy wejdziecie i napijecie się kawy?

- To miło z pani strony, Frau Sturdel, ale nie mamy niestety zbyt wiele czasu - odrzekł posterunkowy. - Herr Oberpolizeiinspektor chciałby zadać pani kilka pytań.

- Na jakież to temat? - zdziwiła się położna.

- Zbieram informacje - odezwał się inspektor policji - o dwójce studentów, którzy wieczorem, trzy dni temu, ukradli w Monachium wóz policyjny.

- Wóz policyjny? - wykrzyknęła pani Sturdel. - Po co mieliby to robić?!

- Uciekali - wyjaśnił inspektor. - Była to kompromitacja dla policji. Policjanci, którzy do tego dopuścili, zostali już surowo ukarani!

- Rozumiem - rzekła pani Sturdel - lecz mogę pana zapewnić, Mein Herr, że w wiosce nie ma takiego wozu.

- Wóz odzyskaliśmy - odparł inspektor - ale studenci uciekli!

- Stąd daleko do Monachium, Mein Herr.

- Po raz ostatni widziano ich, jak wspinali się gdzieś tutaj pod górę, uciekając na zachód - wyjaśnił inspektor. - Strzelano do nich, ale mało prawdopodobne, by zostali trafieni.

- Jeśli uszli cało - zauważyła pani Sturdel - to teraz są już daleko stąd. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- To samo mówiłem - przerwał posterunkowy - lecz Herr Oberpolizeiinspektor nalegał, abym zapytał panią, czy nie słyszała pani może czegoś o tych młodych ludziach.

- O dwóch mężczyznach? - spytała pani Sturdel.

- Policjantom, którzy do nich strzelali, wydawało się, choć nie byli tego całkowicie pewni, że uciekinierami byli mężczyzna i kobieta. Widzę jednak, Frau Sturdel, iż nie może nam pani w tej sprawie pomóc.

- Obawiam się, że niestety nie - stwierdziła pani Sturdel, lekko wzdychając. - Lecz jeśli czegoś się dowiem, skontaktuję się oczywiście z Herr Oberinspektorem, chyba że...

Przerwała na chwilę.

- ...chyba że chcielibyście przeszukać mój dom? Jak widzicie, nie jest zbyt duży i trudno byłoby tu kogokolwiek ukryć.

- Tak, rzeczywiście! - przytaknął inspektor. - I proszę nam wybaczyć, że niepokoiliśmy panią, wiedząc o tym, że całe dni ma pani zajęte odbieraniem porodu.

- Tak, to prawda - rzekła pani Sturdel. - Czekamy na to dziecko już dość długo. Nie śpieszy mu się z przyjściem na ten świat - nie mam pojęcia dlaczego!

- Może nie ma ochoty wyrosnąć na zbuntowanego studenta! - zasugerował posterunkowy i zaśmiał się wesoło z własnego żartu.

- Dowcipniś z pana, Herr Oberinspektor! - wykrzyknęła pani Sturdel. - Gdybym się jednak miała założyć, postawiłabym raczej na to, że urodzi się dziewczynka!

- Nie powinniśmy byli zabierać pani tyle czasu, Meine Frau - oświadczył chłodno inspektor. Z pewnością uważał tego typu wymianę uprzejmości za stratę czasu. - Idziemy teraz do księdza, być może on będzie mógł nam pomóc. Potem muszę pójść do następnej wioski.

- Mam nadzieję, że tam powiedzie się panu lepiej niż tutaj, Mein Herr - powiedziała położna.

- Dziękuję - odparł uprzejmie inspektor. - Auf Wiedersehen, Frau Sturdel.

- Auf Wiedersehen, Herr Oberpolizeiinspektor. Auf Wiedersehen, Herr Oberinspektor.

Wydawało się, że wymiana uprzejmości będzie trwać w nieskończoność. Tylda, która do tej pory leżała sztywno wtulając twarz w ramię Rudolfa, uspokoiła się. Policjanci

wychodzili, byli bezpieczni! Wiedziała, że Rudolf także był napięty. Żadne nawet nie drgnęło od czasu, gdy pani Sturdel zakryła ich kapą. Rudolf objął ją mocniej ramieniem.

Usłyszeli zamykanie drzwi. Wstrzymywany przez Tyldę oddech przeszedł w głębokie westchnienie, które jakby się wyrwało z głębi duszy.

- Znowu udało nam się uciec! - wyszeptała, a ponieważ było ciemno, przysunęła głowę bliżej niego.

Spojrzał na nią w tym samym momencie i nagle ich wargi zetknęły się. Przez sekundę Tylda odczuwała jedynie zaskoczenie, a potem jego usta wywołały w niej nigdy nie spotkaną, niesamowitą ekstazę. Jakby światło błyskawicy przemknęło przez jej ciało i już wiedziała, że tego właśnie, zawsze pragnęła. Marzyła o tym przez cały czas, od kiedy ujrzała go całującego Mitzi w lesie Linderhofu.

Próbowała wtedy wyobrazić sobie, co oni czuli. Rzeczywistość odbiegała jednak od wyobrażeń, była tak niewiarygodnie cudowna. Jej wargi mogły tylko lgnąć do jego. W tej chwili zapomniała o czyhającym przed chwilą niebezpieczeństwie, otaczał ich gęsty mrok pierzyny! Na świecie nie istniał już nikt inny, oprócz nich samych. Odczuła prawie fizyczny ból, musząc oderwać swe wargi od jego, kiedy pani Sturdel uniosła przykrycie.

- Było blisko! - wykrzyknęła. - Trochę się bałam, że nasz wiejski posterunkowy, który jest osobą wścibską, zajrzy do szafy i znajdzie tam wasze ubrania.

Położna zdjęła z nich przykrycie. Przez krótką chwilę Tylda czuła, że nie jest w stanie się poruszyć. Chciała pozostać tam gdzie jest, z głową na ramieniu Rudolfa i twarzą blisko jego twarzy. Wtedy puścił ją i była wolna. Machinalnie, nie myśląc o tym, co robi, Tylda wygrzebała się z łóżka, by pomóc pani Sturdel złożyć kapę.

Położyła ją w szafie na dawne miejsce.

- Nie przypuszczałam, kiedy dostałam ją od mojej babci, że okaże się tak przydatna! - mówiła pani Sturdel.

- Nie znajdujemy słów, by wyrazić naszą wielką wdzięczność - zwrócił się do niej Rudolf.

- Po tych wszystkich kłopotach, przez które przeszłam - rzekła pani Sturdel uśmiechając się - nie miałam zamiaru wydać was policji!

- Jak możemy się odwdzińczyć? - zapytał Rudolf. - Nie wciągając mnie już więcej w takie tarapaty! - odparła pani Sturdel. Spojrzała na zegar i oznajmiła:

- Muszę szybko wracać, w przeciwnym razie przyjdą tu sprawdzić, co się ze mną dzieje. Wrócę wieczorem tak jak zawsze, koło szóstej. Do widzenia, dzieci. Weszła do kuchni i zatrzymała się.

- Frau Weber - rzekła - musi pani włożyć do spizarni mięso, które wam przyniosłam na obiad, inaczej muchy się do niego dobiorą.

- Zaraz to zrobię - obiecała Tylda.

Jej głos brzmiał trochę niepewnie nawet dla niej samej. Mimo to poszła do kuchni i posłusznie włożyła mięso do niewielkiej spizarni, której chroniła przed muchami gęsta siatka. Gdy skończyła, pani Sturdel znajdowała się już w połowie ścieżki prowadzącej do wioski. Tylda wróciła do sypialni. Rudolf siedział jak zawsze, oparty o poduszki. Ich oczy spotkały się. Tylda stała wpatrując się w niego. Jej twarz promieniała. Po chwili podbiegła do niego, wyciągając ręce.

- Rudolf! Rudolf! - wyszeptała.

Pragnęła, tak jak niczego dotąd w całym swoim życiu, aby ją znów pocałował. Rzuciłaby się zapewne w jego ramiona, lecz ją powstrzymał. Usiadła na skraju łóżka, z twarzą przez cały czas zwróconą w jego stronę.

- To był błąd, Tyldo - powiedział cichym głosem. - Musisz o tym zapomnieć.

- Zapomnieć, że... mnie pocałowałaś? - nie chciała uwierzyć Tylda.

- Tak.

- Ale to było cudowne! To była najwspanialsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek... przydarzyła. Dlaczego miałabym o tym... zapomnieć?

Nie odpowiedział, więc po chwili odezwała się cichym, zagubionym głosem:

- To znaczy... że nie... lubisz mnie... całować?

- Nie, nie to oczywiście chciałem powiedzieć - wykrzyknął Rudolf. - To było wspaniałe! Był to najśodszy pocałunek, jakiego do tej pory zakosztowałem - lecz, Tyldo, nie może się to już więcej powtórzyć,

- Dlaczego... nie? - chciała wiedzieć Tylda. - Ja... nie rozumiem.

Wziął jej rękę w swoje dłonie i przyglądał się jej. Tylda widziała, że szuka właściwych słów.

- Posłuchaj, Tyldo - zaczął. - Spotkaliśmy się przypadkiem. W przyszłości być może przestaniemy dla siebie cokolwiek znaczyć, nie chciałbym cię zranić.

- Ale dlaczego miałbyś... mnie zranić? - zdziwiła się Tylda. Milczał. Po jakimś czasie wyszeptała:

- Chcę... byś mnie... znów pocałował.

- Tyldo, bądź rozsądna.

- Jakie to ma znaczenie? - zapytała Tylda. - Nikt się przecież nie dowie niczego poza tym, że spaliśmy w jednym łóżku.

- To nie takie proste.

- Dlaczego nie? Nie... nie rozumiem. Całowałaś... inne kobiety. Dlaczego nie... mnie?

- Podam ci dwa powody - odparł Rudolf.

- Jakie? - dopytywała się Tylda.

- Po pierwsze, jesteś damą.

Tylda chciała zaprzeczyć. Chciała mu powiedzieć, że jej wysokie urodzenie nie powinno mu przeszkadzać w pocałowaniu jej. Lecz Rudolf ciągnął dalej:

- Czy byłeś kiedyś w bawarskim kościele? Tylda spojrzała na niego zaskoczona i odparła:

- Tak, oczywiście. Wstępowaliśmy do różnych kościołów podróżując przez Bawarię. Są piękne! Piękniejsze od wszystkich kościołów, jakie oglądałam.

- Czy widziałaś rzeźby? - spytał Rudolf. - I czy dostrzegłaś anioły?

- Oczywiście, że widziałam - powiedziała Tylda. - Były wszędzie, rozkoszne, przepiękne małe aniołki tańczące nad amboną i wokół ołtarza i wymalowane na sklepieniu.

- I tak właśnie ty wyglądasz - rzekł Rudolf. - Mały, rozkoszny, przepiękny aniołek!

Jego głos nabrał głębi i Tylda słuchała go z rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Po nieznacznej przerwie kontynuował:

- Żaden szanujący się mężczyzna nie ma prawa skalać czegoś tak doskonałego, tak niewiarygodnie wspaniałego.

- Czy ja naprawdę... taka jestem? - wyszeptała Tylda.

- Nigdy nie znałem osoby, która byłaby tak przepiękna! - rzekł cicho Rudolf.

- A ja nigdy nie spotkałam... kogoś tak przystojnego. Powiedziałeś, że nie powinnam ci tego mówić... ale nie rozumiem dlaczego... tak samo jak ciągle nie pojmuję, dlaczego... skoro ci się tak podobam... nie pocałujesz mnie jeszcze raz.

- To właśnie próbuję ci wyjaśnić - odpowiedział Rudolf.

Westchnął głęboko.

- Każde z nas pójdzie w swoją stronę. Ty jesteś zaręczona, żyjemy w dwóch różnych światach. Wrócisz do Monachium i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Jego słowa mocno zaboląły Tyldę. Czuła się tak, jakby rzucił w nią kamieniem.

Zacisnęła palce na jego dłoni i powiedziała:

- Ale ja chcę... chcę się z tobą spotykać. Chcę... być... z tobą.

- Ja też tego chce - wyznał Rudolf - lecz to niemożliwe!

Zaległa cisza, Rudolf spuścił wzrok.

Po chwili, z wahaniem w głosie, Tylda zaproponowała:

- Jeżeli... jeżeli naprawdę musimy... się rozstać, nie moglibyśmy być... szczęśliwi, dopóki jesteśmy... razem? Proszę, Rudolfie... proszę... pocałuj mnie jeszcze raz!

- Już powiedziałem, że nie - odparł gwałtownie, a jego głos zabrzmiał szorstko. - Nie nalegaj, Tyldo. Jestem mężczyzną, ale staram się zachowywać przyzwoicie, tak jak się tego oczekuje od dżentelmena.

- Nadal nie... pojmuję, dlaczego miałoby to mieć jakieś znaczenie, jeśli... mnie znów pocałujesz - powiedziała Tylda.

- Pewnego dnia to zrozumiesz - tłumaczył Rudolf. - Twój mąż z pewnością ci to wyjaśni.

Tylda wyrwała dłoń z jego uścisku i rzuciła ze złością:

- Teraz mówisz jak moja mama! Mam już dość wykrętów od odpowiedzi na moje pytania... mówienia, że mój mąż odpowie mi na to... odpowie mi na tamto! A co, jeśli nie odpowie?

- Co ci mówiła twoja matka? - spytał Rudolf. Tylda odwróciła wzrok w stronę okna.

- Zapytałam mamę - zaczęła, mówiąc cichym głosem - co się dzieje, gdy mężczyzna... śpi w jednym... łóżku ze... swoją żoną.

- I co ci odpowiedziała?

- Powiedziała, że mój mąż wyjaśni mi wszystko. Potem dodała... jeszcze coś, czego nie... zrozumiałam.

- A co to było? - zapytał Rudolf.

- Powiedziała: „Twój mąż może robić rzeczy, które będą ci się wydawały nieprzyjemne, ale pamiętaj, jako jego żona musisz mu być posłuszna. Taka jest wola boska”.

Głos Tyldy cichł, aż zamarł zupełnie i wtedy spytała:

- Co on takiego będzie... robić?

Rudolf nic nie odpowiedział, więc Tylda ciągnęła dalej:

- Nie mogę pojąć, dlaczego wszyscy stają się tak zagadkowi i tajemniczy... gdy mówią... o... miłości i o... człowieku, którego mam poślubić.

Rudolf westchnął głęboko.

- Jesteś tak młoda, tak bardzo młoda, mój cukiereczku. Nie mogę ci pomóc i, tak naprawdę, nie mam prawa ci pomagać.

- Dlaczego nie? - syknęła Tylda. - Co to za tajemnice, których nie można mi wyjawić?

Rudolf znów zamilkł. Badał wzrokiem jej twarz. Jej błękitne oczy były smutne, a wargi lekko wydęte. Miałem rację, pomyślał, ona wygląda dokładnie tak, jak mały, raczej nieszczęśliwy aniołek. Było coś niezemskiego i uduchowionego w jej osobie, a zarazem coś tak bardzo kobiecego i pociągającego, że kontrastowało to z jej dziecinnym wyglądem.

Wstała z łóżka.

- Bardzo dobrze - stwierdziła lodowato. - Jeżeli ty mi nie powiesz tego, co chcę wiedzieć, sądzę, że wcześniej czy później znajdę kogoś, kto to... zrobi. Po prostu będę... pytać... tak długo... aż uzyskam... odpowiedź!

- Uzyskasz ją od swojego męża - rzekł Rudolf zachrypniętym głosem.

- Wątpię - urwała Tylda. - Myślę, że będzie taki sam jak wy wszyscy. Powie, że jestem za młoda, za głupia, za ładna, za brzydka, za wysoka, za niska. Wynajdzie jakikolwiek

powód, by uniknąć powiedzenia mi prawdy: Nie wiedziałam, że mężczyźni są tak nieczuli.

Rudolf uśmiechnął się, jakby nie mógł się już dłużej powstrzymać.

- Zachowujesz się jak malutki kotek prychający na bullterriera! Mam wrażenie, że wcale nie znasz mężczyzn.

- Myślałam, że ty będziesz inny od tych, których spotkałam - obruszyła się Tylda, przypominając sobie swoich nadętych krewnych.

- Obawiam się, że cię zawiodłem.

- Tak!

Powiedziawszy to, wyszła do kuchni.

Ciężko jej było pogodzić się z myślą, że Rudolf już jej więcej nie pocałuje, że nie odczuje już więcej tego wspaniałego, upajającego uczucia, które ogarnęło jej ciało i wznieciło w nim ogień, gdy jego wargi dotykały jej ust.

Westchnęła.

A więc to tak wygląda pocałunek! - pomyślała. - Chociaż mam coś, co zachowam w... pamięci... gdy już... nigdy..., go... nie zobaczę!

Myśl ta raniła ją, lecz obiecała sobie, że nie pozwoli mu się tego domyślić. Wzięła pusty dzbanek i przeszła przez kuchnię do drzwi. Otworzyła je i stanęła jak wryta.

Za progiem stał oficer w galowym mundurze, który właśnie miał zamiar zapukać do drzwi. Z tyłu stał jeszcze jeden żołnierz, trzymając za wodze dwa konie.

- Guten Morgen! - przemówił oficer.

Przestraszona Tylda zerknęła za siebie przez ramię.

Dziękowała sobie w duchu, że wychodząc z sypialni, nie zostawiła drzwi otwartych. Była rozgniewana, chciała nimi trzasnąć. Teraz nie były do końca zamknięte, ale z zewnątrz nie można było zajrzeć do środka pokoju.

- Czego chcecie? - spytała przerażonym głosem.

- Nie miałem zamiaru pani wystraszyć - odparł oficer.
Zerknął na jej dłoń i widząc, jak sądził, obrączkę, dodał:
- Meine Frau.

Tylda nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Oficer kontynuował:

- Czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać? Nie zabiorę pani wiele czasu.

Z wielkim wysiłkiem Tylda odzyskała panowanie nad sobą.

- Oczywiście, Herr Leutnant - odrzekła, spostrzegłszy insygnia na pagonach.

- Czy mogę wejść, Meine Frau? - zapytał porucznik.

- To dla mnie zaszczyt, Herr Leutnant.

Tylda myślała szybko. Ten oficer, zgadywała, na pewno szuka Rudolfa. Powiedział jej przecież, że nie ma przepustki. Ci żołnierze chcą go aresztować i zabrać do jednostki, gdzie zostanie osądzony i ukarany. Muszę go ratować! Muszę go ratować! - powtarzała sobie. Przemierzyła niewielką kuchnię, by postawić dzbanek przy zlewie, co dało jej czas do zastanowienia się, co robić. Postanowiła, że będzie miła, bardzo czarująca i że musi przekonać oficera, iż nie wie o niczym.

Stojąc pośrodku malej kuchni, porucznik ściągał rękawiczki.

- Mieszka pani w przytulnym, małym domku, Meine Frau.

- Nie jest mój - odparła Tylda - a mojej teściowej. Mój mąż i ja... zatrzymaliśmy się u niej na trochę.

- Pani mąż jest tutaj?

- Niestety, nie w tej chwili - odrzekła Tylda.

- W takim razie chciałbym pomówić z panią.

- Ależ oczywiście - uśmiechnęła się. - Zechciałby pan może spocząć?

Wskazała ręką na ustawione tyłem do drzwi sypialni krzesło.

- Dziękuję - powiedział.

- Może kawy, Herr Leutnant?

- To miło z pani strony, ale nie, dziękuję. Jak pani godność?

- Frau Weber.

Tylda usiadła na drugim krześle, oddzielał ich teraz stół.

Porucznik, stwierdziła, był przystojny, miał jasne, kręcone włosy, dość wyraźne rysy i szaroniebieskie oczy, które, jak zauważyła, spoglądały na nią z lekkim błyskiem.

Podniosła wzrok i spytała cicho:

- W czym mogę pomóc? Chętnie uczynię, co w mojej mocy.

- Jest pani bardzo uprzejma, Meine Frau.

- Postaram się być - odrzekła Tylda - jeśli dowiem się, o co chodzi.

- Chcemy wiedzieć, czy ktoś w tej wsi nie widział młodego mężczyzny w bawarskim stroju - wyjaśnił oficer.

- Jest tu wielu młodych mężczyzn - odpowiedziała Tylda, uśmiechając się - ubierających się po bawarsku.

- Tak, wiem - odparł porucznik. - Niezbyt dobrze wyjaśniłem w czym rzecz. Ten człowiek, widziany ostatnio w pobliżu Linderhofu, charakteryzuje się wyjątkową urodą. Myślę, że gdyby go pani spotkała, z pewnością zapamiętałaby jego twarz.

- Czy jest tak przystojny jak pan? - spytała Tylda, nie ukrywając zdumienia.

- Pochlebia mi pani, Meine Frau! On prezentuje się sto razy lepiej niż ja!

- Nie wierzę, by było to możliwe! - odrzekła z dziecinną naiwnością - choć wszyscy mężczyźni w tej części Europy są

przystojni. Czuję, że już nigdy nie spojrzę na żadnego Anglika.

- Tak myślałem, że pochodzi pani z Anglii - oznajmił oficer - i choć pani zdaniem, Meine Frau, mieszkający tu mężczyźni są przystojni, to jednak nie ma kobiet tak pięknych i tak atrakcyjnych jak Angielki.

Tylda posłała mu czarujący uśmiech.

- Dziękuję - powiedziała. - Wiem, że to tylko komplement, ale ja lubię komplementy.

- Jestem przekonany, że setki mężczyzn chciałoby je wypowiedzieć pod pani adresem - oświadczył porucznik z nagłym ożywieniem.

Tylda zawstydzona uciekła spojrzeniem w inną stronę.

- Może... - zaczął oficer, po czym przerwał.

- Co chciał pan powiedzieć? - domagała się odpowiedzi Tylda.

- Proszę nie uważać tego za zbyt dużą zuchwałość - powiedział. - Po prostu zastanawiałem się, czy nie, znalazłaby pani trochę czasu i spędziła ze mną jakiś wieczór? Niedaleko stąd jest bardzo dobry zajazd, nazywa się „Królewska Granica”.

Tylda spuściła wzrok. Miała nadzieję, że wygląda na onieśmioną.

- To bardzo uprzejme z pana strony, Herr Leutnant - odpowiedziała - i chętnie bym to zrobiła, ale mój mąż nie pochwaliby tego,

- Jak długo tu jeszcze państwo zostajecie? - wypytywał dalej oficer.

- Mój mąż wyjeżdża pod koniec przyszłego tygodnia, lecz ja pobędę tu jeszcze trochę.

Nastąpiła przerwa, po której porucznik powiedział:

- A czy wtedy nie miałyby pani nic przeciwko temu, bym przyszedł się z nią zobaczyć?

- Nie mogę... zabronić panu odwiedzania mnie, Mein Herr.

- W takim razie przyjdę - obiecał oficer - i proszę, Meine Frau, okazać trochę uczucia samotnemu żołnierzowi.

- Nie wierzę, by nie było... kobiet, gotowych dotrzymać panu... towarzystwa, Herr Leutnant.

- Lecz, Meine Frau, one nie są godne pani.

Podniósł się niechętnie.

- Muszę ruszać dalej - rzekł. - Wpadnę w przyszłym tygodniu, by zapytać, czy nie widziała pani tego przystojnego młodego mężczyzny, o którym mówiłem, a także aby zaprosić panią na kolację.

- Nie znam nawet imienia mężczyzny, którego poszukujecie - oznajmiła Tylda.

- Przyjaciele wołają na niego Rudolf - wyjaśnił porucznik.

- Jego nazwisko jest nieistotne. Mógł je zmienić. W każdym razie pochodzi z Oberni.

- Będę go wypatrywać - obiecała Tylda.

- Jak mogę wyrazić swą wdzięczność? Była pani tak dobra czy też - tak piękna.

Mówiąc to, ujął dłoń Tyldy i pocałował. Poczwała na swej skórze jego ciepłe i twarde wargi.

- Będę liczył godziny - powiedział - dzielące nas od przyszłego tygodnia. Auf Wiedersehen, Meine Frau.

- Auf Wiedersehen, Herr Leutnant.

Zasalutował zgrabnie. Tylda stała w drzwiach, gdy dosiadał konia. Zasalutował jeszcze raz i ruszył. Skierował się z powrotem w stronę lasu, z którego najprawdopodobniej przyjechał. Tylda zamknęła drzwi na skobel. Stała przez chwilę z uśmiechem na ustach.

- Tylda!

Wezwanie z sypialni było stanowcze. Przeszła przez kuchnię i pchnęła drzwi.

- Może nie byłam sprytna? - spytała.

- Chodź tu!

Posłusznie podeszła do Rudolfa. Stanąwszy przy brzegu łóżka, zauważyła, że patrzył na nią wilkiem. Wyglądał groźniej niż jakikolwiek mężczyzna, jakiego widziała.

Wyciągnął rękę i chwycił ją za dłoń.

- Jak śmiesz! - wybuchnął. - Jak mogłaś zachowywać się tak swobodnie i kokieteryjnie przy tym przeklętym poruczniku!

- Wypytywał o ciebie! - zaprotestowała Tylda. - Mógł przecież przeszukać dom, gdybym nie była dla niego miła.

- Miła? Ty to nazywasz byciem miłą? - spytał rozwścieczony.

Nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie.

- Tyldo! Tyldo! - krzyknął ochryple, a jego wargi znowu dotknęły jej ust.

Całował ją zawzięcie i z pasją, jego usta uwięziły ją w pocałunku. Z początku czuła tylko ból. Zrobiło się jej błogo w całym ciele i znów, jak przedtem, poczuła rozkosz wzbierającą w piersiach. Rudolf uniósł głowę i powiedział:

- Jesteś moja! Słyszysz? Jesteś moja i nie mogę cię stracić.

Tylda nie mogła nawet odpowiedzieć, ponieważ zaczął ją znowu namiętnie całować. Mocne, gorące i zachłanne pocałunki sprawiały jej na poły ból, na poły nieziemską rozkosz.

Poczuła, że cała drży i dygocze w jego objęciach. Miała wrażenie, że wszystko wokół niej wiruje. Wtopiła się w Rudolfa, a jego namiętne, rozpalone pocałunki wzniecały w niej ogień. Stopniowo Tylda uświadomiła sobie, że już nie jest na nią zły.

Całował ją teraz wolno i pożądliwie. Sprawiało to, że czuła się, jak gdyby była jego częścią, jakby nie miała już własnej woli ani osobowości.

Należała do niego!

To, co teraz do niej mówił, tylko potwierdzało to wszystko, co wiedziała już bez słów.

- Jesteś moja! Należysz do mnie! - powtarzał. - I już wiem, moja najdroższa, że nie mogę bez ciebie żyć!

W jakiś czas potem Tylda wyznała nieśmiało:

- Kocham... cię!

- Ja ciebie też, mój mały aniele - odparł Rudolf. - Musimy wymyślić więc plan.

- Jaki plan? - spytała Tylda. Westchnął głęboko.

- Niełatwo będzie zrealizować to, co chcemy zrobić.

- Chcę, byś dalej... mnie całował - wyszeptała . Tylda.

- Ja też tego chcę, moja najdroższa - przyznał Rudolf - lecz musimy myśleć o nieco dalszej przyszłości.

- Dlaczego? Uśmiechnął się.

- Bo choć w tej chwili to miejsce wydaje się być niebem, nie możemy tu zostać do końca naszego życia,

Kiedy to mówił, Tylda pomyślała o lady Crewkerne i o profesorze, którzy czekali na nią w Monachium; o księciu Maksymilianie, czyniącym przygotowania do ich ślubu; o królowej w Windsorze, uważającej ją za ambasadora Anglii.

Krzyknęła cicho:

- Nic się nie liczy prócz... ciebie! Nie mogą mnie zmusić do poślubienia... kogoś, kogo nie... Kocham.

- Musisz zerwać te zaręczyny - przykazał Rudolf. - Będzie ci ciężko, moja droga, lecz nie możesz ustąpić.

- Nie wyjdę za niego!

- Nie pozwoliłbym ci na to - odparł, mocniej zaciskając wokół niej ramiona.

- A nie moglibyśmy po prostu... razem uciec? - zapytała Tylda.

Rudolf potrząsnął przecząco głową.

- Jesteś jeszcze niepełnoletnia, moja kochana. Twój rodzice czy też opiekunowie mogą prawnie zmusić cię do powrotu i nic nie będziemy mogli na to poradzić.

Tylda objęła go za szyję.

- Nie mogę cię... stracić.

- I ja nie chcę, by tak się stało - pocieszał ją Rudolf swym niskim głosem. - Poślubię cię, choćby nie wiem jakie trudności i przeszkody stawiano na naszej drodze.

Ucałował ją w czoło, po czym powiedział:

- Teraz wiem, że bez ciebie nie zaznam szczęścia na tym świecie.

- Kiedy pierwszy raz zrozumiałeś, że mnie kochasz? - zapytała Tylda.

- Gdy obudziłem się i ujrzałem twoją przepiękną twarzą na poduszce obok mnie - odpowiedział. - Pomyślałem, że pewnie jeszcze śnię. Nie mogłem uwierzyć, że ktoś może wyglądać tak słodko, tak niewiarygodnie cudnie!

- Naprawdę tak sądzisz? - nie wierzyła Tylda.

- Naprawdę tak sądzę! - ciągnął Rudolf. - Zakochałem się w tobie już wtedy, gdy uciekaliśmy wozem - policyjnym z Monachium, a ty byłaś tak odważna, tak opanowana i nie histeryzowałaś.

Roześmiał się.

- Szkoda, że nie pojechaliśmy na przejażdżkę do parku. Byłem tobą zauroczony. W świetle księżycy wyglądałaś jak górską nimfą, jak zjawą prosto z mych snów.

- Nigdy nie spotkałam kogoś równie przystojnego - powiedziała Tylda - i zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia.

I była to prawda, pomyślała.

Pokochała Rudolfa, gdy ujrzała go między drzewami na wzgórzu obok Linderhofu i gdy patrzyła, jak całował się z Mitzi.

Nie zdawała sobie sprawy, że to była miłość. Wiedziała jedynie, że jego twarz, jego głos i wszystko, co z nim było związane, poruszyło w jej duszy jakąś nową strunę.

Była to miłość, a ona tego nie zauważyła.

Ramiona Rudolfa zacisnęły się wokół niej jeszcze mocniej.

- Co się z nami stanie, kochana, jeżeli nie będziemy razem? - zapytał.

- Musimy! Musimy... być... razem! Mówiąc to, pomyślała o królowej, o swojej matce i o księciu Maksymilianie. Wiedziała, że teraz, gdy poznała Rudolfa, oni nic już dla niej nie znaczą.

- Musimy - mówił powoli, jak gdyby ważąc każde słowo - zawrzeć ślub, zanim ktokolwiek będzie chciał nam w tym przeszkodzić.

- Ale mówiłeś, że moi rodzice mogą zmusić mnie do... powrotu korzystając z danego im... prawa - zaniepokoiła się Tylda.

- Mogą - przytaknął Rudolf - lecz najprawdopodobniej nie uczynią tego, gdy już będziemy mężem i żoną. Gdyby dowiedzieli się o naszych zamiarach za wcześnie, mogliby nam przeszkodzić, a skutki tego byłyby fatalne.

- Tak, oczywiście - przyznała mu rację Tylda. - Za wszelką cenę będą chcieli uniknąć skandalu.

Rzekłszy to, zrozumiała, że skandal i tak wybuchnie, lecz powiedziała sobie, iż nic ją to nie obchodzi.

- Myślę, jak najlepiej postąpić - zastanawiał się głośno Rudolf.

W chwili gdy to mówił, usłyszeli, jak otwierają się drzwi wejściowe i oboje struchleli.

- Kto to może być? - wyszeptała ze strachem Tylda.
Rozległ się głos pani Sturdel:

- To tylko ja. Wróciłam po butelkę z laudanum. Tylda oswobodziła się z ramion Rudolfa i wyszła do kuchni.

Pani Sturdel zdejmowała właśnie z półki lek i kilka ręczników.

- Czy dziecko się już urodziło? - zainteresowała się Tylda.

- Tak - odpowiedziała starsza kobieta. - Miałam rację przepowiadając, że urodzi się dzisiaj. To dziewczynka.

- Cieszę się, że ma pani to już za sobą - rzekła Tylda. - A czy matka czuje się dobrze?

- Trochę histeryzuje - odpowiedziała pani Sturdel. - Dlatego chcę dać jej nieco laudanum, lecz na pewno nie taką dawkę, jaką zażył pani mąż!

- Frau Sturdel! - zawołał z sypialni Rudolf. - Mogę panią na chwilę prosić?

- Ależ oczywiście - odparła akuszerka. Odłożyła wszystko, co właśnie miała w rękach, na stół i zwróciła się do Tyldy:

- Czy byłaby pani tak dobra, Frau Weber, i zrobiła mi filiżankę kawy?

- A może chciałaby pani coś zjeść? - zaproponowała Tylda. - Mogłabym coś przygotować.

- Nie powiem nie na widok kilku sadzonych jajek - odparła pani Sturdel - Cały dzień byłam na nogach. Odkąd stąd wyszłam, nie miałam dla siebie ani chwili, to prawda!

- W takim razie zrobię pani coś do jedzenia - powiedziała Tylda.

Zajęła się garnkami, zastanawiając się przy tym, co Rudolf chciał powiedzieć pani Sturdel.

Kiedy ona przygotowywała jajka i kawę, tamci cały czas rozmawiali.

W końcu, gdy posiłek był już gotowy, zawołała panią Sturdel. Położna wyszła z sypialni w pośpiechu i jadła szybko, nic nie mówiąc.

- Muszę już wracać - rzuciła, przełykając kawę. - Dziękuję, Frau Weber, czuję się teraz jak nowo narodzona, to prawda!

Odstawiła filiżankę.

- Zrobię to, o co mnie pan poprosił, Herr Weber - krzyknęła do Rudolfa - lecz wątpię, czy przewoźnik będzie mógł tu być przed drugą!

- To mi odpowiada - odkrzyknął Rudolf - i jeszcze raz dziękuję!

Pani Sturdel zaczęła spieszenie schodzić ze wzgórza, a Tylda wróciła do sypialni.

- Co postanowiliście? - spytała.

- Podejdź! - rzekł Rudolf. Podeszła do niego patrząc mu w oczy. Usiadła obok, a on ujął ją za ręce. Zapytał poważnym głosem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszała:

- Czy ufasz mi, kochanie?

- Przecież wiesz, że tak - odparła Tylda.

- W takim razie chcę, byś zgodziła się na to, co zaplanowałem - rzekł. - Nie będzie ci łatwo, lecz zapewniam cię, że robię to, co jest dla nas obojga najlepsze.

- Chcesz... mnie... opuścić? - spytała zgadując Tylda.

- Tylko na dwa, może trzy dni - tłumaczył. - Wiele rzeczy trzeba przygotować, zanim będziemy mogli być razem, lecz obiecuję ci, że będziemy ze sobą i nic nam w tym nie przeszkodzi.

- To... wszystko, co chciałam... usłyszeć - wyszeptała Tylda.

Uniósł jej dłoń do ust i pocałował namiętnie.

- Kocham cię! - powiedział. - Kocham cię tak mocno, tak głęboko. Trudno znaleźć mi właściwe słowa, abyś zrozumiała,

że nic, naprawdę, Tyldo, nic, nawet Bóg, nie zabroni ci zostać
moją żoną!

ROZDZIAŁ 7

Powóz dojechał do przedmieść Monachium. Tylda wyjrzała przez okno i powiedziała do pani Sturdel:

- Wydaje się, że jest już spokojnie!

- Tak jest zawsze - stwierdziła położna z oburzeniem. - Studenci najpierw wywracają wszystko do góry nogami, dają się wszystkim we znaki, po czym jakby nigdy nic wracają na uniwersytet!

Tyldzie wydawało się, że wydarzenia ostatnich dni następowały po sobie tak szybko, iż nie miała czasu przemyśleć czy zastanowić się nad tym, co robi.

Rudolf powiedział jej, że prosił panią Sturdel, aby załatwiła mu przewoźnika, który zawiózłby go do Oberni.

- Zareczyła, że można mu zaufać i że nie będzie zadawać wielu pytań - powiedział Tyldzie.

- Czy nie mogę pojechać z tobą? - spytała wtedy tęsknie.

- Nie, kochanie - odparł. - Ty musisz jechać do Monachium uspokoić swego wuja i powiedzieć mężczyźnie, z którym jesteś zaręczona, że nie możesz go poślubić.

- Nie chcę cię opuszczać - powiedziała Tylda z niepokojem.

- To nie będzie trwało długo - zapewnił ją Rudolf - Kiedy wszystko już przygotuję do naszego ślubu, pošlę po ciebie i wtedy już nic i nikt nas nie rozdzieli.

- Jesteś tego pewien? - spytała Tylda. Objął ją mocno i przytulił do siebie.

- Jak mam cię przekonać - tłumaczył - że jedyną rzeczą, jakiej pragnę, jesteś ty?

Tylda podniosła na niego wzrok, jej błękitne oczy błyszczały i wyrażały podniecenie.

- Spraw... bym ci uwierzyła - wyszeptała. Przyłgął ustami do jej warg i całował ją, aż znowu poczuła, że jest jego

cząstką. Nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o cudownym i zmysłowym smaku jego warg. Potem powiedział:

- Poślę po ciebie albo sam przyjadę i cię zabiorę. Gdy już będziemy mężem i żoną, nie damy się rozdzielić, choćby nawet cały świat był przeciw nam.

- Czy będzie ktoś... próbował to zrobić? - spytała Tylda, ogarnięta lekkim drżeniem.

- Nikomu to się nie uda - zapewnił ją.

Zdołał się ubrać sam, chociaż Tylda wiedziała, że przysporzyło mu to sporo bólu. Gdy na zegarze dochodziła druga, powiedział:

- Zejdę drogą do miejsca, gdzie, jak obiecała Frau Sturdel, czekać będzie przewoźnik.

- A co będzie ze mną? - dopytywała się Tylda. - Jak ja wrócę do Monachium?

- Gdy tylko przekroczę granicę mego kraju - odparł - przyślę karetę i służących, by zabrali cię wraz z Frau Sturdel do Monachium.

- Z Frau Sturdel? - wykrzyknęła zaskoczona Tylda.

- Nie sądzisz chyba, że puszcze cię samą, bez niczyjej opieki? - powiedział Rudolf. - Frau Sturdel pogodzi z Bawarii i świetnie da sobie radę z każdym studentem, który zachowywałby się w stosunku do ciebie zuchwale czy agresywnie.

- Zgodziła się na to? - spytała Tylda ze zdziwieniem.

- Wyjaśniłem jej, jak ważne jest to dla naszego szczęścia.

- Nie powiedziałaś jej chyba, że nie jesteśmy małżeństwem?

Rudolf uśmiechnął się.

- Nie. Powiedziałem, że jesteśmy już po ślubie, ale że nie zdążyłem powiadomić o tym moich rodziców. Mogłoby to wytrącić ich z równowagi i dlatego właśnie muszę jechać do Oberni na razie bez ciebie.

Tylda roześmiała się.

- Muszę przyznać, że nie brak ci wyobraźni!

Rudolf jakby jęknął.

- Nienawidzę kłamstwa - stwierdził - zwłaszcza gdy wiąże się ono w jakiś sposób z tobą. Jednak dla naszego dobra gotów jestem na wszystko, nawet gdyby było to złe, aby tylko przyspieszyć datę naszego ślubu.

Tylda poczuła się nieswojo, przypominając sobie, ile kłamstw mu naopowiadała o sobie. Jak zareagowałby, zastanawiała się, gdyby poznał jej prawdziwe imię i dowiedział się o zaręczynach z jego księciem? Powiedziała sobie, że kimkolwiek by nie była, Rudolf i tak będzie ją kochał.

Jednak z drugiej strony lepiej będzie nie mówić mu prawdy, dopóki nie połączą się węzłem małżeńskim lub chociaż do momentu, kiedy przygotowania do ślubu będą tak zaawansowane, że nie będzie mógł się już wycofać z całej sprawy.

Sama myśl, że mógłby poświęcić ją dla dobra swej ojczyzny i swego władcy, przeszła ją dreszczem.

Muszę za niego wyjść! Muszę! - mówiła do siebie.

Wiedziała, że teraz, gdy się zakochała, nie ma już mowy, aby zawarła mariage de convenance - na to się absolutnie nie zgodzi.

Będąc jeszcze w Anglii nie wydawało się jej rzeczą wstrętną poślubienie mężczyzny, którego nigdy nie widziała na oczy. Nie przeszło jej nawet przez myśl nie zgodzić się na plany królowej Wiktorii i rodziców co do jej przyszłości.

Dopiero Rudolf obudził w niej coś, z istnienia czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

Płomień, który wzniecał w niej za każdym pocałunkiem, upojenie i ekstaza, jakich doświadczała, kiedy ją dotykał, uświadomiły jej, że nawet sama myśl o tym, iż. musiałyby

kiedyś żyć bez niego, jest nie do przyjęcia. Byłoby to równoznaczne z wejściem do ciemnego tunelu.

Tylda nie potrafiła zrozumieć, jak to się stało, że tak szybko się zakochała i że to uczucie opanowało nie tylko ją całą, lecz cały świat wkoło niej.

Teraz istniał dla niej tylko Rudolf - jej miłość do niego i jego do niej. Wszystko inne było nieważne, nic więcej się nie liczyło.

Pozycja społeczna, bogactwo, szacunek, duma - wyrzekała się tego wszystkiego dla niego! Była pewna, iż serce jej bije tylko dlatego, że jest przy nim i że on ją kocha.

Widząc, jak plany wyjazdu Rudolfa do Oberni urzeczywistniały się bez przeszkód, nabrała przekonania, że i ich przyszłość ułoży się dobrze i że nie musi się niczego obawiać.

Pocałował ją namiętnie, żegnając się z nią w małej kuchni.

- Uważaj na siebie, mój ukochany aniele - powiedział.

- Będę liczyć minuty do naszego... ponownego spotkania.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo boleję, że muszę cię opuścić.

- Dlaczego nie moglibyśmy zostać tutaj jeszcze przez kilka dni... teraz, gdy się kochamy?

Rudolf uśmiechnął się.

- Czy naprawdę myślisz, moja najdroższa, że mógłbym spać z wałkiem pomiędzy nami?

- Moglibyśmy... go... wyrzucić! - wyszeptała Tylda. Przytulił ją jeszcze mocniej do siebie.

- Tyldo! Tyldo! Nie masz nawet pojęcia, co taka prośba znaczy dla mężczyzny!

- Czy to źle... że o to... poprosiłam?

- Nie, moja droga, lecz anioły nie rozumieją słabości zwykłych ludzi.

- Nie... rozumiem.

- Wytlumaczę ci to, gdy już będziemy mężem i żoną - wymamrotał Rudolf.

- W takim razie pobierzmy się... szybko - powiedziała błagalnym głosem Tylda. Rudolf ucałował ją w czoło.

- Tak szybko, jak to tylko będzie możliwe - przysięgam!

- Będziesz bardzo ostrożny? Boję się, że możesz zostać... schwytany przez policję albo wojsko.

- Będę bardzo uważać, zrobię to dla ciebie! Całował ją, aż nie była w stanie mówić ani oddychać, ale w końcu musiał ją puścić. Prezentował się wyjątkowo przystojnie, gdy schodził w dół wzgórza do miejsca, w którym miał czekać przewoźnik.

Szedł utykając. Było widać, że stara się jak najmniej obciążać chorą nogę.

Pod bawełnianą pończochą nie widać było bandażu. Tylda uznała, że nikt nie weźmie go za ściganego przez policję studenta czy też dezentera, poszukiwanego przez żandarmerię wojskową.

Obawiała się tylko, że gdy Rudolf dojedzie do Oberni, porucznik lub jacyś inni wojskowi będą tam już na niego czekać.

Gdy zbliżali się do Monachium, Tyldę zaczęły ogarniać przerażające myśli. Są dla siebie teraz wszystkim. A co będzie, jeżeli on już się nie odezwie? A co się stanie, jeżeli osadzą go w więzieniu w Oberni lub w koszarach i nie będzie mógł się z nią skontaktować? W końcu skarciła się za swą wybujałą wyobraźnię. Ponieważ jest Angielką, musi zachować zimną krew; tego oczekuje od niej Rudolf.

Dochodziła już piąta po południu, kiedy pukanie do drzwi postawiło panią Sturdela na nogi.

Wróciła do domu pół godziny przedtem, mówiąc Tyldzie, że pacjentka czuje się dobrze i że dopiero następnego dnia rano odwiedzi ją znowu. Potem zdjęła robocze ubranie i

przebrała się w swoją najlepszą suknię. Tak przynajmniej pomyślała Tylda.

Siedziały pijąc herbatę. Gdy pani Sturdel usłyszała pukanie, otworzyła drzwi. Na progu stał człowiek w liberii.

- Powóz czeka, gnadige Frau - powiedział, kłaniając się.

- Już idziemy - odpowiedziała pani Sturdel. Pożyczyła Tyldzie bawełniany szal, by ta zarzuciła go sobie na ramiona. Słońce nie przygrzewało już tak mocno i na dworze zrobiło się chłodno.

- A jeśli ktoś nas zauważy, że schodzimy w dół? - zaniepokoiła się Tylda.

- Nawet jeżeli tak się stanie - odparta pani Sturdel - nie będą mogli zadawać żadnych pytań, dopóki nie wrócę.

Uśmiechała się, a Tylda starała się za wszelką cenę panować nad sobą. Podążała szybko za panią Sturdel krętą ścieżką, prowadzącą w dół do przebiegającej przez wieś głównej drogi.

Na dole, u stóp wzgórza, stał kryty powóz. Taki sam, jakim lubił podróżować książę Forthamptonu. Na koźle siedziało dwóch mężczyzn, a w tyle lokaj. Kareta zaprzężona w cztery konie nie była specjalnie paradna i nie wyróżniała się niczym nadzwyczajnym. Widać było jednak, że konie są pełnej krwi. Tylda uznała, iż właściciel takiej karety musi być człowiekiem, bardzo zamożnym. Ale dla Tyldy nie było ważne, czy Rudolf jest bogaty czy biedny, wiedziała, iż i tak kochałaby go tak samo. Z drugiej jednak strony żywiła nadzieję, że Rudolf jest wystarczająco bogaty, by ułagodzić gniew jej ojca, gdy ten dowie się, że jego córka ma być zwyczajną obywatelką Oberni, a nie Jej Księżącą Mością.

Gdy tak pędzili w stronę Monachium, pani Sturdel odezwała się:

- Nie będę ukrywać przed panią, Frau Weber, że ta jazda jest dla mnie wielkim zaszczytem. Nie codziennie zdarza mi się podróżować kareta, a sprawia mi to ogromną przyjemność.

- Cieszę się - uśmiechnęła się Tylda - ponieważ to bardzo miło z pani strony, że zechciała pojechać ze mną.

- Pani mąż martwił się o was - powiedziała pani Sturdell. - Jest w pani bardzo zakochany, o czym z pewnością pani dobrze wie! Och, cóż, jesteście szczęśliwą parą! Tak niewiele jest teraz szczęścia na tym świecie, jakże więc przyjemnie spotkać dwoje ludzi, którzy naprawdę zostali dla siebie stworzeni.

- Naprawdę tak pani uważa? - zapytała Tylda.

- Jestem o tym przekonana - odparła starsza kobieta. - Piękniejszej pary trzeba by szukać ze świecą w ręku. Zapewne wiele kobiet zachwyconych jest urodą pani męża i zapewne chętnie by go zatrzymały dla siebie. Mogłoby to panią niepokoić, gdyby nie to, że jest pani tak śliczna i że on wpatrzony jest tylko w panią!

- Mam nadzieję, że to prawda - rzekła cicho Tylda. Była trochę zazdrosna o Mitzi i inne kobiety, które

kochał, zanim ją spotkał. Był tak zabójczo przystojny, że musiał mieć wiele, wiele kobiet w swoim życiu. Była pewna, że tak było. Ale teraz Rudolf był zakochany w niej! Nie było nawet cienia wątpliwości co do szczerości jego uczuć, tym bardziej że będąc początkowo gotów nie spotykać jej już nigdy więcej, zmienił nagle zdanie.

Była przekonana, iż zrobił to dlatego, że jak powiedział - nie wyobraża sobie bez niej życia.

Tylda westchnęła.

Będzie z utęsknieniem oczekiwać wiadomości od niego. Wiedziała, że po jej otrzymaniu nie przyjdzie jej łatwo oświadczyć lady Crewkerne, iż nie zamierza poślubić księcia Maksymiliana.

Mogła się tylko modlić o to, aby po przybyciu do Monachium nie zastała tam listu od Jego Księżęcej, Mości z poleceniem natychmiastowego wyruszenia do Oberni. Nie miała odwagi powiedzieć Rudolfowi, że mogą być trudności związane z przedłużeniem jej pobytu w Monachium. Ale powiedziała sobie zaraz, że jakoś temu zaradzi, nawet gdyby miała położyć się do łóżka i udawać, że jest chora. Trudno było przewidzieć, jak będzie mógł się z nią skontaktować, skoro był przekonany, że ma na nazwisko Hyde.

Zamiast uciekać się do nowych kłamstw, które mogłyby w nim wzbudzić podejrzenia, Tylda postanowiła, że po prostu powiadomi recepcję w hotelu, by przekazywała jej natychmiast wszystkie listy adresowane na miss Tylde Hyde.

Pomyślała, że to dziwne, zorientowała się, ale co ją to może obchodzić?

Wzruszyła ramionami. Ciekawość pracowników hotelu nie miała dla niej w tej chwili żadnego znaczenia. Najważniejszą teraz sprawą było to, aby nie dawać Rudolfowi żadnych powodów do podejrzeń.

Kareta toczyła się już głównymi ulicami Monachium.

Zaczynało się ściemniać i zapalone latarnie gazowe złociły się w półmroku. Na ulicach było pełno ludzi, ale panował spokój i wszyscy zajęci byli swoimi sprawami. Niektórzy kierowali swe kroki do kawiarni, aby zająć jeden ze stolików na chodniku, przy których wielu ludzi popijało piwo.

- Zaraz powinniśmy dotrzeć do hotelu - odezwała się pani Sturdel.

- Chciałabym pani jeszcze raz za wszystko podziękować - powiedziała Tylda. - Myślę, że nie ma na świecie drugiej osoby, która byłaby tak dobra dla nas, jak pani.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła starsza kobieta. - A prawdę mówiąc ta przygoda urozmaiciła trochę moje życie. Na pewno nieraz będę śmiała się, wspominając

jak kapa mojej babki skryła was przed Herr Oberpolizeiinspektorem! Nie zapomnę też przejażdżki kareta. To była dla mnie wielka przyjemność, proszę mi wierzyć!

- Odbyła pani ze mną tak długą wyprawę tylko po to, aby zaraz wracać do domu - zauważyła Tylda.

- Proszę się o to nie martwić - prosiła pani Sturdel. - Usiądę sobie z tyłu i będę udawać, że jestem wielką damą, która jedzie własnym powozem na przyjęcie, na zaproszenie burmistrza!

Tylda się roześmiała. Kiedy konie się zatrzymały, pochyliła się i ucałowała swą towarzyszkę podróży w policzek. .

- Gdy tylko się urządzimy - powiedziała - napiszę do pani i może pewnego dnia przyjedzie pani do nas w odwiedziny.

- Cieszę się ogromnie. Proszę tylko nie zapomnieć o wysłaniu mi zaproszenia.

- Z pewnością nie zapomnę - odrzekła Tylda. - Zawsze będziemy pani wdzięczni, mój mąż i ja.

Jeszcze raz ucałowała starszą parną.

Wychodząc z karety poczuła się nagle bardzo mała , i przerażona tym, co ją czeka! Ale zaraz instynktownie podniosła główkę do góry. Jakie miało znaczenie to, co ktoś powie?

Czekał na nią Rudolf! On się z nią ożeni! Kocha ją!

Przemierzyła szybkimi krokami hall, po czym wjechała wolno na pierwsze piętro starą, skrzypiącą windą.

Tylda odniosła wrażenie, że windziarz przypatruje się jej z zaciekawieniem, lecz nic nie mówił. Gdy wysiadła na pierwszym piętrze, ruszyła w stronę salonu, będącego częścią ich apartamentów.

Biorąc głęboki wdech, otworzyła drzwi. Na wyłożonych ciężkim brokatem krzesłach i kanapach siedziały trzy osoby. Wszyscy obrócili głowy i patrzyli na nią jak na zjawę.

Profesor przemówił pierwszy.

- Lady Wiktorio!

- Przepraszam, jeżeli kazałam wam na siebie czekać... - zaczęła Tylda.

W tym momencie rozpoznała, kim jest trzecia z obecnych w pokoju osób.

Był to młody mężczyzna; niewiele się zmienił, choć od czasu ich ostatniego spotkania minęło siedem lat.

Francis Tetherton był jej kuzynem, a poza tym attache w ambasadzie brytyjskiej w Oberni.

- Kiedy dotrzesz do Oberni, znajdziesz tam Francisa - mówiła jej matka. - Wiem, Tyldo, że zawsze uważałaś go za nudziarza, ale musisz być dla niego miła i od czasu do czasu zapraszać go do pałacu.

Lecz teraz Tylda myślała o Francisie zupełnie inaczej. Przeszła przez pokój z wyciągniętymi ramionami.

- Och, kuzynie Francisie, tak się cieszę, że cię znowu widzę! - wykrzyknęła.

Zniewieściały, pompatyczny i raczej głupi Francis Tetherton odrzekł:

- Kuzynko Wiktorio, tak się o ciebie martwiliśmy!

- Bardzo się martwiliśmy prawdę mówiąc - odezwała się lady Crewkerne ostrym tonem. - Gdzie byłaś, lady Wiktorio, i dlaczego się z nami nie skontaktowałaś? Po tym haniebnym i karygodnym wyczynie twoim i profesora. Jak zapewne mogłaś sobie wyobrazić, byłam bardzo niespokojna.

Tylda zerknęła na profesora. Widziała, jak lady Crewkerne zgromiła go spojrzeniem. Miał minę „biednego misia”. Tyldzie zrobiło się go żal.

- Sądzę, że profesor już wytłumaczył wam - odparła - iż to wszystko moja wina.

- Są dwie różne opinie na ten temat! - stwierdziła kwaśno lady Crewkerne. - Jak on, czy jakikolwiek inny mężczyzna, śmiał zabrać cię, przy twojej pozycji, do tak...

- Zaraz, zaraz! - przerwała Tylda. - Wyjaśnijmy to sobie. Profesor nie zabrał mnie... a towarzyszył mi, gdy zrozumiał, że byłam gotowa iść do piwiarni sama... tak, sama... bez asysty!

Zauważyła, iż jej słowa i sposób, w jaki je wypowiadała, zaskoczyły lady Crewkerne. Mówiła dalej:

- Co więcej, nie przypuszczam, by profesor powiedział wam, że tylko dzięki jego dzielnej postawie uniknęłam stratowania przez tłum studentów, czy też, co gorsza, zastrzelenia przez nich! Uratował mi życie i zawsze będę mu za to wdzięczna.

- Profesor nie mówił nam o tym - rzekła lady Crewkerne jakby trochę łagodniejszym głosem.

- Wygląda na to, że profesor zachował się bardzo odważnie w trudnych okolicznościach - podsumował Francis Tetherton z charakterystyczną powolną pompatycznością, która zawsze tak irytowała Tyldę.

Jednakże miała teraz poważny powód, by być dla niego miła, i schlebiała mu swą uwagą, kiedy mówiła starając się poprawić profesorowi opinię w jego oczach i w oczach lady Crewkerne. Gdy kończyła swoją przemowę, zauważyła, że profesor nie wyglądał już tak nieszczęśliwie.

Wymyśliła także długą i trochę chaotyczną historyjkę o porwaniu przez tłum studentów do dzielnicy biedoty i znalezieniu schronienia w domu uczynnej akuszerki. Na ulicach przez cały czas panowały zamieszki i dopiero dziś wieczorem mogła powrócić do hotelu w towarzystwie troskliwej położnej.

Wszystko razem brzmiało wiarygodnie, a w każdym razie zarówno lady Crewkerne, jak i pozostali nie mieli innego wyboru, tylko przyjąć taką wersję wydarzeń.

Kiedy Tylda zakończyła swą opowieść, lady Crewkerne powiedziała:

- Jestem pewna, lady Wiktorio, że teraz masz ochotę - !, na kąpiel i zdjęcie tego dziwnego stroju, jaki masz na sobie.

- Tak, chciałabym się odświeżyć - odparła Tylda. - Lecz wybaczcie mi, że najpierw zamienię kilka słów na osobności z moim kuzynem. Chcę go o coś zapytać.

- Oczywiście, lady Wiktorio - zgodziła się lady Crewkerne. - Pójdę sprawdzić, czy Hannah przygotowała wszystko w sypialni.

Wyszła z salonu wraz z profesorem i Tylda zwróciła się do swego kuzyna.

- Chciałabym, żebyś zrobił coś dla mnie, kuzynie Francis.

- A cóż to takiego? - spytał.

- Zanim ci to powiem - odrzekła Tylda - chciałabym wiedzieć, dlaczego tutaj jesteś.

Wydawało się jej, że jego oczy poruszyły się niespokojnie.

- Nasz ambasador uznał, że powinienem przyjechać, by cię zapewnić - rzeki - że przygotowania na twoje przyjęcie w Oberni są w toku.

- Jest jednak pewne opóźnienie? - zapytała Tylda.

- Niestety, tak - odparł Francis Tetherton.

- A kto ponosi za to odpowiedzialność? Nastąpiła zauważalna przerwa, zanim kuzyn odpowiedział:

- Jego Książęca Mość nie chciałby, byś przyjechała, zanim wszystko nie zostanie przygotowane tak, jak on sobie tego życzy.

- Wie, że tu jestem? - Nasz ambasador jest w kontakcie z premierem i jego gabinetem - wyjaśnił Tetherton. - Zdajemy sobie sprawę, że opóźnienie świadczy w pewnym sensie o

lekceważeniu, lecz naprawdę nie możemy nic zrobić bez zgody Jego Książęcej Mości.

- W takim razie łatwiej ci będzie przekazać mu moją prośbę - powiedziała wolno Tylda.

- Jaką prośbę? - chciał wiedzieć.

- Chcę - nie, ja żądam spotkania z księciem przed moim wjazdem do Oberni.

Francis Tetherton popatrzył na Tyldę z konsternacją.

- Ależ, kuzynko Wiktorio, to niemożliwe! Program przewiduje, że twoje oficjalne spotkanie z Jego Książęcą Mością nastąpi na schodach pałacu.

Tylda nic nie odpowiedziała, więc kontynuował:

- Premier, minister spraw zagranicznych i brytyjski ambasador wyjadą po ciebie na granicę. Potem przejedziesz zgodnie z uroczystym ceremoniałem przez kraj do stolicy, gdzie będzie cię oczekiwał książę Maksymilian.

Tylda westchnęła głęboko.

- Nie mam zamiaru godzić się na żadną z tych rzeczy, kuzynie Francisie, o ile książę nie przyjedzie; aby się spotkać ze mną tutaj albo w innym miejscu, które mu odpowiada.

- Nie rozumiem - powiedział Tetherton.

- To całkiem proste - odparła Tylda. - Chcę się z nim spotkać nieoficjalnie, żeby porozmawiać. Musi to nastąpić przed moim przyjazdem do Oberni.

- To niemożliwe! Zupełnie niemożliwe! - wykrzyknął z przerażeniem w głosie Francis Tetherton.

- W takim razie premier, minister spraw zagranicznych oraz ambasador brytyjski będą musieli czekać bez końca - rzekła Tylda.

- Kuzynko Wiktorio, nie możesz mówić takich rzeczy!

- Ale ja mówię!

- Lecz księżę jest członkiem rodziny królewskiej! Jest głową państwa. Nie możesz mu rozkazać, aby tu przyjechał i spotkał się z tobą, tak jakby był zwykłym obywatelem.

- Nadal jest jednak moim przyszłym mężem - odpaliła Tylda - a jako jego przyszła żona przypuszczam, że mam jakieś przywileje? W każdym razie zamierzam się z nim zobaczyć, a do ciebie należy przygotowanie tego spotkania!

- Nie mogę! Musisz zrozumieć, że nie leży to w mojej mocy, nawet ambasador nie może tego zrobić. Jeśli chcesz rozmawiać z Jego Księżęcą Mością, możesz to zrobić po przybyciu do Oberni.

- Dasz grzecznie do zrozumienia, że nie będzie żadnego powitania na granicy ani uroczystego przejazdu przez kraj, dopóki nie spotkam się z księciem.

- To najbardziej nedorzeczna prośba, jaką słyszałem - rozgniewał się Francis Tetherton.

Tylda ziewnęła lekko.

- Naprawdę jestem okropnie zmęczona, kuzynie Francisie - oznajmiła - więc myślę, że położę się już spać. Oczekuję, że zostaniesz na kolacji, ale nie dyskutujmy na ten temat w obecności lady Crewkerne czy profesora.

- Nie życzysz sobie, by dowiedzieli się o twoim szalonym pomysle? - spytał nieuprzejmie.

- Mówienie im o tym byłoby wielkim błędem z twojej strony - uśmiechnęła się. - Poza tym nic ani nikt nie jest w stanie zmienić mego postanowienia. Chcę spotkać się z księciem Maksymilianem. Jeśli ty mu tego nie powiesz, znajdę kogoś innego, kto to zrobi.

- To niemożliwe, zupełnie niemożliwe! - powtórzył Francis.

- W takim razie możesz powiadomić księcia, że wracam do Anglii.

- Nie wierzę własnym uszom - jęknął kuzyn. - Tak nie zachowuje się dobrze wychowana młoda angielska panna.

Tylda zaśmiała się.

- Jeśli będziesz zarzucać mojej mamie i tacie, że mnie źle wychowali, to nie oczekuj, kuzynie Francisie, iż cię za to pochwalę.

- Myślę, że zarówno twój ojciec, jak i twoja matka nie wybaczyliby ci obecnego postępowania - odparł Francis Tetherton. - Ty nie rozumiesz, kuzynko Wiktorio, że dałaś nam już dość powodów do zmartwień znikając na trzy dni.

- Na szczęście, nie ma potrzeby, aby dowiedział się o tym książę.

- Nie, lecz prosić go o to, by spotkał się tylko z tobą - to wbrew protokołowi, wbrew etykiecie. Tego się nie robi.

- Nie mam nastroju do kłótni, kuzynie Francisie - powiedziała Tylda. - Jeżeli łaskawie wyjaśnisz księciu, że mam mu coś bardzo ważnego do powiedzenia i że nie przekroczę granic jego kraju, dopóki się ze mną nie spotka, na pewno to uczyni.

Przerwała na chwilę, by dodać:

- A poza tym, jest mi coś winien za to, że każe mi tak długo czekać w Monachium.

- Nie było ciebie tutaj, więc tak naprawdę to się nie naczekałaś - odpowiedział Francis Tetherton, raczej bez przekonania.

- A więc czy jesteś gotów przekazać Jego Książęcej Mości to, co powiedziałam? - spytała Tylda.

Ruszyła w stronę wyjścia.

- Nie będę więcej dyskutować na ten temat, kuzynie Francisie. Powiedz księciu, że bez względu na poczynione już przygotowania w Oberni, ja zostanę w Monachium tak długo, dopóki się nie spotkamy.

Konsternacja malująca się na obliczu Francisa Tethertona mogła wywołać uśmiech, ale Tylda zachowała dumny wyraz twarzy.

Poszła do sypialni, gdzie oczekiwała na nią Hannah, nie kryjąca swego niezadowolenia i dezaprobaty.

Następnego dnia Tylda wybrała się na zwiedzanie miasta. Towarzyszyli jej profesor oraz lady Crewkerne, bardziej łagodna i spokojna niż zazwyczaj.

Jednocześnie między dwojgiem jej opiekunów zapanował łatwo wyczuwalny chłód. Tylda postanowiła nie zwracać na to uwagi. Pragnęła zwiedzić Monachium, a nastrój profesora poprawiał się w miarę zaliczania coraz to nowych muzeów. Zajrzeli także do Pinakothek, zachwycając się pięknymi malowidłami i podziwiali Glockenspiel na Marienplatz. Wstępowali do kościołów, w których Tylda długo przypatrywała się rzeźbionym aniołom. Wzruszyła się wspomniawszy, że Rudolf porównał ją z tymi małymi wesołymi postaciami, wyrażającymi szczęśliwość, która była poza zasięgiem zwykłych śmiertelników.

Dam Rudolfowi szczęście! - przysięgała sobie. - Obdaruję go radością, jakiej nie dała mu żadna inna kobieta.

Czasem, kiedy przypomniwała sobie karminowe usta Mitzi i jej piękną, prowokującą twarz, czuła, że może nie spełnić jego oczekiwań.

Francis Tetherton zjawił się u niej następnego dnia rano. Gdy tylko go ujrzała, wiedziała od razu, że ma jej coś do powiedzenia. Zaprowadziła go do salonu, by usłyszeć, jaką jej przyniósł wiadomość. Byli sami.

- Czy księżę spotka się ze mną? - zapytała z niecierpliwością, nie mogąc doczekać się chwili, aż flegmatyczny Francis coś powie.

- Jego Księżęca Mość zobaczy się z tobą jeszcze dziś wieczorem - odpowiedział Francis Tetherton - lecz chciałbym

ci powiedzieć, kuzynko Wiktorio, że przekonać go było bardzo trudno. Cały czas wypytywał mnie, co masz mu do powiedzenia. Oczywiście nie miałem najmniejszego pojęcia.

- Ale spotka się ze mną. Czy przyjedzie tutaj?

- Nie, to zbyt daleko - odrzekł Francis Tetherton - ale zabiorę cię do pewnego zajazdu na granicy Oberni z Bawarią.

- „Królewska Granica” - wypaliła Tylda. Kuzyn spojrzał na nią zdziwiony.

- To prawda! - powiedział. - Gdzie o nim słyszałaś?

Tylda pomyślała o poruczniku, który miał ochotę jeść tam z nią kolację, i uśmiechnęła się tajemniczo. Głośno zaś powiedziała:

- O której godzinie mamy się spotkać z Jego Księżęcą Mością?

- O wpół do dziesiątej, a jeśli nie chcesz, by lady Crewkerne zadawała ci niepotrzebne pytania, to powiem, że zabieram cię na przyjęcie wydane przez moich przyjaciół.

- Poczuj się urażona, że jej nie zaproszono, ale kto by się tym martwił? Świetnie się spisałeś, kuzynie Francisie, załatwiwszy to, o co cię prosiłam, bardzo ci dziękuję.

- Mam tylko nadzieję, kuzynko Wiktorio, iż zdajesz sobie sprawę, jak wielkie ustępstwo czyni Jego Księżęca Mość spełniając tego typu prośbę. Nie wątpię, że okażesz mu, jak bardzo doceniasz takie wyróżnienie. Mając zamiar powiedzieć księciu o zerwaniu zaręczyn, Tylda pomyślała, że wyrazy pokornej wdzięczności nie będą na miejscu. Milczała jednak, a resztę dnia spędziła na obmyślaniu, co powie księciu. Doszła do wniosku, że skoro Rudolf pochodził z Oberni, to będzie musiała postępować ostrożnie, by nie sprowadzić na jego głowę gniewu władcy, a może nawet zemsty. Przerażała ją myśl, że Rudolf mógłby zostać wygnany, uwięziony czy też stracony. Powiedziała sobie jednak, iż księżę okaże się może na tyle wspaniałomyślny, że zaakceptuje fakt, iż w

dzisiejszych czasach nikt nie może zmuszać kobiety do ślubu, jeśli jest temu zdecydowanie przeciwna.

Jednocześnie przypomniła sobie o wszystkich swoich obawach, jakie żywiła w stosunku do księcia Maksymiliana, kiedy słyszała, jak mówiono o nim szeptem lub przerywano rozmowę na jego temat, gdy zauważono, że ich słucha.

Dlaczego wzbudzał dezaprobatę jej krewnych? A co dziwniejsze, dlaczego nigdy nie zgodził się na to, by namalowano jego portret czy też zrobiono mu zdjęcie?

Może, pomyślała, miał kiedyś jakiś poważny wypadek w czasie jazdy na koniu i teraz jego twarz wygląda odrażająco?

Istniały być może i inne powody, których nie mogła sobie wyobrazić, a które wywoływały u normalnych ludzi uczucie odrazy wobec księcia.

Ale obojętne, jaka by nie była tajemnica związana z księciem Maksymilianem, mało ją to teraz obchodziło. Postanowiła nie wychodzić za niego za mąż i po dzisiejszym spotkaniu nie będzie już powodu, aby go kiedykolwiek miała znowu zobaczyć.

Jednak, w miarę upływu czasu, Tylda zauważyła, że spokój i opanowanie, które tak bardzo w niej cenił Rudolf, zaczęły ustępować miejsca zdenerwowaniu.

Przypuśćmy, że książę stanowczo sprzeciwi się zerwaniu zaręczyn?

Co będzie, jeśli poinformuje ją, iż nie ma nawet ochoty jej wysłuchać, i powie tylko, że przygotowania do ślubu będą kontynuowane?

A jeżeli powie jej - i to ją najbardziej przerażało - że Rudolf nie może jej poślubić, ponieważ nie wolno mu tego zrobić?

Ta ostatnia myśl utwierdziła Tyldę w postanowieniu, że cokolwiek by się stało, nie dopuści do tego, żeby książę dowiedział się, kim jest Rudolf.

Powie księciu tylko, że nie może za niego wyjść, ponieważ kocha kogoś innego. Nawet gdyby rozrywano ją końmi, nie zdradzi imienia Rudolfa, jeżeli mogłoby to mu zaszkodzić. Nagle przeszła ją myśl, że w takiej sytuacji mogą zabronić im wspólnego zamieszkania w Oberni. Być może będą wtedy musieli przenieść się do Bawarii lub Austrii. Po raz pierwszy uświadomiła sobie teraz, jak niewiele wie naprawdę o Rudolffie. Był żołnierzem. To było pewne, jak i to, że popełnił raczej naganny czyn. Ale kim są i jacy są jego rodzice?

Służba w pułku kawalerii zazwyczaj oznaczała dobre pochodzenie.

Tylda przypomniała sobie, co mówił jej ojciec, że w niemieckich pułkach kawalerii trzydziestu czterech oficerów jest książętami, a pięćdziesięciu jeden hrabiami.

W Oberni mogło być inaczej, choć nie sądziła, aby tak było. Porucznik, którego spotkała, na pewno wywodził się z arystokracji.

Jakoś nigdy nie mieli czasu, by porozmawiać o czymś innym niż tylko o sobie. Teraz zdała sobie sprawę, że przed jego wyjazdem powinna była spytać go o wiele rzeczy.

Wreszcie powiedziała sobie, że Rudolf jest na pewno dżentelmenem, ponieważ zachował się w stosunku do niej przyzwoicie, uprzejmie i ze zrozumieniem.

Nigdy jej niczym nie zaskoczył, nie przestraszył ani nie wprowadził w zakłopotanie. A do tego ostatniego mogło bardzo łatwo dojść, biorąc pod uwagę fakt, że przebywali razem w jednym pokoju, a ona spała nawet obok niego w jednym łóżku. Pomimo swej całej niewinności, zdała sobie teraz po raz pierwszy, choć dość mgliście, sprawę z tego, że takie sytuacje stwarzały ukryte niebezpieczeństwa i mogły stać się przyczyną innych okropności. Ale nie miała zielonego pojęcia, jakiego mogłyby być one rodzaju.

Rudolf powiedział jej:

- Nie nalegaj tak mocno, Tyldo. Jestem mężczyzną, lecz staram się zachowywać przyzwoicie, tak jak się tego oczekuje od dżentelmena.

Zachował się przyzwoicie, lecz nie miała zupełnie pojęcia o tym, co by się mogło zdarzyć, gdyby zachował się nieprzyzwoicie. Nie można było mu nie zaufać, choć spowodowała swoimi naleganiami, że w końcu ją pocałował, mimo że nie miał takiego zamiaru, a także poprosił o rękę.

Nie powinnam zaszkodzić Rudolfowi wychodząc za niego za mąż, powiedziała sobie Tylda. Muszę zręcznie rozprawić się z księciem, tak by nie wpadł w gniew ani by nie zapalał żądzą zemsty.

Oddalając się od Monachium w towarzystwie swojego kuzyna, była zbyt napięta i niespokojna, by prowadzić rozmowę.

Francis także był zdenerwowany. Poznała to po sposobie, w jaki poprawiał nerwowo krawat i wyciągał z kieszeni płaszcza złoty zegarek, sprawdzając co chwila godzinę.

Ponaglał do wyjazdu z hotelu zaraz po zjedzeniu lekkiego obiadu. Przez to przyjechali teraz do „Królewskiej Granicy” za wcześnie.

- Zamówiłem osobny pokój - powiedział Francis Tetherton. - Przejdź więc przez hall szybkim krokiem. Nie chcielibyśmy, by ktoś cię zobaczył. Ludzie zdziwiliby się widząc cię tu samą, w towarzystwie mężczyzny.

- Nikt mnie tu nie rozpozna - zauważyła Tylda. Puszczając mimo uszu protesty Francisa, nie mogła powstrzymać się, by nie zajrzeć do restauracji, w której mogłaby wieczerzać z porucznikiem.

Sala restauracyjna przyciągała uwagę swym pięknym wystrojem, dębowymi belkami na stropie, trofeami dzikich

zwierząt na ścianach oraz stoliczkami z palącymi się na nich świeczkami.

Kilkanaście osób spożywało teraz obiad. Tetherton pociągnął ją za sobą wąskim przejściem do małego, obitego dębową boazerią saloniku z żarzącym się kominkiem.

Potem po raz setny sprawdził godzinę.

- Zostaniesz tutaj, kuzynko Wiktorio - polecił. - Ja pójdę i poczekam przy wejściu na Jego Księżęcą Mość. Z pewnością nie będzie chciał, by go rozpoznano. Przyprawdżę go tutaj, jak tylko się pojawi.

Przemawiał podnieconym głosem i Tylda zastanawiała się przez chwilę, dlaczego Rudolf uważał, że Anglicy są zawsze tacy chłodni i opanowani.

- Poradzę sobie, kuzynie Francisie - odparła. - Idź i szukaj Jego Księżęcej Mości.

Francis wyszedł i Tylda zaczęła niecierpliwie chodzić po pokoju. Powtarzała sobie w myśli, co powie księciu. Wierzyła, że w końcu dopnie swego celu i uwolni się od zaręczyn, do których została zmuszona tak jak on. Była prawie pewna, że księcia Maksymiliana nakłoniono do poślubienia angielskiej żony przede wszystkim za sprawą królowej Wiktorii. W Austrii i Bawarii bez wątpienia żyje wiele księżniczek i z pewnością wolałby je bardziej niż mnie, pomyślała Tylda Z drugiej strony, ponieważ wszyscy tak bardzo boją się Anglii, a jeszcze bardziej królowej, nie mógł odmówić. Może nawet będzie zadowolony, pozbywając się mnie.

Nie mogła przestać myśleć o tym, że tak jak księżę Maksymilian będzie bał się reakcji królowej Wiktorii, tak i jej własna matka, truchlejąca przed królową, poczuje się upokorzona jej postępkim.

Biedna mama, pomyślała Tylda, ale jestem przekonana, że gdy zobaczy Rudolfa, na pewno go pokocha. Sama myśl o Rudolfie rozpałała w jej sercu gorący płomień. Poczwała w

całym ciele lekki dreszcz, kiedy przypomniała sobie, jak ją mocno obejmował i namiętnie całował.

Dlaczegoż jej miałyby zależeć na tronie książęcym - - zastanowiła się - czy też na aprobacie ze strony nadętych krewnych, jeśli mogła być kochana tak, jak kochał ją Rudolf?

Nie boję się księcia, powiedziała sobie. Nie boję się niczego, boję się tylko utracić Rudolfa.

Przypomniała sobie znów znajomą nutę w jego głosie, gdy powiedział:

- Nic, nawet Bóg, nie przeszkodzi ci w tym, abyś została moją żoną.

I nikt nie przeszkodzi mu w tym, aby został jej mężem, przysięgła sobie Tylda.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi!

Wstrzymała oddech. Odwróciła się i ujrzała, nie, jak się spodziewała, nieznanego mężczyznę - księcia Maksymiliana, lecz... Rudolfa!

Wchodząc do pokoju, spojrział na nią z niedowierzaniem.

Nim zdążyła przemówić, wykrzyknął:

- Tyldo, najdroższa! Co ty tu robisz?

Pobiegła w jego stronę czując, że chyba śni. Mogła go dotknąć; mogła spojrzeć mu w oczy. Przez chwilę wpatrywał się w jej oczy, a potem dotknął wargami ust.

Ogarnęło ją znowu to cudowne i gwałtowne uczucie, za którym tak tęskniła. Całował ją namiętnie i pożądliwie, aż poczuła, jak cała się w nim zatracza.

Wydawało się, że ta chwila uniesienia trwa całe wieki. W końcu Rudolf oderwał od niej usta i wyprostował się.

- Tęskniłem za tobą! - rzekł ochryple. - O, Boże, jak bardzo mi ciebie brakowało!

- Czy wciąż... mnie kochasz? - zapytała Tylda.

- Dobrze wiesz, że tak.

Potem z trudem, jak gdyby zmuszając się do logicznego myślenia, zapytał:

- Ale dlaczego tu jesteś?

- Mam się spotkać z tym... mężczyzną, z którym zostałam... zaręczona - wybąkała Tylda.

- Aby mu powiedzieć, że nie możesz za niego wyjść za mąż? Moje kochanie, będziesz więc wolna!

- Będę wolna - powtórzyła Tylda. - Kiedy będę mogła... przyjechać... do ciebie?

- Być może jutro - rzekł - a już na pewno pojutrze. Nie jestem w stanie dłużej czekać.

- Ani... ja - wyszeptała Tylda.

Ich wargi znów się zetknęły. Całowali się zapamiętałe, zapominając o całym świecie. Nagle jednak przerwał pocałunek, opuścił ramiona, którymi ją mocno obejmował, i zapytał:

- Jeśli masz spotkać się z tym mężczyzną, z którym jesteś zaręczona, to lepiej będzie, jak już pójdę.

- A co ciebie tu sprowadziło? - zapytała Tylda. Gdy miał już jej odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i Francis Tetherton zajrzał do środka.

- Wszystko w porządku, kuzynko? - rzucił.

W tym samym momencie zauważył Rudolfa. Stał na baczność i skłonił głowę.

- Przepraszam, sire - powiedział. - Nie wiedziałem, że pan już przyjechał. Czekałem widocznie przy innych drzwiach.

Ani Tylda, ani Rudolf nie odezwali się słowem. Rudolf wpatrywał się z osłupieniem w kuzyna Tyldy, który dodał jeszcze:

- Dopilnuję, żeby wam nie przeszkadzano, sire. Zniknął, zamknąwszy za sobą drzwi.

Na moment zaległa cisza. Przerwał ją Rudolf, mówiąc jakby nie swoim głosem:

- On nazwał cię Wiktoria. Jak właściwie masz na imię?

Tylda wpatrywała się w jego twarz. Przez chwilę nie była w stanie wykrztusić z siebie żadnego słowa.

Rudolf z uporem powtórzył pytanie.

- Pytałem, jak ci na imię?

Tyldzie zdawało się, że to ktoś inny za nią odpowiedział.

- Wiktoria... Matylda Tetherton - Smythe - odparła prawie szeptem.

Rudolf zaniemówił i wpatrywał się w nią, nie ruszając się z miejsca. Wtedy dodała:

- Dlaczego kuzyn Francis powiedział do ciebie: sire! I dlaczego czekał... na... ciebie?

Rudolf postąpił krok do przodu.

- Czy mówisz mi prawdę? - zapytał. - Czy tak naprawdę brzmi twoje imię?

Wyrzucał z siebie gwałtownie słowa, po czym zaczął się śmiać. Przeszedł przez salonik i oparł się o gzyms nad kominkiem.

- To nie może być prawdą! - zaśmiał się. - To nie może być prawdą!

- Co nie może być prawdą? Co masz... na myśli? Dlaczego... się śmiejesz? - domagała się wyjaśnień Tylda;

Niczego jeszcze nie rozumiała. Musiało stać się coś dziwnego i przerażającego.

Przez chwilę czuła się zagubiona i bardzo samotna.

Rudolf spojrzął na nią. Powoli przestawał się śmiać.

Jak gdyby odgadując jej niepewność i strach, wyciągnął ku niej ramiona. Tylda pobiegła w jego stronę.

- Wszystko w porządku, najdroższa - uspokoił ją - wszystko w porządku. Ale przyprawiłem swego premiera prawie o zawał serca, gdy poinformowałem go, że zrzeknę się tronu, jeśli nie będę mógł poślubić pewnej dziewczyny, która nazywa się Tylda Hyde!

ROZDZIAŁ 8

Zadrzewione z obu stron ulice były gęsto zatłoczone. Ludzie wiwatowali, machali flagami i rzucali kwiaty do otwartej karocy.

Domy wzdłuż ulic udekorowano girlandami i wstęgami z napisem: „Witamy w Oberni” oraz „Niech Bóg błogosławi Wiktorie”.

To wszystko tak ekscytowało Tyldę, że oczy jej aż błyszczały z przejęcia. Machała ręką, pozdrawiając szczęśliwych i uśmiechniętych ludzi.

Wyglądała wspaniale w sukni w kolorze jej oczu i czepku przybranym małymi pączkami róż. Przed słońcem chroniła ją niebieska parasolka, również przybrana różanymi pączkami.

Obok niej w powozie siedział premier, wciąż jeszcze, mimo sędziwego wieku, przystojny. Naprzeciwko niego jechał ambasador Anglii w kapeluszu z białymi piórami kołyszącymi się na wietrze. Miejsce obok zajmował minister spraw zagranicznych.

Wszyscy trzech powitali Tyldę na granicy państwa.

Musiała wysłuchać długiej i momentami nudnej mowy powitalnej, z trudem ukrywając swe zniecierpliwienie. Liczyła sekundy dzielące ją od ponownego spotkania z Rudolfem.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że Rudolf to księżę Maksymilian, mężczyzna, którego postanowiła nie poślubić; mężczyzna, do którego - jak myślała - będzie czuła odrazę.

- Jak to możliwe, że ty jesteś tym księciem? - wykrzyknęła wtedy z niedowierzaniem. - Myślałam, że jesteś... oszpecony!

- Oszpecony? - powtórzył zdumiony.

- Wszyscy byli tacy tajemniczy, kiedy rozmowa schodziła na twój temat - wyjaśniała Tylda. - Mówili o tobie zawsze szeptem i milkli zażenowani, gdy wchodziłam do pokoju. Poza tym nie ma nigdzie obrazów z twoją podobizną.

Powiedziano mi też, że nie zgadzasz się, by cię fotografowano.

Rudolf zawahał się, zanim odpowiedział. Odniosła wrażenie, że był zmieszany.

- Wydaje mi się, że już rozumiem, dlaczego byłeś taki tajemniczy! - krzyknęła nagle. - Po prostu chciałeś od czasu do czasu wyrwać się z pałacu i bałeś się, że ludzie mogą cię rozpoznać!

Rudolf uśmiechnął się.

- Ależ jesteś bystra! - zauważył. - Rzeczywiście, czasem trochę „wagarowałem”.

- „Nieobecny bez usprawiedliwienia”!

- Nie przypuszczałem, że ta banda idiotów pośle za mną zwiad. Ale, rzecz jasna, to była twoja wina!

- Moja wina? - zdziwiła się Tylda.

- No, nie. - właściwie to chyba była moja wina - przyznał Rudolf. - Zarządca mojego dworu powiedział mi, że możesz się trochę spóźnić podróżując tak długą trasą, więc wyjechałem, nie mówiąc dokąd!

Uśmiechnął się.

- Gdy w pałacu dowiedzieli się, że przyjechałaś zgodnie z planem, wpadli w panikę. Ustalono, iż przybędziesz do Oberni na tydzień przed ślubem, abyśmy mogli się bliżej poznać.

- Właśnie to robiliśmy! - powiedziała Tylda.

- Na szczęście nikt w pałacu o tym nie wiedział! - dodał Rudolf.

Tylda się roześmiała.

- Tak czy owak, z pewnością napędziłeś im sporo strachu.

- Zawsze się o mnie niepokoją, zupełnie jak kwoki o swoje kurczęta, wiecznie coś krytykują i wiecznie coś im się nie podoba - rzeki Rudolf. - Dlatego właśnie zacząłem używać swego drugiego imienia, a gdy nie mogłem już dłużej wytrzymać, znikalem.

- I dokąd się wybierałeś?
- Szukałem nowych przyjaciół.
- Którymi były oczywiście piękne kobiety?
- Żadna nie była tak urocza jak ty.
- Ale... je... kochałeś!

Rudolf nie odpowiadał przez chwilę, po czym powiedział:

- Są różne rodzaje miłości, najdroższa.
- Wyjaśnij... mi... to. Starannie dobierał słowa.
- Większość kobiet jest jak piękne kwiaty. Mężczyzna chce je zerwać, ale one zwykle szybko więdną. Tylda słuchała z uwagą, gdy kontynuował:

- Lecz nawet wtedy, gdy mówi sobie, że szuka tylko rozrywki, ma nadzieję, iż kolejny kwiat będzie inny od poprzedniego, że wreszcie któryś okaże się tym jedynym, doskonałym i wyjątkowym, kwiatem z marzeń.

- A... gdy... go... znajdzie?
- Wtedy należy do niego na zawsze i daje mu wielkie i prawdziwe szczęście.

- I już więcej nie... będzie... szukać innych? - zapytała Tylda.

- Nie, to jest już koniec poszukiwań.
- Jesteś tego pewien? - spytała. - Byłabym... nieszczęśliwa, gdybyś zniknął, a ja nie miałabym pojęcia gdzie.

- Przysięgam, iż wtedy dotrzymałem przysięgi, że nie będę na ciebie patrzeć - powiedział Rudolf - a jednak dosięgła mnie kara świętego Gerarda. W moim życiu będzie już teraz tylko jedna kobieta aż do śmierci!

- Jesteś tego pewien? - spytała ponownie.
- Tak pewien - odrzekł - że wszyscy malarze i fotografowie z całej Europy będą mogli przyjść i uwiecznić nasz ślub!

Przytulił ją do siebie i powiedział:

- Poza tym, kochanie, chcę, aby twoje wizerunki pokazały całemu światu, jak jesteś niewiarygodnie piękna.

Potem zaczął ją znowu całować i nic więcej się już nie liczyło.

Stolica Oberni położona była w urodzajnej dolinie, otoczonej górami o śnieżnych szczytach. Kiedy Tylda zobaczyła pałac, wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała.

Długa, szeroka droga, wzdłuż której stały wiwatujące tłumy, prowadziła prosto do wielkich, zdobionych złotem wrót z kutego żelaza. Strzegły one wejścia do olśniewająco białego budynku z kolumnami i kolumnadami, łukowato zakończonymi przejściami i przepięknymi posągami rysującymi się na tle nieba.

- Jest śliczny! - zachwyciła się głośno Tylda. Premier spojrział na nią z uznaniem. Powiadomił ją również, że Jego Książęca Mość nalega, by ceremonia zaślubin odbyła się późnym popołudniem jeszcze tego samego dnia.

Tylda wiedziała, że zarówno premier, jak i ambasador lękali się, czy nie uzna przesunięcia uroczystości weselnej na dzień swego przyjazdu za zbyt wielki pośpiech.

- Tak będzie wspaniale! - wykrzyknęła i zauważyła, że są zaskoczeni jej entuzjazmem.

Muszę uważać, powiedziała sobie. Nikt z nich me może się domyślić, że Rudolfa spotkałam już wcześniej.

Francis Tetherton przysiągł dochować tajemnicy, lecz ciekawiło ją, co pomyślał sobie premier o tak nagłej odmianie księcia.

Musiał się zapewne bardzo zdziwić, gdy Rudolf wrócił do Oberni i, pomimo wcześniejszej zapowiedzi abdykacji, oświadczył, że jest gotów ożenić się z lady Tetherton - Smythe, i to natychmiast.

- Czy masz zamiar wytłumaczyć im dlaczego? - spytała wówczas Tylda.

- Sądzę, że jakiegokolwiek wyjaśnienia wszystko by tylko zagmatwały - odparł uśmiechając się.

Dotknął palcami podbródka Tyldy i uniósł jej główkę, mówiąc:

- Jak mogłaś być tak niegrzeczna i pójść do piwiarni? Bóg wie, co cię tam mogło spotkać.

- Spotkałam... ciebie.

- Dziękujemy za to Bogu! - powiedział Rudolf poważnym tonem.

- Nie wyobrażam sobie, co by powiedziała mama, gdyby wiedziała, iż spędziliśmy razem trzy noce w domu Frau Sturdel - zażartowała Tylda - a na dodatek, że spaliśmy w jednym łóżku!

- Możemy mieć tylko nadzieję, że nigdy się o tym nie dowie. I pamiętaj, moja najśłodsza, abyś zachowywała się bardzo oficjalnie, a może nawet trochę nieśmiało, kiedy spotkamy się w pałacu. - Postaram się! - wymamrotała Tylda.

- Bóg jeden wie, jak trudno mi przyjdzie cię nie dotykać.

- Mam nadzieję, że spodoba ci się mój strój - rzekła Tylda. - Mam na przyjazd specjalną suknię, a do tej pory widziałeś mnie zawsze w chłopskim stroju.

- W którym wyglądałaś jak anioł - bardzo pociągający mały aniołek!

- Wykorzystałeś to jako... wymówkę, by mnie... nie całować - odpowiedziała Tylda z urazą.

- Próbowałem zachowywać się przyzwoicie - i nie udało mi się.

- Cieszę się.

- Mężczyzna musiałby być albo ślepy, albo święty, by nie ulec pokusie twych ust.

- Chcę... być twoją... pokusą.

- A ja liczę na to, że już nigdy nie rozdzieli nas żaden walek w łóżku. Przeżywałem męki, leżąc tam wtedy obok ciebie.

- To ty... go tam... położyłeś! - zauważyła Tylda!

- Wiem - to było jedyne wyjście; w przeciwnym wypadku musiałbym cię dotknąć.

- Zapewne... spodobałoby mi się to - wyszeptała Tylda.

Gdy konie zakreśliły wokół wielkiej fontanny, tryskającej na wprost długiego szeregu stopni, które wiodły do zdobnych drzwi pałacowych. Tylda ujrzała czekającego na nią Rudolfa.

Zapomniała o jego ostrzeżeniach, przykazach i o wszystkim innym, radując się na jego widok.

Prezentował się wspaniale w białym pułkowym mundurze ze złotymi epoletami, dużą ilością orderów i błękitną wstęgą przepasującą pierś.

Konie się zatrzymały. Z trudem panując nad sobą, czekała, aż lokaj otworzy drzwi, opuści schodki i zdejmie lekki pled, którym okryła się w czasie jazdy.

Pled zasypany był kwieciami i Tylda wyglądała jak wiosenna bogini wyłaniająca się z przepięknej chmury kwiatów.

- Przejdzie pani sześć stopni do góry - poinstruował ją wcześniej ambasador - a Jego Książęca Mość zejdzie sześć stopni w dół i spotkacie się w połowie schodów.

- Jestem pewna, że przebieg uroczystości został starannie zaplanowany, ekscelencjo - rzekła poważnie Tylda.

- Żywię jedynie nadzieję, że wszystko pójdzie gładko - odparł ze strapieniem ambasador. - Aż do ostatniej chwili mieliśmy pewne trudności, gdyż Jego Książęca Mość nie akceptował niektórych sugestii.

Tylda uśmiechnęła się w duchu.

Zastanawiała się, co by pomyślał ambasador, gdyby wiedział, że aż do ostatniej chwili Jego Książęca Mość był

zdecydowany nie brać za żonę angielskiej protegowanej królowej Wiktorii.

Nadal trudno było jej uwierzyć, że Rudolf zagroził abdykacją i że naprawdę upierał się wziąć ślub tylko z niejaką Tyldą Hyde.

- Czy szczerze mnie kochasz? - spytała; zanim się rozstali w „Królewskiej Granicy”.

- Dowiodę ci tego - odpowiedział - gdy tylko pobierzemy się i ty naprawdę już zostaniesz moją żoną.

- Tego właśnie pragnę - wyszeptała Tylda.

- I tak będzie, moja cudna - odparł.

Przed wyjściem ostrzegł ją jeszcze raz, żeby zachowała ich przygodę w tajemnicy.

- Nikogo nie zdziwią plotki na temat moich wybryków, zresztą większość z nich i tak jest zmyślona - rzekł. - Ale ty jesteś inna... ludzie oczekiwać będą od ciebie powagi.

- Postaram się zachowywać tak pompatycznie i sztywno jak nasi krewni!

Wchodząc teraz po schodach w stronę Rudolfa czuła, że nie potrafi ukryć radości w oczach. Zbliżając się do niego, nie mogła też powstrzymać lekkiego dreszczyku emocji.

Nigdy nie przypuszczała, że jej Rudolf może wyglądać aż tak niewiarygodnie przystojnie i aż tak imponująco i władczo.

Dotarła do szóstego stopnia i Rudolf wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń.

- Niech wolno mi będzie dostąpić tego wielkiego przywileju i niech przypadnie mi zaszczyt powitania cię, pani, w Oberni - przemówił. - Jest to radosny dzień dla mego kraju i chwila mego osobistego szczęścia.

Po tych słowach podniósł dłoń Tyldy do ust i złożył na niej pocałunek. Czuła, jak ścisnął czule jej rękę.

Gdy podniósł głowę, Tylda spojrzała mu w oczy. Była tak zauroczona, że przez chwilę nie była w stanie czegokolwiek

powiedzieć. Nie pamiętała też słów przemówienia, które tak wiele razy przecież powtarzała.

Kocham cię! - chciała krzyknąć głośno.

Potem z trudem, zacinając się prawie przy każdym słowie, zaczęła mówić:

- Jestem głęboko wdzięczna Waszej Księżęcej Mości za słowa powitania. Bycie tu, w Oberni, jest dla mnie niewysłowioną radością. Cieszę się, że ten piękny kraj stanie się moim nowym domem.

Po wygłoszeniu tej oficjalnej mowy dodała bardzo cicho, tak by prócz Rudolfa nikt tego nie usłyszał:

- Wyglądasz tak przystojnie, tak dostojnie! Chcę cię... pocałować!

Spostrzegła w jego oczach, że pragnie tego samego. Wiedziała, ile wysiłku kosztuje go zmuszenie się do tego, by w sposób oficjalny zaoferować jej swoje ramię.

- Pozwól, pani, odprowadzić się do pałacu - rzekł zgodnie z protokołem powitania.

Przyjęła podane ramię i zaczęli razem wchodzić po schodach. Premier i ambasador Anglii szli za nimi. Następnie rządkiem ruszyli dostojnicy czekający do tej pory na schodach.

- Dokąd teraz idziemy? - spytała Tylda.

- Zostaniesz przedstawiona członkom rządu i dostojnikom dworskim - odrzekł Rudolf. - Potem udasz się do swoich komnat, aby przebrać się w suknię ślubną.

- Chcę zostać z tobą... sama - rzekła cicho Tylda. - Ja też tego pragnę - odparł Rudolf. - Lecz dopóki się nie pobierzemy, jest to niemożliwe. - Czy chcesz... mnie pocałować?

- Wiesz, jak bardzo - odpowiedział i wyczuła w jego głosie nutę pożądania - lecz musimy zachowywać się właściwie, najdroższe me serce.

- Dlaczego? - spytała. - Po co jesteś królewskim księciem, skoro nie możesz robić tego, co chcesz?

Wypowiedziała te słowa półgłosem, lecz teraz Rudolf powiedział głośno:

- Mam nadzieję, pani, że spodobają ci się obrazy w tej części pałacu. Wiele z nich przedstawia, rzecz jasna, naszych wspólnych przodków: królów, królowe i władców sąsiednich państw.

- Muszę zostać z tobą... sam na sam! Muszę! Choćby tylko na chwilę - szepnęła. - Do ślubu jest jeszcze tyle godzin, a ja tak bardzo stęskniłam się za tobą.

- Mnie też ciebie brakowało - odrzekł Rudolf - lecz musimy bardzo uważać!

- Jesteś przesadnie ostrożny! - drażniła się Tylda. - Pachnie to... tchórzostwem.

- Oto wspaniały portret Fryderyka Wielkiego - oznajmił głośno Rudolf. - Myślę, że zgodzisz się, pani, iż malarz wykonał wierną podobiznę.

- Jest rzeczywiście doskonały! - zgodziła się Tylda. A półgłosem dodała:

- Czy mam... udać, że mdleję? Wtedy przynajmniej będziesz musiał... schwycić mnie w... ramiona!

- Tyldo, najdroższa, proszę cię... przestań! - rzekł błagalnym tonem.

- Przestaną, jeśli będę mogła cię pocałować... choć raz. Przystanął na chwilę, by pokazać jej kolejny portret, i powiedział nie poruszając ustami:

- Zaraz miniemy zakręt korytarza. Po prawej stronie są drzwi do gabinetu, gdzie wystawione są odznaczenia mojego ojca. Możemy się tam wślizgnąć!

- Wiedziałam, że znajdziesz jakieś rozsądne wyjście! - szepnęła uszczęśliwiona.

- To nie jest wcale rozsądne! - jęknął Rudolf. Skręcili, zostawiając za sobą pochód dostojników.

Rudolf wciągnął Tyldę przez drzwi po prawej stronie, zamknął je i przekręcił klucz w zamku.

Księżniczka wydała okrzyk nie skrywanego szczęścia.

Po chwili znalazła się w jego ramionach. Całował ją namiętnie, z tak szalonym pożądaniem, jakby właśnie przeszli przez wiele niebezpieczeństw, aby się znów odnaleźć.

- Kocham cię! Uwielbiam cię! - wyszeptał Rudolf. - Ale to, co robimy, to szaleństwo.

- Wspaniałe... niebiańskie... szaleństwo! - odparła. Nie mogła się poruszać ani oddychać, gdy tulił ją, do siebie.

Wtem klamka drzwi poruszyła się i usłyszeli głos premiera:

- Czy wszystko w porządku, Wasza Wysokość?

Rudolf puścił Tyldę. Widziała błysk pożądania w jego oczach, gdy mówił:

- Pragnę cię! Wielki Boże, jak bardzo cię pragnę! Spostrzegł, że twarz Tyldy rozjaśnia się, jakby oświetlały ją od wewnątrz tysiące świec.

- Tych słów właśnie... brakowało mi bardziej... niż czegokolwiek innego.

Nadludzkim wysiłkiem woli przekręcił klucz w zamku i jednocześnie otworzył drzwi.

- Wygląda na to, że coś jest nie tak z tą klamką - powiedział zaaferowanym głosem. - Właśnie pokazywałem lady Wiktorii orderzy mego ojca..

- Były... nadzwyczaj interesujące... - przyznała cicho Tylda.

Wracając z katedry, arcyksiążę Ferdynand Holstein Mittlegratz wsiadł do otwartej karety i powiedział:

- To biedne, słodkie, niewinne dziecko! Zamorduję Maksymiliana własnymi rękoma, jeśli nie będzie dla niej dobry!

Arcyksiężna zerknęła na niego z półuśmiechem na ustach.

- Wiesz, Ferdynandzie - rzekła - mam przecucie, że nasz książęcy Romeo nie będzie już więcej włóczył się po świecie.

- Nie mam pojęcia, co cię skłania do tego aby tak sądzić - odburknął arcyksiążę. - Ugania się za każdą piękną kobietą, tu i tam, i nawet w Finlandii! Już dosyć tego! Nie pozwolę, aby zasmucał tę słodką, małą istotę, która ledwie co opuściła swój pokój z zabawkami. Jestem gotów powiedzieć mu to otwarcie, prosto w oczy.

- A jeśli Maksymilian nadal będzie wywoływać skandale, które zresztą, moim zdaniem, i tak są mocno wyolbrzymiane, to co na to poradzisz? - spytała arcyksiężna.

- Sam wtedy będę bronić Wiktorii! - odparł z ferworem arcyksiążę.

Jego żona roześmiała się.

- Jestem przekonana, że tak będzie, Ferdynandzie, o ile w ogóle uda ci się dostać do niej na tyle blisko, by to uczynić.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał arcyksiążę.

- Chcę powiedzieć - odpowiedziała mu żona - że będąc w katedrze, obserwowałam, z jakim rozczuleniem i troską spoglądałeś na pannę młodą. I taki sam wyraz malował się w oczach prawie każdego obecnego tam mężczyzny.

- No i co z tego?

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu - ciągnęła arcyksiężna - że w przyszłości Maksymilian będzie tak zajęty swą żoną, iż nie starczy mu czasu na flirtowanie z innymi kobietami.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie - prychnął. Ferdynand.

- Co więcej - mówiła arcyksiężna - wydaje mi się, że mała Wiktoria lepiej wie, jak się o siebie samą zatroszczyć, niż by można było się tego po niej spodziewać.

- Jest prostoduszną, niewyrachowaną, szczerą i niewinną istotą, jest po prostu jeszcze dzieckiem! - stwierdził arcyksiążę.

Mówił dość porywczo. Zerkając na niego z boku, żona zauważyła spokojnie:

- Jestem pewna, że ty wiesz najlepiej, Ferdynandzie! Lecz jednocześnie oczy błyszczały jej figlarnie.

Ogień w kominku już przygasał, lecz dawał jeszcze wystarczająco dużo światła, aby można było dostrzec zarys wielkiego łóża, którego sklepienie zdobiły złote aniołki, a różowe aksamitne kotary upodabniały je do dużego, rozchylonego kielicha róży.

Na obszytych koronkami poduszkach z wyhaftowanymi książęcymi koronami spoczywały obok siebie dwie głowy.

Rudolf wyciągnął ramię i przytulił Tyldę do siebie. Łagodna i uległa zapytała:

- Rudolfie, chciałabym cię o coś... zapytać.

- Słucham cię, moja najdroższa, moje kochanie, co chcesz wiedzieć?

Gdy mówiła, delikatnie odsuwał z jej czoła jasne włosy, by móc je pocałować.

- Właśnie się... zastanawiałam - wyszeptała Tylda. - kiedy zaczniesz robić te... „nieprzyjemne rzeczy”, o których mówiła mama.

Rudolf przytulił ją jeszcze mocniej.

- Wierz mi, kochanie, że twoja mama miała na myśli to, co przed chwilą robiliśmy.

Tylda krzyknęła cicho i zwróciła się. twarzą ku niemu.

- Myślisz, że mama mówiła o... kochaniu się? - spytała. - Ależ to było cudowne... najbardziej fantastyczne...

najwspanialsze przeżycie, jakie sobie w ogóle... mogłam wyobrazić!

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytał cicho Rudolf

- Wiesz, że tak - odparła Tylda. - Nie sądziłam, że będę tak... szczęśliwa ani tak... szalenie... podniecona.

- Czy naprawdę cię podniecam? - Bardzo... bardzo!

- Najukochańsza, uwielbiam cię!

- Należymy... do... siebie.

- Na zawsze! - przysiągł Rudolf.

- Chcę jedynie być z tobą - powiedziała Tylda - i abyś... kochał się ze mną i... całował mnie... bez przerwy.

- I ja tego pragnę, lecz będziemy mieć także pewne oficjalne obowiązki.

- To nieważne, dopóki będziemy je wykonywać razem.

- Będziemy zawsze razem, lecz musisz być dobra, moja najśłodsza.

- Będę... bardzo... bardzo dobra! - obiecała mu Tylda.

- Źle się stało, że podczas uroczystości w katedrze zapytałaś, czy przyszła Mitzi - wypomnił jej Rudolf. - Jestem pewien, że arcybiskup cię słyszał.

- Po prostu zastanawiałam się, czy ją zaprosiłeś.

- Nie, oczywiście że nie! - odpowiedział Rudolf. - A ty w ogóle nie powinnaś nawet słyszeć o kimś takim jak Mitzi!

- Powinieneś być jej wdzięczny - odrzekła Tylda. - To właśnie wtedy, gdy ujrzałam, jak ją całujesz, zakochałam się w tobie.

- Widziałaś, jak całowałem Mitzi? - spytał zdumiony. - Ale kiedy?

- To było w lesie koło Linderhofu - przyznała się Tylda.

- Wielki Boże! - krzyknął. - Czyżby nie było końca twoim niespodziankom, Tyldo? Skąd mogłem wiedzieć, że jesteś w pobliżu?

- Obserwowałam was i chciałam się wszystkiego o was dowiedzieć - odparła Tylda. - Myślałam, że jesteście parą tuż po ślubie.

- Cokolwiek myślałaś - rzekł ostro Rudolf - proszę, zapomnij o tym teraz. Z drugiej strony, moja najdroższa, cieszę się, że zakochałaś się we mnie!

- Uznałam, że jesteś najbardziej namiętym i najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam!

Przerwała, po czym mówiła dalej:

- W Oberni pełno jest przystojnych mężczyzn. Twój adiutant, ten wyższy, wygląda jak grecki bóg!

- Wręcę mu jutro dymisję - oznajmił Rudolf - a na jego miejsce wezmę kogoś starego z siwymi włosami.

Tylda zakrztusiła się śmiechem.

- Słyszałam, jak twój wuj, ten z białymi wąsami, który z pewnością nie jest już młodzieniaszkiem, powiedział do kogoś: "To najpiękniejsza dzierlatka, jaką widzę od lat! O niebo za urodziwa dla tego młodego gałgana, Maksymiliana. Chętnie sam bym się nią zajął!"

- Tyldo! - Rudolf był wstrząśnięty. - To mój wuj Franz. To stary zbereźnik i masz trzymać się od niego z daleka - słyszysz?

- Twój drugi wuj, arcyksiążę Karol, połaskotał mi dłoń, gdy się ze mną żegnał.

Rudolf zagarnął ją silnie do siebie.

- Pozwól mi wyjaśnić jedną rzecz, Tyldo. Będę bardzo zazdrosnym mężem. Jeśli przyłapię cię choćby tylko na patrzeniu na jakiegoś innego mężczyznę, skażę go na śmierć albo wygnam z kraju - a tobie sprawię lanie!

- Myślę, że to byłoby... podniecające! - zauważyła Tylda, tuląc się mocniej. - Dostaję... dreszczy na całym ciele, gdy jesteś taki... silny i... władczy!

Rudolf obrócił się na bok i spojrzał na nią z góry.

Przez krótką chwilę ogień zapłonął mocniejszym płomieniem i jego blask oświetlił okoloną jasnymi włosami małą, podobną do kwiatu twarzyczkę Tyldy.

Patrzyła mu w oczy. Miała rozchylone wargi.

- Jesteś tak piękna! - rzekł zachrypniętym głosem. - Tak niewiarygodnie piękna. Uwielbiam cię. Jednak wydaje mi się, kochanie, że życie z tobą będzie dla mnie torturą. I nawet Chińczycy nie wymyśliliby większej.

- Chcę, byś był ze mną... szczęśliwy - wyszeptała.

- A ja chcę być pewien, że będziesz należeć tylko do mnie - odparł Rudolf. - Chcę, byś mnie kochała i chcę być pewien, iż w twoim życiu nie będzie nigdy innego mężczyzny. .

- Tak cię kocham! - rzekła Tylda. - Nie wiedziałam aż do dzisiaj, że... na świecie można znaleźć tyle... szczęścia i tyle... miłości.

- Chciałbym, żebyś czuła to zawsze - powiedział. Rudolf.

- I chcę, byś pragnęła mnie tak, jak ja pragnę ciebie, tak by teraz i nigdy nie było między nami nikogo innego.

Tylda westchnęła głęboko.

- Spraw... bym cię... pragnęła - wyszeptała. - Proszę, spraw... to, Rudolfie!

Przywarł wargami do jej ust.

Czuł, jak przyciska się do niego całym ciałem. Serce w jej piersi łomotało jak szalone, tak samo jak jego.

Wtedy porwał ją do niezwykłego nieba. Nieba, w którym przebywają tylko bardzo niegrzeczne aniołki, wspaniałe, rozkoszne istoty, którym zupełnie nie można się oprzeć.